

PRZEGLĄD SOCJALDEMOKRATYCZNY

ORGAN SOCJALDEMOKRACJI KRÓLESTWA
POLSKIEGO I LITWY.

Czarna karta rewolucji.

Napisała Róża Luxemburg.

Lipiec 1908.

Biorę do ręki na chybił trafił kronikę spraw i wyroków sądowych w pismach za kilka dni:

Warszawa, 25 maja. Warszawski sąd wojenno-okręgowy skazał 18-letnich Antoniego Morskiego i Stanisława Ignaczaka oraz robotnika Fabisiaka na śmierć przez powieszenie za napad bandycki w kwietniu r. b. na kasjera fabryki Zalcmana w Warszawie, któremu odebrano przemocą rs. 150.

Warszawa, 31 maja. Sąd wojenno-okręgowy w cytadeli skazał 14 osób na karę śmierci za napad na furgon pocztowy na stacji Sokołów.

Warszawa, 2 czerwca. Gienerał-gubernator warszawski zatwierdził wyrok śmierci, wydany przez warszawski sąd wojenno-okręgowy na Stanisława Krawczyka za strzały, dane do majstra fabrycznego i do policjantów.

Warszawa, 6 czerwca. Dziś w nocy powieszono w cytadeli mieszkańca pow. Łukowskiego, Mateusza Susko, skazanego przez sąd wojenny warszawski na śmierć za dwa morderstwa w pow. Łukowskim, za usiłowanie morderstwa policjantów i za należenie do P. P. S.

Warszawa, 8 czerwca. Sąd wojenno-okręgowy rozpoznawał sprawę o zabójstwo rotmistrza żandarmów Michajłowa, dokonane 4 marca r. b. na ulicy Lubelskiej w Radomiu. Wyrokiem sądu sześciu podsądnych skazano na śmierć.

Warszawa, 20 czerwca. Na stokach cytadeli zostali straceni Ferdynand Tyszkiewicz, uczestnik napadów na monopol w Baczynie i na stację kolejową w Międzyrzeczu oraz Stanisław Olesiuk, współsprawca ograbienia tejże stacji oraz poczty w Kadymiu.

Łódź, 5 czerwca. Sąd wojenny skazał na śmierć przez powieszenie Bolesława Strzałę, który dokonał czterech napadów bandyckich i zabił Jana Baranowskiego 25 stycznia b. r.

Łódź, 6 czerwca. Na ulicy Długiej kilku bandytów napadło na kelnera Chaimowicza, zabierając mu 36 rs. gotowizną i różne dowody.

Łódź, 8 czerwca. Sąd wojenny skazał na śmierć przez powieszenie Karola Banaszkiewicza i Szymona Gralaka, oskarżonych o szereg napadów bandyckich.

Tenże sąd skazał na śmierć Walentego Nowickiego, oskarżonego o zranienie strażnika Górniaka strzałem z rewolweru.

Łódź, 9 czerwca. Sąd wojenny skazał na śmierć Lucjana Zajczkowskiego, Karola Banaszewicza i Bolesława Warjuka, oskarżonych o zbrojne napady bandyckie.

I tak bez końca ciągnie się krwawa kronika wyroków i egzekucji. Straszny mechanizm sądu wojennego i szubienicy działa z automatyczną ścisłością i niezmordowaniem. Na mapie, oznaczonej czerwonymi znakami kontrrewolucji, Polska stanowi najkrwawszą plamę. I to wszystko dzieje się nie tylko wśród zupełnej obojętności polskiego burżuazyjnego społeczeństwa, ale nawet przy milczącym lub głośnym poklasku burżuazji i drobnomieszczaństwa, szukających w objęciach Kaznakowów i Skałłonów ratunku od „plagi bandytyzmu“.

Ciskając kamieniem w bandytyzm, społeczeństwo burżuazyjne opędza się od własnego cienia. Porządek kapitalistyczny, oparty na nieustannej ekspropriacji drobnej własności, na ruinie gospodarki chłopskiej i rzemieślniczej, na armji zapasowej proletariatu, na bezrobociu i nędzy szerokich kół ludowych i na rażących kontrastach społecznych między próżniactwem bogatych a ubóstwem pracujących, produkuje prócz klasy proletariatu, utrzymującego społeczeństwo swą pracą, jako osad jej, warstwę proletariatu łajdackiego, utrzymującego się między innymi z przygodnych wykroczeń przeciw własności prywatnej. Kapitalizm produkuje kradzieże i grabieże z taką samą koniecznością prawa natury, jak produkuje nadwartość. W czasach kryzysów, przełomów historycznych społeczeństwa burżuazyjnego, ta cicha wojna z własnością prywatną w jego łonie wybucha gwałtownie na powierzchnię w postaci bandytyzmu. Już pierwsze kroki kapitalizmu na arenie dziejowej oznaczone były w całej Europie zachodniej powszechnym szalonym wybuchem bandytyzmu. Ruszone z posad, podminowane społeczeństwo średniowieczne, rozluźnione więzy i stosunki społeczne, nagła ruina milionów drobnego włościaństwa, wyzutego brutalnie przez arystokrację ziemską z mienia i środków do życia, wszystko to znalazło wyraz w niesłychanym rozszerzeniu się bandytyzmu. Za Elżbiety w Anglii rozpoczyna się krwawa krucjata społeczeństwa burżuazyjnego przeciw swemu własnemu cieniowi, prawodawstwo drańskie przeciw „włóczęgostwu“, najdziksze okrucieństwa przeciw pozbawionym środków do życia, piętnowanie rozpalonym żelazem, obcinanie uszu, tysiące szubienic rocznie. Z Anglii szlak krwawy ciągnie się przez Francję, Holandję, Włochy — wszędzie, gdzie przeszedł tratujący pochód zdobywczykapitału. Ogniem i żelazem społeczeństwo zdławiło rokosz przeciw prawnemu porządkowi, ochraniającemu świętość własności prywatnej, ale w każdym większym przesileniu społecznym bandytyzm wybucha nanowo, jako zjawisko masowe. W wielkiej rewolucji francuskiej doszedł on za czasów Dyrektorjatu do rozmiarów olbrzymich. „Można — pisał Vandal w swym dziele „L'avénement de Bonaparte“¹⁾ — obje-

1) „Wstąpienie na tron Bonapartego“.

chać Francję z północy na południe i z zachodu na wschód, nigdzie nie usłyszysz się innych rozmów, jak o „rojalistycznych rozbójnikach“, o zatrzymanych dylizansach, ograbionych kurjerach i zabitych patryotach. — W wielu wsiach i miasteczkach tylko dzień należy do Rewolucji — do urzędników, przepasanych trójkolorową szarfą, do napuszonego i despotycznego frazesowiczów. Skoro następuje noc, wraca z nią odwet przeszłości: tajemnicze cienie ukazują się w gminie, drzewo wolności zostaje zrąbane lub zniekształcone, czapka frygijska zdjęta z drąga... anonimowy cios szabli załatwia stare rachunki z jakimś miejscowym jakobinem; czasami cała rodzina zostaje napadnięta, głowa rodziny posiekany szabłą, kobiety zgwałcone, domostwo puszczane z ogniem i czerwona łuna pożaru oświeca horyzont“. Ma się rozumieć, że „rojalizm“ był po większej części tylko szyldem bandytyzmu. Specjalna komisja, wysłana do zbadania tej plagi za Konsulat na prowincję, wykryła, że w niektórych departamentach podróżujący obowiązani byli brać glejty od hersztów zbójceckich i okupywać się od grabieży. Woźniców ostrzegaly plakaty, że jeśli nie będą mieli przy sobie conajmniej czterech luidorów, będą rozstrzelani, co też nieraz miewało miejsce. W innej okolicy 74 gminy uzbroidły się wspólnie w celach samoobrony przeciw bandytom i wiodły z nimi prawidłową wojnę. To samo miewało, acz w mniejszych rozmiarach, miejsce i podczas rewolucji 1848 r. we Francji i w Niemczech. Kryzys, bezrobocie, głód i bandytyzm — to były objawy, towarzyszące każdej rewolucji. Obecne grasowanie bandytyzmu w Królestwie i po części w Rosji jest więc zjawiskiem nowym i zdumiewającym a przez „socjalistów“ wywołanym tylko dla samej burżuazji, której normalne i nieodłączne objawy jej własnego panowania wydają się zawsze anomaljami, o ile skierowane są przeciw niej samej.

Ale jeden rys odróżnia uderzająco „anarchję“ w dzisiejszej rewolucji od wszystkich poprzednich: między bandytyzmem a rewolucją była zawsze przepaść, bandytyzm był zawsze nie tylko z rdzenia swego, ale i z kolorów zewnętrznych sojusznikiem kontrrewolucji. Krótkie dni politycznego panowania proletariatu w r. 1848 i 1871 w Paryżu zaznaczyły się między innymi w rejestrach sądowych białymi kartami, zupełnym brakiem kradzieży i rozbojów. Dopiero z utrwaleniem na nowo władzy burżuazji, jak nieodstępne jej cienie, wróciły do Paryża prostytutka i zbrodnia. Dziś przepaść zapełniona, granica zatarta, wojna partyzancka opryszków przeciw własności prywatnej pomieszana z walką klasową robotników przeciw ustrojowi społecznemu i politycznemu, metody łajdakięgo proletariatu zlewają się z akcją proletariatu rewolucyjnego, na ławie podsądnych w sądzie wojennym, w celach więziennych, na szubienicy niepodobna rozróżnić dziś rewolucjonisty, ginącego za ideę wyzwolenia ludzkości, od łotrzyka, który padł ofiarą swej niezręczności przy łowieniu ryb w mętnej wodzie i który bez drgnienia wymierzył lufę brauninga w pierś ludzką, aby zabrać „36 rs. gotowizną“.

To bezprzykładne w dziejach rewolucji pomieszanie obozów, — bandytyzm pod flagą rewolucji, lumpenproletariat pod flagą socja-

lizmu — zmieniło całkiem charakter dramatu, odgrywającego się dziś w kamiennych murach łódzkich i warszawskich kazamatów. Nie tylko szeroka struga krwi, ale i błota spływa ze stoków Cytadeli, z miejsc stracenia, gdzie dotąd ginęli tylko czyści. Przerazająca demoralizacja w szeregach więźniów, zdrada i zaprzecanie sumienia, stające się objawem powszednim, zdradzają na sądzie wojennym i w grobowej ciszy kaźni sceny z przedpiekła: wczorajszych „bojowców“, wskazujących dziś na sądzie z lodowatym cynizmem siepaczowi tuziny swych towarzyszków walki, wczorajszych zdrajców, wrzucanych przez żandarmów po zużyciu do celi ich własnych ofiar na rozszarpanie, jak ów Jelonek, rozpaczliwe usiłowania samobójstwa doprowadzonych złudnemi obietnicami lub katuszą do zdrady i żałujących swego upadku... A z drugiej strony sceny o charakterze potwornej parodji: owa Owczarkówna w roli Karoliny Corday, — naiwne proste dziewczę, swego czasu pomagające Wandzie Krahelskiej przy bezskutecznym zamachu na Skałona i dające potem szpiegowi, przedstawiającemu się za adwokata, z naiwnością dziecka i ze wszystkimi szczegółami opis swej zbrodni, prowadzącej ją na szubienicę. I tuż obok trzech młodych hołyszów, którzy w podmiejskiej restauracji uraczywszy się gęsią, zabierają resztki swej uczty z sobą i zamiast zapłaty strzelają w sufit z brauningów, za co dostają również trzy wyroki śmierci. Oto dlaczego ponury obraz krwawej rozprawy sądowej kontrrewolucji ze swemi ofiarami budzi dziś, mimo straszną ilość ofiar i strugi krwi bezustannie płynące, w szerokich kołach więcej odrazy, niż sympatji, więcej politowania, niż czci i więcej przygnębienia, niż zapału.

Takie są dzisiejsze skutki szalonej taktyki socjalpatriotyzmu — „eksproprjacji“, „partyzantki“, teroru, uprawianych z zaślepieniem przez P. P. S. przez lat kilka mimo bezustanne ostrzeżenia Socjaldemokracji. I w Rosji istnieje partja o pokrewnym drobnomieszczańskim charakterze, hołdująca grubej materialnej koncepcji walki rewolucyjnej w postaci brauninga i bomby. Ale instynkt szczerych socjalistów i poważnych polityków, jeśli nie zasadnicze stanowisko, ostrzegły rosyjskich socjalistów-rewolucjonistów przed ześlizgnięciem się z taktyki teroru do metody i taktyki lumpenproletariatu. Tylko naszym bezmózgim utopistom nacjonalizmu, wyzutym zupełnie z ducha walki klasowej, dane było doprowadzić na terenie najdojrzalszego i najbardziej rewolucyjnego proletariatu taktykę rewolucji do zupełnego pomieszanania z praktyką opryszków. Awanturniczość w pojmowaniu zadań i warunków walki klasowej, płynąca z błakających się po głowach socjalpatriotów łachmanów tradycji „partyzanckich“, z majaceń powstańczych, połączona z czysto mechanicznym pojmowaniem środków rewolucji i stąd przecenianiem technicznych narzędzi walki: zasobów pieniężnych i broni, wreszcie — z nacjonalistycznym stanowiskiem względem wojska w Polsce, jako żywiołu obcego i wrogiego z natury, nie zaś jako części ludu robotniczego, którą należy uświadomić i pozyskać dla sprawy proletariatu, doprowadziły drogą naturalną do tego wybijania anarchistycznej taktyk w szeregach P. P. S., które uczyniło niebawem z bezsensowne

strzelaniny do stójkowych i ograbiania sklepów wódczanych główną „akcją” partji, zwącej się socjalistyczną. Dalszym nieuniknionym skutkiem tej „akcji” było wyspecjalizowanie „techniki bojowej”, wyodrębnienie jej od agitacji, od ośrodka duchowego partji, od idealnej zawartości walki klasowej, za czym musiało iść obniżenie moralnego i umysłowego poziomu wśród szeregow „bojowych”. Że wśród ludzi, których jedynym rzemiosłem „rewolucyjnym” stało się systematyczne ograbianie kas i napady z rewolwerem w rękę, którzy zaprawiani byli do igrania życiem ludzkim — własnym i cudzym — na chłodno, w pojedynkę, bez podniosłych momentów walki masowej, powstać musiał niebawem cynizm i deprawacja moralna, że po grabieżach dla partji nastąpić musiały grabieże na własny rachunek „bojowców”, a po lekkomyślnej fanfaronadzie wyśrubowanego bohaterstwa — aż nazbyt często upadek moralny wobec widma szubienicy, strach i zdrada, to przewidzieć musiał każdy, kto umiał rozróżniać smutną arlekinadę anarchistyczną od dramatu dziejowego proletarjackiej walki klasowej.

Ostrzeżenia Socjaldemokracji sprawdziły się aż nazbyt srogo na losach partji, uprawiającej karygodną taktykę. P. P. S. upadła, upaść musiała w wirze rewolucji rosyjskiej dlatego, że była partją nacjonalistyczną, zbudowaną na tradycjach drobnomieszczańskich, na reakcji społecznej, nie na rozwoju społecznym i wynikającej zeń walce klasowej. Ale historia zrzuciła, że ostatnim p o w o d e m jej rozbicia się, mieczem, który dokonał na niej nieuniknionych losów, była ta sama taktyka anarchistyczna, którą partja ta doprowadziła w Polsce do największego rozpasania na hańbę sprawy rewolucyjnej. I pozostanie plamą na puklerzu tego skrzydła P. P. S., które usiłuje zerwać teraz z całą swą przeszłością partyjną, że zdobyło się na krytycyzm i zwątpienie o zbawienności awantur terorystycznych nie wtedy, kiedy sprawa proletariatu aż nadto widomy stąd szwank ponosiła, lecz wtedy dopiero, gdy sam organizm partyjny, zgangrenowany jadem anarchizmu, rozpadać się począł na kawały.

Teroryzm, jak i anarchizm, jako objawy bezpłodnej z natury swej taktyki, wyczerpują się po pewnym czasie same przez się. Eksperymenty socjapatryjotyczne na tym polu skończą się niechybnie zupełnym wyczerpaniem sił. Ale skutki tych eksperymentów proletariatu i rewolucja długo jeszcze, niestety, odczuwać będą. Obecny ponury dramat egzekucji, rząd szubienic, rzucających dziś kir żałobny na ciemną i tak już epokę tryumfu kontrrewolucji, to dalszy ciąg tych zboczeń. Niema walki rewolucyjnej bez ofiar. Ale każda kropla przełanej krwi bojowników winna być siewem przyszłości, od każdej szubienicy, wzniesionej za sprawę wyzwolenia, winien bić blask, opromieniający dzieło rewolucji, oświecający umysły, podnoszący duchy, krzepiący wiarę w zwycięstwo. Ofiary, które giną dziś dziesiątkami na stokach Cytadeli i w kazamatach łódzkich za bandytyzm i zamachy terorystyczne, to ofiary, idące na marne, to krew przełana na próżno. Odrażający dramat tych ofiar obłędu politycznego zdolen wywołać tylko pomieszanie pojęć i zwątpienie w nieuświadomionych jeszcze kołach ludowych.

Wypływa stąd dla rewolucyjnego proletariatu obowiązek surowy — załatwienia ostatecznego rachunku z wszelkimi pociągami do taktyki anarchistycznego awanturnictwa. Z obecnej fazy kontrrewolucyjnego tryumfu proletariatu nasz wyjść powinien zahartowany doświadczeniem politycznym, oczyszczony gruntownie z naleciałości anarchistycznych. Dla Socjaldemokracji zaś wypływa stąd zdwojone zadanie wzniesienia w Polsce nanowo poniszczonych i rozwalonych przez socjalpatriotyzm szanów i wałów granicznych między obozem walczącej klasy robotniczej a szumowinami burżuazyjnego społeczeństwa, między taktyką rewolucji a metodą lumpenproletariatu.

Przyszłe wznowienie rewolucyjnego ataku musi znaleźć w Polsce proletariackiej „dom oczyszczony z śmieci“, a smutne ofiary, ginące dziś dziesiątkami pod ręką kata carskiego, powinny znaleźć przynajmniej tę nagrodę, że krwią swą okupią uleczenie szeregów rewolucyjnych z jednego z najfatalniejszych błędów politycznych.

Czarna karta w historii rewolucji, zapełniona dziejami tego błędu i jego ofiar, to znowu dorobek historyczny nacjonalizmu, którego funkcją ostatnią jest snąć być — w swej odnodze zachowawczej — cerberem kontrrewolucji i filarem imperjalizmu rosyjskiego, w odnodze zaś „rewolucyjnej“ — hańbą i zakałą obozu rewolucyjnego.

Przyczynek do uzasadnienia programu rolnego Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji¹⁾.

Napisał P. Masłow.

Kwestja rolna jest jedną z najtrudniejszych i najbardziej zawiłych kwestji nie tylko w Rosji, lecz również w rozmaitych krajach Europy zachodniej. Partje socjalistyczne różnych państw zachodnio-europejskich, napotykając na drodze do wypracowania programu rolnego cały szereg sprzeczności, zrodzonych przez współczesne stosunki w gospodarce wiejskiej, z trudem zaledwie zdołały zorjentować się w nich i stworzyć mniej lub więcej zadawalające programy agrarne. W Rosji ta kwestja jest bez porównania bardziej złożoną, niż w którymkolwiek z krajów Europy zachodniej i to nie dlatego jedynie, że stosunki kapitalistyczne rozwinięte są tu słabiej i że przechowało się dotąd więcej przeżytków pańszczyzny, ale dlatego również, że Rosja pod względem zajmowanego przez się obszaru przewyższa

¹⁾ Porządek dzienny najbliższego Zjazdu S. D. K. P. i L. zawiera punkt o stanowisku jej względem agrarnego programu S. D. P. R. R. Jak wiadomo w łonie Socjaldemokracji rosyjskiej walcą ze sobą w kwestji żądań agrarnych dwa prądy. Poniżej podajemy napisany dla naszego czasopisma artykuł P. Masłowa, uzasadniający żądanie municypalizacji ziem szlacheckich, klasztornych i t. d., uchwalone na zjeździe partyjnym w Sztokholmie. W następnym numerze P. S. podamy artykuł p. N. Lenina, przedstawiciela przeciwnego kierunku, domagającego się przyjęcia do programu postulatu nacjonalizacji gruntów.

wszystkie państwa europejskie razem wzięte, oraz że panuje w niej taka różnorodność w zakresie stosunków rolnych, jak nigdzie w Europie. Na terenie Rosji spotykamy w Polsce i w krajach Południowo-zachodnim oraz Nadbałtyckim stosunki kapitalistyczne, na Litwie i Białej Rusi — drobne zagrodowe posiadłości włościańskie, w Rosji centralnej — wspólnotę rolną, w kraju Zakaukaskim — stosunki napoły feodalne, w niektórych miejscowościach Syberji — współzycie rodowe i także władanie, gospodarkę prawie naturalną w punktach, odległych od kolei żelaznych i wytwarzanie wyłącznie dla rynku w okręgach do kolei zbliżonych, wysoką kulturę rolną w kraju Zachodnim, oraz dzikie pasterstwo, a nawet i gospodarkę myśliwską na południu i t. d. i t. d. Jeżeli się przytym weźmie pod uwagę, że każdy poszczególny okręg Rosji, złożony z kilku gubernji, przewyższa rozmiarem każde z państw Europy zachodniej, to stanie się zrozumiałym, czemu np., frakcja socjaldemokratyczna w 2-iej Dumie Państwowej w swym „memorjale informacyjnym“ w sprawie rolnej zmuszona była dać obraz stosunków rolnych podług okręgów: stosunki te są w rozmaitych okręgach tak różne, że celem dokładnego oświecenia ich w całej Rosji było koniecznym scharakteryzować je dla każdego okręgu osobno, aby uzasadnić swój program i wykazać nieodpowiedniość wszystkich innych.

Jednakowoż przy opracowaniu programu rolnego wypadło Socjaldemokratycznej Partji Robotniczej Rosji liczyć się, rzecz prosta, nie tylko z warunkami gospodarczymi, lecz przyjąć oraz pod uwagę względy polityczne, taktyczne i inne.

Socjaldemokraci uznają, że rozwój sił wytwórczych jest niezbędnym warunkiem postępu społecznego i ostatecznego zwycięstwa socjalizmu; z tego względu urzeczywistnienie programu rolnego partji socjaldemokratycznej powinno być krokiem naprzód ku wcieleniu w życie jej ideału. Dlatego też Socjaldemokracja nie może przyjąć nawet najbardziej pojętnego programu, jeżeli jego urzeczywistnienie powstrzymałoby rozwój gospodarczy kraju. Podział ziem szlacheckich wydaje się być np. najprostszym rozwiązaniem kwestji rolnej i dla drobnych posiadaczy może on w pewnych wypadkach uchodzić za najbardziej pożądanym. Atoli Socjaldemokracja nie może kierować się ideałami drobnego posiadacza, chcącego często powstrzymać rozwój sił wytwórczych kraju dla ocalenia drobnej własności.

Jak bardzo mamiącym jest takie proste rozwiązanie sprawy rolnej, można wnosić z tego, iż wielu socjaldemokratów skłaniało się ku przyjęciu tego właśnie uproszczonego załatwienia kwestji. Zresztą, propozycja przyjęcia programu podziału ziem szlacheckich oparta jest przede wszystkim na nieznanomości tej właśnie różnorodności stosunków gospodarczych w Rosji, o której nadmieniliśmy na początku artykułu. Gdyby podzielić rolę między chłopów, to, pominąwszy wynikające stąd szkodliwe skutki dla rozwoju gospodarki, do czego jeszcze powrócimy, środek ten doprowadziłby w niektórych okręgach do faktu, iż zamiast dwóch czy trzech wielkich posiadaczy z pomiędzy kupców lub szlachty powstałoby kilkudziesięciu mniejszych właścicieli folwarków — chłopów, w innych zaś miejscowo-

ściach położenie ludności nie uległoby polepszeniu w najmniejszej nawet mierze. Tak np. ludność w okręgu wschodnim oraz południowo-wschodnim, mając z nadziału po 30 diesiatin na „duszę“, i obecnie wypuszcza pewną część ziemi w dzierżawę przesiedleńcom. Gdyby w takich słabo zaludnionych miejscowościach o wielkiej ilości ziem szlacheckich i uwłaszczonych, pierwsze z nich zostały podzielone między chłopów miejscowych, wówczas uległaby zwiększeniu jedynie ilość mniejszych posiadaczy, wyzyskujących przesiedleńców, którzy przybywają do tych słabo zaludnionych punktów. I odwrotnie, w niektórych gminach zupełnie brak ziem szlacheckich i włościanom nicby się nie dostało. Wogóle uznanie podziału ziemi prowadzi logicznie do uznania utopijnej zasady „równomiernego użytkowania z roli“, gdyż skoro już dzielić ziemię, to naturalnie tylko na jednakowe części w granicach każdego okręgu. Jest to jednak zarazem niewykonalne, gdyż posiadłości dworskie bynajmniej nie są równomiernie rozrzucone po różnych gminach, powiatach i guberniach, a to samo da się powiedzieć również i o bogactwach naturalnych. Gdyby tak np. podzielić między okoliczną ludność puszcę Białowieską, tedy każdy otrzymałby olbrzymią ilość lasu — cały majątek, — a czy możnaby to jednak uznać za rozwiązanie sprawy rolnej?

Nie możemy zresztą krytykować poglądów zwolenników podziału (jak ich nazywają w Rosji — „razdelistow“), gdyż nie przedłożyli oni nigdy żadnego konkretnego projektu. Czy podlegają np. podziałowi grunta rządowe i apanażowe (udielnynja ziemi), oraz lasy folwarczne i skarbowe i t. d.? Gdyby np. podzielić dominja wielkich posiadaczy rolnych na Uralu, to w niektórych miejscowościach na jednego mieszkańca przypadłoby po 500 do 1000 diesiatin, jeżeli zaś lasów nie dzielić, to jak postąpić z niemi? Wyrąb lasów przez chłopów był jedną z najbardziej pospolitych form ruchu rolnego w czasie rewolucji i sprawa użytkowania z lasów należy również do kwestji rolnej. Być może, że zwolennicy podziału zechcą podzielić i lasy, z których użytkują plemiona myśliwskie na północnym wschodzie — nie mamy jednak w tym kierunku żadnych danych. Atoli już z przytoczonych przykładów staje się jasnym, że sprawa nie jest bynajmniej tak prostą, jak przedstawiają ją zwolennicy podziału.

Nadmieniliśmy już poprzednio, że program rolny nie powinien mieć tendencji do powstrzymania rozwoju sił wytwórczych. Rozpatrując z tego stanowiska projekt podziału ziem szlacheckich, musimy uznać go za najbardziej reakcyjny. W licznych okręgach Rosji istnieje już wielka intensywna gospodarka kapitalistyczna, zatrudniająca dziesiątki i setki tysięcy osób proletariatu wiejskiego. W kraju Nadbałtyckim, w Polsce i w kraju Południowo-zachodnim egzystują już tego rodzaju wielkie gospodarstwa, których podział byłby olbrzymim krokiem wstecz w rozwoju gospodarki wiejskiej. Tak np. w kraju Południowo-zachodnim znajdują się wielkie plantacje buraków o tak wysoce intensywniej gospodarce, że na płacę roboczą wydatkuje się tutaj po 100 rb. na diesiatinę. Gdyby plantacje te uległy podziałowi, wów-

czas włościanin otrzymałby nie więcej niż 25 rb. dochodu z dziesiętyny.

Istnieje mniemanie, jakoby podział gruntów mógł tylko na krótki przeciąg czasu spowodować upadek sił wytwórczych, oraz że wkrótce po podziale ziemia znowu skoncentrowałaby się w posiadaniu kapitału i gospodarka kapitalistyczna rozwinęłaby się bardzo szybko. Nie mówiąc już o dziwactwie idei podziału gruntów w tym przekonaniu, że skupią się one po staremu w rękach większych posiadaczy rolnych i że powstaną znowu dawne stosunki, samo rozdrobnienie roli w wysokim stopniu utrudni proces powstania wielkiej gospodarki rolnej.

Przypuśćmy, że grunta jakiegoś folwarku zostały podzielone na działki a, b, c, d, e, f, g, h, k, l i t. d. Przypuśćmy dalej, iż w ciągu lat dwudziestu połowa tych działek skoncentrowała się w rękę jednej osoby. Skoro jednak kupować działki można od tych jedynie posiadaczy, którzy zmuszeni są je sprzedawać, to nabyte grunta nie mogą tworzyć jednej całości. Jeżeli zostały skupione działki b, d, f, h, l i t. d., pomiędzy którymi znajdują się działki a, c, e, g, k i t. d., należące do drobnych posiadaczy, wówczas drobna gospodarka pozostanie na wszystkich działkach, które kapitalista będzie wypuszczał w dzierżawę, nie mogąc gospodarować na nich na wielką skalę.

Stan taki wytworzył się np. w Belgji, gdzie drobne działki skupiają się w rękę kapitalisty, a jednak na tych działkach istnieje lichwiarsko-pańszczyźniana gospodarka dzierżawna, gdyż niema możliwości połączenia ich z sobą i zorganizowania wielkiej gospodarki. We Francji, jakkolwiek upłynęło już sto lat od „podziału“ ziem szlacheckich, trzyma się na nich dotychczas drobna gospodarka i drobni posiadacze byli w ciągu tego stulecia najpewniejszym oparciem reakcji. Wogóle widzimy, że wielka gospodarka rozwija się pomyślnie tam, gdzie zachowała się wielka własność rolna; na dużym bowiem obszarze gruntu można prowadzić zarówno wielką jak i drobną uprawę, podczas gdy na małej działce roli tylko ta ostatnia daje się stosować.

Z drugiej strony połączenie rozbitej na drobne działki roli jest sprawą bardzo powoli posuwającą się naprzód, sprawą, która może być doprowadzona do końca dopiero w ustroju socjalistycznym. Jasnym jest więc, że im więcej drobnej własności rolnej pozostanie jako wynik ustroju kapitalistycznego, tym trudniejszym będzie przejście do socjalizmu.

Ruchy chłopskie lat 1905—1907 dowiodły, że proletariusz wiejski rozumie zbędność i nieracjonalność podziału gruntów. Podczas gdy w Rosji centralnej i południowej włościanie domagali się ziemi i zniżenia czynszów dzierżawnych, w okręgu Południowo-zachodnim, w Polsce i kraju Nadbałtyckim, gdzie prowadzona jest gospodarka kapitalistyczna, chłop-parobek żądał podwyższenia płacy zarobkowej i bynajmniej nie dążył do unicestwienia wielkiej gospodarki. Rzecz prosta, że gdyby Socjaldemokracja karmiła proletarijat rolny nadzieją podziału gruntów, być może, że parobcy przejęliby się wówczas ideologią drobnego posiadacza (w Petersburgu

socjaliści-rewolucjoniści mieli przez krótki przeciąg czasu znaczne powodzenie wśród robotników, gdyż obiecywali rolę w wszystkim), na szczęście jednak Socjaldemokracja nie dała się porwać zwodniczym ideom podziału gruntów i nie budziła w robotnikach wiejskich instynktów posiadania.

Idea podziału szkodliwa jest przez to właśnie, że nie tylko w proletariatusz wiejskim, lecz również i w miejskim wywołuje utopijną nadzieję uzyskania i zapewnienia sobie własności rolnej. Szkodliwość tych złudzeń, sianych z powodzeniem czasem nawet wśród proletariatusu miejskiego, właśnie polega na tym, że cała olbrzymia energia rewolucyjna ludu roboczego zostaje skierowana na fałszywą drogę. Jeśli demoralizuje się robotników w ten sposób, że każdy z nich będzie się spodziewał posiadać własne niezależne gospodarstwo, i podsyca się te złudzenia przez ideę podziału gruntów, wówczas zanika klasowy punkt widzenia i każdy robotnik poczyną żywić nadzieję, że właśnie on, w odróżnieniu od innych, będzie mógł stać się samodzielnym gospodarzem. A skoro pocznie tak mniemać, utraci wnet zrozumienie stanowiska klasowego, spodziewając się, iż on właśnie zdoła się zagospodarować, zapomni, że wszyscy proletariusze nie mogą być posiadaczami. Tak wszyscy grający na loterii naogół przegrywają, ale każdy spodziewa się, że jemu właśnie przypadnie wielka wygrana. Gdyby proletariatus dał się porwać idei podziału gruntów, to otrzymałby pusty bilet za olbrzymio wysoką cenę, a ceną tą byłoby utracenie wszystkiego, co daje się wywalczyć na drodze niezależnej polityki klasowej, nadzieja bowiem stania się posiadaczem najsilniej tłumii ideę proletariatuską. Któż zdoła zaręczyć, że w razie gdyby do programu wniesiono podział gruntów szlacheckich, robotnicy, a głównie robotnicy wiejscy, nie zechcieliby otrzymać „kawaleczek” roli pod swą gospodarkę?

Klasa robotnicza nie powinna dążyć do pochwylenia roli dla siebie, proletariatusz bowiem nie może mieć własnego gospodarstwa. Nie może ona jednak pozwolić, by w zamian jakakolwiek inna klasa społeczna zagarnęła grunta na swą korzyść. Zastąpienie posiadaczy rolnych ze szlachty przez liczniejszych od nich takich samych posiadaczy-włościan nie stanowi różnicy dla proletariatusu, nie pomoże mu ani zaszkodzi, gdyż właśnie posiadanie gruntów określa polityczną i ekonomiczną rolę klasy je posiadającej: włościanin, wzięwszy w swe ręce monopol posiadania ziemi, stanie się nie mniej zaciętym wrogiem proletariatusu, niż współczesny obszarnek-szlachcic. Dla proletariatusu najkorzystniejszym jest takie rozwiązanie kwestji rolnej, które najradzykalniej znosi stosunki dotychczasowe oraz najlepiej zabezpiecza i utrwała zdobycze demokracji. Zagarnięcie i podział gruntów przez jakąkolwiek poszczególną klasę szkodliwy jest nie tylko dla proletariatusu, lecz również dla całej demokracji: albowiem warstwy ludności, które zagarnęły ziemię, stają się najbardziej zajadłemi przeciwnikami tych właśnie klas demokratycznych (a więc i proletariatusu), które nie mogły i nie chciały pochwylić gruntów w swe ręce.

„Demokratyzacja” stosunków posiadania roli polega nie na od-

daniu władania gruntami innym, niż dotychczas, osobom, a na oddaniu jej do rozporządzenia demokracji.

Miasto, które w ustroju kapitalistycznym zawsze przoduje pod względem demokratyzacji ustroju społecznego, wszystkie swe grunta, prócz będących podbudynkami, trzyma w ręku władzy municypalnej, i myśl o podziale gruntów, należących do miasta, pomiędzy właścicieli domów, wydałaby się tu dziką. Zwolennicy podziału nie doszli dotąd jeszcze do takiej propozycji, gdyż jasnym jest dla wszystkich, że w interesach proletariatu leży zdemokratyzowanie samorządu miejskiego, nie zaś podział gruntów, będących własnością miasta, który mógłby mu tylko przynieść szkodę. Podobnie nie przyjdzie nikomu do głowy żądać oddania gruntów miejskich w ręce państwa, bodajby nawet najbardziej demokratycznego, gdyż władza państwowa bynajmniej nie na korzyść ludności wyzyska kolosalną siłę materialną, jaką jest możność rozporządzania gruntami miejskimi.

Proletariatowi zależy, by wieś nie pozostawała w tyle za miastem, by również i tam nie tylko zostały podkopane podwaliny ustroju stanowego, lecz aby jednocześnie olbrzymia potęga materialna w postaci wielkiej własności rolnej znajdowała się w rękach demokracji.

W chwili obecnej poważna część gruntów należy do włościan i w trakcie rewolucji burżuazyjnej nie można znieść tej formy posiadania, gdyż trzyma się jej olbrzymia większość ludności. Można jednakowoż usunąć ramy stanowe, w jakich zamknięci są włościanie, jako posiadacze roli. Dlatego też w punktach pierwszym i drugim programu rolnego Socjaldemokracji wystawiono żądanie zniesienia wszystkich ograniczeń stanowych, jakie ciążą na włościanach i ich własności rolnej. To pierwsze żądanie określa stosunek Socjaldemokracji do ziemi, jaką otrzymali włościanie przy uwłaszczeniu.

Lenin w swym projekcie programu rolnego, przedłożonym zjazdowi Sztokholmskiemu, proponował, zapożyczwszy pomysł od „narodników“, uznanie nacjonalizacji (upaństwowienia) gruntów zarówno szlacheckich, jak i pochodzących z uwłaszczenia¹⁾. Utopijny ten i reakcyjny w danych warunkach projekt nie został przyjęty, gdyż autorowie jego najzupełniej nie liczą się z układem stosunków. W wielu okręgach Rosji, w tej liczbie i w Polsce, chłopci gotowi są z widłami w garściach bronić swej własności rolnej od wszelkich zamachów. Projekt nacjonalizacji gruntów chłopskich jest nie tylko utopijnym, jak nie dającym się wykonać wbrew chęci ludności włościańskiej, lecz również reakcyjnym, gdyż podburzyłby tę ludność przeciw Socjaldemokracji. Zniesienie drobnej własności rolnej, równie jak zniesienie wszelkiej prywatnej własności w zakresie środków wytwarzania, nie może być wynikiem dzisiejszej rewolucji burżuazyjnej, sta-

¹⁾ Proponując swój program, Lenin wysławiał go, jako najbardziej r-r-rewolucyjny. Jeżeli miernikiem rewolucyjności programu jest zdolność jego do odepchnięcia mas ludowych od rewolucji, to projekt ten może być uznany za najbardziej rewolucyjny!

wianie zaś sobie zadań, nie dających się osiągnąć wskutek sprzeczności ich z interesami większej części ludności, oznacza wyrządzenie niezaprzeczonej szkody sprawie rewolucji. Socjaldemokratyczna Partja Robotnicza Rosji przez przyjęcie pierwszego punktu swego programu odrzuciła podobne utopijne zadania, żądając jedynie uwolnienia włościan i ich posiadłości rolnej od przeżytków ustroju feodalnego.

W trzecim i czwartym punktach programu rolnego Socjaldemokracja stawia żądanie konfiskaty gruntów kościelnych, klasztornych, apanażowych, gabinetowych oraz gruntów, znajdujących się w prywatnym władaniu, i oddania ich demokratycznym organom samorządu miejscowego wyższej kategorii, przyczem grunta, niezbędne dla rezerwy przesiedleńczej oraz lasy i wody, mające znaczenie ogólnopaństwowe, przechodzą na własność demokratycznego państwa. Minimalny obszar działek rolnych, podlegających konfiskacie, skreślany jest przez też same organy samorządu.

Wskazaliśmy już poprzednio, że Socjaldemokracja nie może bronić takich środków, które prowadzą do powstrzymania rozwoju gospodarczego kraju; nie może np. stawać w obronie podziału gruntów między włościan, nie może również pozwolić na wzmocnienie jakiegokolwiek bądź klasy — w danym wypadku drobnych posiadaczy — przez zwiększenie obszaru drobnej własności ziemskiej. W pewnych jednakowoż miejscowościach, gdzie niezbędne dla gospodarki włościańskiej bogactwa naturalne znajdują się w rękach wielkich właścicieli, gdzie zaokrąglenie gruntów nadanych chłopom przy uwłaszczeniu jest konieczne — byłoby to niezbędne w interesie rozwoju gospodarki włościańskiej. Przez oddanie gruntów do rąk organów samorządu wyższej kategorii partja ułatwia możność takiego ukształtowania stosunków rolnych w każdej poszczególnej miejscowości w zależności od warunków lokalnych, jakie będzie najwygodniejszym dla miejscowej ludności włościańskiej i w danych warunkach najkorzystniejszym dla proletariatu. Jasnym jest, że np. w Polsce oddanie gruntów demokratycznym organom samorządu miejscowego wyższej kategorii doprowadzi do rozwoju gospodarki kapitalistycznej, która opłacać będzie rentę organom samorządu, że np. cukrownie, aby nie zawiesić działalności, zmuszone będą dzierżawić ziemię pod plantacje buraków i t. d. Uzależnienie wielkich posiadaczy ziemskich od organów samorządu jest dla proletariatu tym korzystne, że im bardziej przy stosunkach kapitalistycznych niezależny jest przedsiębiorca od kontroli społecznej, tym gorzej dla robotników. Pozatym dla demokracji wogóle, a dla proletariatu w szczególności przejście renty gruntowej na rzecz organów samorządu jest korzystniejszym, niż pozostawianie jej w ręku drobnych lub wielkich właścicieli prywatnych. Zarazem jednak Socjaldemokracja nie może pozwolić, by wszystkie grunta skonfiskowane i dochód z nich płynący stały się własnością państwa burżuazyjnego, a to nie dlatego jedynie, że administrowanie olbrzymim majątkiem w postaci roli wymagałoby nadzwyczaj wielkiej armji urzędników, lecz i ze względu na to, że tak kolosalna potęga

materjalna, jak majątek rolny z gruntów skonfiskowanych, byłby w ręku władzy państwowej orężem do zgniecenia samej demokracji.

Niema lepszego środka do wywierania nacisku na wyborców przez partję panującą w państwie, jak majątek rolny, znajdujący się w ręku władzy centralnej i to nawet wówczas, gdy władza ta nie wykorzysta swej kolosalnej potęgi celem odbudowania starego ustroju. Doświadczenie z skonfiskowanymi we Francji gruntami wykazało, że podczas restauracji władza centralna zwróciła nawet właścicielom ziem skonfiskowanych część ich dawniejszych posiadłości. Stojąc na gruncie socjalizmu naukowego, Socjaldemokracja uznaje, że stosunki społeczne znajdują się w ścisłym związku z przeszłością i że unicestwić wpływ jej można jedynie drogą zniesienia tych warunków materjalnych, na których się opierała. Przerost władzy państwowej w Rosji opiera się na jej sile materjalnej, płynącej z wyzysku mas włościańskich, a słabość tej władzy dała się uczuć dopiero wtedy, gdy gospodarstwo włościańskie poczęło przeżywać ostry kryzys, kiedy warunki materjalne stanęły w jaskrawej sprzeczności z warunkami politycznymi. Rzecz prosta, że zadaniem Socjaldemokracji nie może być stworzenie nanowo jeszcze korzystniejszych warunków dla nienormalnego wybijania władzy centralnej.

Aby rozstrzygnąć, do czyich rąk mają być oddane skonfiskowane grunta, porównamy budżety samorządów miejscowych i budżety państwa. Weźmiemy przytym warunki dla programu naszego najgorsze, t. zn. porównamy budżety państw najbardziej demokratycznych np. Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej z budżetami naszych ziemstw szlacheckich. W budżecie państwowym Stanów Zjednoczonych, równie jak innych państw mniej demokratycznych, najważniejszą pozycję rozchodu stanowią wydatki na armję i marynarkę. Jeżeli nie uwzględniać wydatków na pocztę, które pokrywają się z odnośnych dochodów, tedy armja i marynarka pochłaniają 42⁰/₁₀₀ ogólnego rozchodu państwowego. Pozostałe wydatki państwowe czynione są na administrację cywilną, emerytury i odsetki od długów. To samo ma miejsce w Anglii, Francji i innych wielkich krajach europejskich.

Jeżeli rzucimy okiem na budżety naszych szlacheckich ziemstw, to spostrzeżemy, że pozycje rozchodu, ułożone zależnie od rozmiaru, następują po sobie w takim porządku: razem w 34 gubernjach wydatkuje się w procentach sumy ogólnej: na lecznictwo — 27,5⁰/₁₀₀, na oświatę ludową — 17,4⁰/₁₀₀, na drogi komunikacji — 11,9⁰/₁₀₀. Oto najpoważniejsze pozycje wydatków. Przypuszczać należy, że demokratyczne organy samorządu potrafią środki owe zużytkować lepiej, niż reakcyjne ziemstwa. Z porównania budżetów najbardziej demokratycznych państw i najmniej demokratycznego samorządu miejscowego widzimy, że pierwsze z nich zaspakajają w swych funkcjach interesy klas apnujących w ten sposób, że zużywają środki państwowe na narzędzia ucisku proletariatu i demokracji i że samorząd miejscowy, bodajby nawet najbardziej reakcyjny, nie może ich w ten sposób

zużywać. Również przy próbach restauracji ze strony centralnej władzy państwowej, demokratyczny samorząd miejscowy, opierając się na tej właśnie sile, jaką mu dadzą grunta skonfiskowane, potrafi i zdoła oprzeć się tego rodzaju zakusom.

Atoli nie należy, oczywiście, idealizować przyszłego ustroju burżuazyjnego nawet przy municypalizacji gruntów. Jesteśmy w takim położeniu, że musimy wybrać najmniejsze zło. W najgorszym razie może nas spotkać to, że przy podziale gruntów, kiedy własność prywatna nie ulegnie zmniejszeniu, nastąpi rozparcelowanie obszarów, należących do wielkich posiadaczy. Na skutek tego bowiem nie tylko zostanie powstrzymany rozwój wielkiej gospodarki rolnej, lecz również i proletariąt otrzyma w rezultacie takiego podziału liczebny wzrost swych wrogów — właścicieli ziemskich, a to nawet i wówczas, gdyby grunta, dzięki wykupywaniu działów rolnych, znowu skoncentrowały się w ich ręku. Wątpliwym jest, czy przy upaństwowieniu sprawa stałaby lepiej, gdyż państwo burżuazyjne wykorzysta fundusz rolny dla wzmocnienia środków walki z proletariatem, — na wojsko.

Municypalizacja gruntów nie tylko pozwoli uniknąć powyższych niebezpieczeństw, ale zarazem będzie odpowiadała tej różnorodności stosunków w kraju, na które zwracaliśmy uwagę w początku artykułu. Wobec obszaru Rosji, tak wielkiego, że każdy okręg dorównywa swym obszarem kilku państwom europejskim razem wziętym, sposób użytkowania gruntów nie może być jednakowym w różnych okręgach i prawodawstwo ogólnorosyjskie ustalić może jedynie ogólne zasady, jakich będą się trzymać organy samorządu wyższej kategorii przy zarządzaniu i władaniu ziemią. Odsyłając czytelnika do „memorjału informacyjnego“ frakcji socjaldemokratycznej w drugiej Dumie Państwowej¹⁾, w którym dana została charakterystyka różnych okręgów Rosji, tu zaznaczymy jedynie co następuje: istnieją w państwie rozległe okręgi, w których ludność zamieszkuje wśród lasów prywatnych i olbrzymich majątności, których podział jest wykluczony, a zarządzanie przez rząd centralny byłoby i niemożliwym i uciążliwym dla ludności; istnieją dalej inne okręgi o zupełnie swoistych warunkach użytkowania z gruntów, które mogą być regulowane wyłącznie przez organy samorządu i t. d. i t. d.

Uznając szkodliwość oddania funduszu rolnego w ręce władzy państwowej, program Partji tym nie mniej uważa za potrzebne przekazanie tej że władzy rezerwy przesiedleńczej. Na „sprzecznosc“ tę wskazywali przeciwnicy programu, nie zdając sobie jasno sprawy ze znaczenia powyższego środka. Łatwo jednak zrozumieć, że grunta niezaludnione nie mogą odegrać roli narzędzia ucisku ludności. Grunta takie, aby zostać zaludnionemi, wymagają jeszcze nakładu ze strony państwa. Jasnym jest, że nie przynoszą one obecnie dochodu i nie mniej jasnym, że tylko państwo wykładać może środki na grunta, niezbędne dla przesiedleńców, oraz na samą organizację przesiedlenia. Rosja posiada setki milionów diesiatin przestrzeni

1) P. Masłow: Kwestja rolna w Rosji, tom II, dodatek.

dotychczas niezaludnionej, a możliwej do zaludnienia pod warunkiem odpowiedniego nakładu pieniężnego w celu uczynienia ich zamieszkalnymi. Dlatego też Socjaldemokracja w programie swym pozostawia je państwu, uważając, że organizacja przesiedlenia winna być sprawą ogólnopaństwową. Określenie minimalnego rozmiaru gruntów, podlegających konfiskacie, pozostawia program demokratycznym organom samorządu miejscowego dlatego, że warunki gospodarcze w każdym poszczególnym okręgu są zbyt różne, aby można było znaleźć wspólną normę dla całego kraju. Tak np. przeciętny normalny „nadział“ chłopski wynosi w guberniach południowo-wschodnich i w kraju Nadbaltyckim 30—50 diesiatin na zagrodę, podczas gdy w kraju Południowo-zachodnim zaledwie 5 diesiatin. Jasnym jest więc, że gdyby za minimalną normę gruntu, podlegającego konfiskacie, przyjąć np. 30 diesiatin, to w pewnych okręgach wypadłoby wywłaszczyć ziemię prawie wszystkich włościan, podczas gdy w innych okręgach, jak na południowym brzegu Krymu i Kaukazie, posiadłość obszaru 30 diesiatin należy już do wielkich i przedstawia bardzo wysoką wartość.

Z przykładów tych można się przekonać, że warunki życia gospodarczego są niejednakowe w rozmaitych okręgach i że stosunki rolne w okręgach tych układać się będą przy municypalizacji różnorodnie. Socjaldemokracja rozpatruje gospodarkę społeczną i stosunki społeczne w procesie rozwoju i dlatego nie może uznawać tej lub owej normy, regulującej powyższe stosunki, za odpowiednią bez względu na warunki ekonomiczne i miejscowe. Jasnym jest, że określone warunki użytkowania z roli nie dadzą ustalić się na pewien dłuższy przeciąg czasu nie tylko dla całej Rosji, ale że każdy okres w różnych miejscach kraju będzie wymagał pod tym względem odrębnych norm. Dlatego też szkodliwym jest nie tylko podział gruntów, jako przesądzający organizację wyłącznie drobnej gospodarki rolnej, lecz również nacjonalizacja, która niechybnie wywoła próby ustalenia wspólnych norm użytkowania z roli dla całej Rosji. Włościanie z centralnego okręgu rolniczego, stanowiący większość, nie będą się liczyć z tym, że w okręgach południowym, południowo-zachodnim i nadbaltyckim oraz w Polsce gospodarstwo kapitalistyczne rozwinięte jest wyżej: okręgi, zacofane pod względem ekonomicznym, niezawodnie będą przytłaczać bardziej postępowe i powstrzymywać ich rozwój. Naturalnie, że koniec końcem kapitalizm rozwinie się w całej Rosji rolniczej, ale stan centralnego okręgu rolniczego wskazuje, jak zwolnić może ten proces w warunkach nieprzychylnych. Socjaldemokracja, zdając sobie sprawę z tych właśnie niesprzyjających warunków, dodała do programu rezolucję taktyczną treści następującej:

„Popierając wystąpienia rewolucyjne włościaństwa aż do konfiskaty gruntów szlacheckich, Socjaldemokratyczna Partja Robotnicza Rosji zawsze i niezachwianie przeciwdziałać będzie wszelkim próbom powstrzymania postępu rozwoju ekonomicznego. Dążąc przy zwycięskim rozwoju rewolucji do oddania gruntów skonfiskowanych w posiadanie demokratycznych urzędów samorządu miejscowego,

w razie nieprzychylnych po temu okoliczności, oświadczy się Partja za podziałem między włościan tych ziem szlacheckich, na których faktycznie prowadzona jest drobna gospodarka lub które stanowią niezbędne dla zaokrąglenia tej ostatniej użytki. W dalszym swym ciągu mówi rezolucja o zadaniu partji, polegającym na ostrzeganiu proletariatu przed poddawaniem się ułudom systemu drobnej gospodarki. W ten sposób, dopuszczając w pewnych miejscowościach, na skutek panującego tam niekorzystnego układu warunków, możliwość podziału tych gruntów, na których faktycznie prowadzona jest drobna gospodarka lub też koniecznych dla zaokrąglenia posiadłości włościańskich (szachownice, brak wody, łąk i t. d.), Partja uważa za potrzebne podkreślić, że jest przeciwna popieraniu systemu drobnej gospodarki, do czego właśnie zdąża podział gruntów.

Przytoczona rezolucja wskazuje, że Partja liczy się ze złożonością stosunków rolniczych i, uznając za szkodliwe w charakterze ogólnych zarządzeń dla wszystkich skonfiskowanych gruntów zarówno podział jak i nacjonalizację, tym nie mniej, w pewnych wyjątkowych wypadkach, uważa za możliwy do zastosowania i pierwszy z tych środków (rezerwa przesiedleńcza) i drugi. Przeważająca taka wydaje się zbyt dużą osobom, mało obznajmionym z kolosalną złożonością stosunków w rolnictwie i nie liczącym się z tym, że stosunki owe nie posiadają form stałych. Sprawa zdaje się im być zupełnie prostą: podzielić wszystkie grunta lub też upaństwić je, a wyklaruje się wszystko potem!

Niektórzy przeciwnicy municypalizacji roli zwracają uwagę, że oddanie tej ostatniej organom samorządu wywoła w nich dążności separatystyczne. Pominąwszy już, że w zarzucie tym przebija ideologia reakcjonistów, przypuszczających, że nacjonalizm i separatyzm czerpią dla siebie karm z wolności, a nie z ucisku, pominąwszy dalej, że upaństwowienie gruntów wywołałoby wybuch nacjonalizmu, podtrzymywanego przez burżuazję, pominąwszy, to, powiadamy, oryginalnym jest oczekiwanie separatyzmu ze strony każdej gubernji lub organu samorządu miejscowego wyższej kategorii, w którym łączą się dwie gubernje. Przeciwnie, właśnie w tych jedynie warunkach walka ludności miejscowej uwolni się od komplikującego ją zabarwienia nacjonalistycznego.

Wtedy np. proletariusz warszawski na gruncie walki o użytkowanie dochodów z roli zderzy się właśnie z polską, a nie z rosyjską burżuazją, wtedy właśnie chłop polski spostrzeże, że przeciwnikiem jego i wyzyskiwaczem jest nie rosyjska bodajby nawet demokratyczna większość, a burżuazja, z którą się zetknie. Jeżeli dziś nacjonalizm karmi się brakiem wolności językowej, wolności wyznania i t. d., to co byłoby, gdyby i grunta w Polsce ogłoszono za własność państwową? Dlaczego żadne wielkie miasto, posiadające olbrzymi majątek w gruntach, nie wykazuje „dążeń separatystycznych“, jeżeli może wywołać je municypalizacja ziemi? Równie też bezsensownym byłoby dążenie do upaństwowienia lub

podziału gruntów miejskich z obawy, że każde miasto dążyć będzie do stworzenia z siebie niezależnej Rzeczypospolitej. Pozostawmy te obawy reakcjonistom rosyjskim...

Od chwili, kiedy rozpoczął się rozwój kapitalizmu, miasto było ostoją demokracji: zaczynało ono i prowadzi ciągle walkę ze starym ustrojem feodalnym; w mieście najostrzej rozwijają się wszystkie sprzeczności kapitalizmu i miasto właśnie stworzyło formę gospodarki społecznej, z której wyświecono pozostałości feodalizmu. Zadanie demokratyzacji ustroju społecznego polega na utworzeniu podstaw materialnych dla przyłączenia wsi do miasta. W Rosji możliwość ta nie jest jeszcze wykluczona, nie utracona jest możliwość przeniesienia wytworzonego przez miasto demokratyzmu na wieś i oczyszczenia jej od resztek starego ustroju.

Atoli niektórym towarzyszom zdaje się już dzisiaj, że reakcja zwyciężyła na dłuższy przeciąg czasu, że na ruch chłopski liczyć obecnie nie można, a wskutek tego i urzeczywistnienie naszego programu rolnego jest niemożliwe. Gdyby nawet wszystko to było prawdą to i w tym wypadku program rolny Rosyjskiej Socjaldemokratycznej Partji Robotniczej jest najbardziej celowym. Kierując się dwoma pierwszymi punktami jego frakcja socjaldemokratyczna w Dumie Państwowej może np. nawet w chwili obecnej obnażać kastową politykę rządu współczesnego¹⁾ i wskazywać, że w dążeniu do wyzwolenia chłopskiej własności ziemskiej z pęt ograniczeń stanowych, idzie ona dalej — aż do konfiskaty gruntów wielkiej i średniej własności, możliwej, rzecz prosta, przy zdemokratyzowaniu ustroju państwowego. Dopóki trwa porządek dzisiejszy nie znikną półpańszczyźniane warunki bytu włościan, a więc nie zaniknie i konieczność walki włościaństwa i proletariatu o poprawę stosunków w gospodarce rolniczej.

Ale może Socjaldemokratyczna Partja Robotnicza Rosji powinna, podobnie jak niemiecka, zupełnie odrzucić program rolny? Głosy takie rozlegały się, choć co prawda cicho, i wśród rosyjskich towarzyszy-socjaldemokratów. Socjaldemokraci, odrzucający niezbędnosc programu, jednocześnie proponowali zazwyczaj swój własny program, lecz, że tak powiem, nielegalnie, gdyż bronili podziału gruntów, czyli przedkładali program zwolenników tego środka („razdzielistów“), jeżeli tylko czysto anarchistyczną propozycję: „chwytaj ziemię, kto może!“ wolno będzie nazwać programem. Ale jest to program — tylko że anarchistyczny. Dla każdego jasnym jest, iż skoro partje burżuazyjne (kadeeci, trudowicy-ludowcy, październikowcy i inni) wysuwają zagadnienie rolne, to Socjaldemokracja nie może odpowiedzieć, że nie wie, jak zagadnienie

1) Gdyby został był przyjęty projekt Lenina z żądaniem upaństwowienia gruntów włościańskich, to Partja w odpowiedzi na prawo rządowe z dnia 9 lipca (st. st.) mogłaby, równie jak ludowcy (narodniki), odpowiedzieć tylko: „żądamy upaństwowienia tych gruntów!“ — to znaczy postawić żądanie bardziej reakcyjne od prawa rządowego! Zresztą być może nie stawia już teraz Lenin „najbardziej rewolucyjnego“ żądania upaństwowienia „nadziałów“ chłopskich.

to rozwiązać, lub też, że rozstrzygnięcie jego nic ją nie obchodzi. Dla proletariatu to podstawowe zagadnienie współczesności rosyjskiej bynajmniej nie jest obojętnym, gdyż odeń to właśnie zależy dalszy rozwój gospodarki narodowej, przyszłe ustosunkowanie sił społecznych oraz położenie klasy robotniczej w rolnictwie i przemyśle. Gdyby np. miał miejsce podział gruntów, jak to w istocie rzeczy (choć coprawda w formie wykupu) proponują kadeci, to w gospodarce rolnej na długie czasy nie byłoby miejsca dla proletariatu, i Rosja stałaby się na szereg lat państwem drobnomieszczaństwa, w którym dobrze czuliby się właśnie tylko kadeci. Partje burżuazyjne rozumieją, że sprawy rolnej nie można wyminąć, gdyż jest ona naczelną sprawą w życiu Rosji. Aczkolwiek więc burżuazja bynajmniej nie jest skłonna podnosić takie sprawy naczelne, to jednak stosunki gospodarcze silniejszymi są od subiektywnych dążeń klas poszczególnych.

Niestety, niektórzy towarzysze, rozczarowawszy się co do rewolucji, mniemają dziś, że kwestja rolna aczkolwiek marnie, ale tym nie mniej została już rozwiązana na korzyść szlachty.

Podczas gdy w Niemczech, gdzie kwestja ta jest w rzeczy samej rozwiązana dla ustroju wspólnego, nie jest ona nawet dotykana przez burżuazję — „świętość“ własności rolnej uznają i najbardziej liberalni burżuazja — w Rosji liberałowie (kadeci) stawiają bardzo nawet, jak dla burżuazji, radykalny program przymusowego wywłaszczenia części roli, znajdującej się w prywatnym władaniu, i nadania jej, czyli inaczej mówiąc podziału pomiędzy włościan. Widocznie więc i dla burżuazji jest w Rosji jasnym, jak ostro stoi sprawa rolna i jak niebezpiecznie ją omijać.

Socjaldemokracja nie może i nie powinna bać się kwestji rolnej. Gdyby nawet usunęła ją ona z programu, to jednak w praktyce musiałaby zająć względem niej jakieś stanowisko. Tak więc naprzykład frakcji socjaldemokratycznej w Dumie Państwowej wypadłoby na swoje ryzyko i odpowiedzialność wystąpić ze swym programem, jakkolwiek dawano mu nazwę: rezolucji taktycznej, projektu i t. p., gdyż zarówno w Dumie Państwowej, jak i poza nią, toczyć się będzie pomiędzy klasami zawzięta walka na tle kwestji rolnej. Przy braku programu rolnego Socjaldemokracja miałaby tyle programów, ile posiada organizacji...

Smutnym jest, że walka frakcyjna pomiędzy bolszewikami i mieniszewikami doprowadziła do tego, że niektórzy towarzysze i na program rolny patrzą jako na program frakcyjny. Rezultatem takiego stanu rzeczy jest, że Lenin swój niewątpliwie nienadający się do przyjęcia projekt upaństwowienia wszystkich gruntów nazywa rewolucyjnym i możliwym do przyjęcia dla „prawdziwych“ socjaldemokratów, a municypalizację — programem „oportunistycznym“, mieniszewickim, aczkolwiek dla każdego widocznym jest, że projekt upaństwowienia gruntów chłopskich jest szkodliwym oraz nierewolucyjnym i że trudno wyobrazić sobie wszystkie złe skutki, jakie wynikłyby z oddania państwu burżuazyjnemu $\frac{1}{6}$ części kuli ziemskiej. Z tej również racji niektóre zarzuty przeciwko municypalizacji są wyraźnie bezsensowne i nie wytrzymują krytyki. Więc zupełnie po-

zbawiony jest sensu zarzut, że fundusz przesiedleńczy (czyli pustkowie) wzmoże władzę państwową i nacisk jej na ludność. Dalej naprzykład pisał Lenin, że „jeżeli rewolucja zwycięży, wówczas w żadnym razie nie zatrzyma się ona na municypalizacji; jeżeli nie zwycięży — wówczas z municypalizacji wyniknie tylko nowe ograbienie chłopów w rodzaju reformy z roku 61-go“. Cóż to znaczy? Może to, że przy zwycięstwie rewolucji włościanie „nie zatrzymają się na municypalizacji“, sami sobie odbiorą swe grunta nadane i oddadzą je państwu, zgodnie z projektem Lenina, że, jak owa podoficerowa u Gogola, zapragną obić sami siebie, aby tylko program Lenina urzeczywistnić? Przedewszystkiem trzeba zapewnić zwycięstwo rewolucji, a pod tym względem takie albo inne rozwiązanie sprawy rolnej ma wpływ kolosalny. Pisałem już dawniej, że „posiadanie roli jest, równie jak armja, jednym z najpotężniejszych środków panowania klasowego. Jeżeli rola i armja znajduje się w ręku rządu centralnego, to bez względu na to, jaką nazwę nosiłby ustrój polityczny — bodajby nawet republiki demokratycznej — faktycznie wielka burżuazja zdusi demokrację rękami rządu centralnego. W trakcie rewolucji kwestją olbrzymiej wagi jest ugruntowanie demokracji na miejscu i osłabienie „scentralizowanych środków panowania“. Władanie gruntami, oddane rządowi centralnemu, da mu do rąk nie tylko olbrzymią władzę nad włościanstwem, lecz również nad armją. Milicja, o której tak chętnie mówi Lenin, może być zorganizowana wtedy tylko, kiedy potrzebne do uzbrojenia jej środki dawać będzie nie rząd centralny, a samorząd demokratyczny. Karabin strzela jednakowo, niezależnie od tego, czy został kupiony przez rząd centralny, czy przez samorząd miejscowy, lecz w pierwszym wypadku będzie strzelał podług wskazówek rządu centralnego. Powiada też Lenin, że „jeżeli nie istnieje republika i wybieralność urzędników przez lud, to municypalizacja oznacza oddanie gruntów szlacheckich władzom z wyboru, chociażby władza centralna pozostała w ręku Trepowa czy Dubasowa“. Uznaje więc widocznie, że lepiej oddać grunta tej samej władzy centralnej, czyli Trepowowi i Dubasowowi. Zadanie zaś właśnie na tym polega, by unicestwić wszechpotęgę władzy centralnej oraz utrwalić przez przewrót rolny warunki, sprzyjające panowaniu demokracji, rzeczypospolitej, wybieralności urzędników przez lud i t. d., a możliwym do osiągnięcia jest to wyłącznie wtedy, kiedy zorganizowana demokracja rozporządza siłą materialną. Słusznie mówi Kautsky: „Jeżeli, opierając się na tradycjach jakobińskich, przypuszczano a i teraz się jeszcze przypuszcza, że Paryż rewolucyjny łatwiej mógłby narzucić swą władzę Francji przez scentralizowanie rządu, niż drogą szerokiego samorządu gmin, to jest to mniemanie najzupełniej błędne. Paryż rewolucyjny panował właśnie wtedy, gdy samorząd gminny doszedł do najwyższego rozwoju. Proletariat francuski powinien dążyć do możliwie największego osłabienia scentralizowanych środków panowania właśnie przez rozszerzenie samorządu miejscowego, rozumie się, na podstawie powszechnego prawa wyborczego“.

Nie bardziej uzasadnionemi są zarzuty ze strony innych autorów. Tak naprzykład Szamin w broszurze swej: „Municypalizacja czy własność rolna” pilnie dowodzi, że konfiskata gruntów miejskich byłaby dla proletariatu szkodliwą. Chcąc krytykować program, autor dowodzi tylko słuszności jego, skoro znajduje, że dla proletariatu korzystnym jest należenie gruntów miejskich do samorządu miejskiego. A przecież program Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji chce jedynie rozciągnąć municypalizację na grunta szlacheckie, pozostawiając nietkniętymi te, które znajdują się w posiadaniu miast.

Dalej wyraża ten autor obawę, że organy samorządu miejscowego używać będą dochodu z gruntów na potrzeby burżuazji. Przytaczałiśmy już dane co do budżetów państwa i samorządu. Skoro zaś podzielić grunta między włościan, to na czyje potrzeby obrócony będzie wówczas dochód z roli? czy na potrzeby proletariatu?! Następnie dowodzi autor, że drobni posiadacze są reakcjonistami i w samorządzie miejscowym będą mieli na celu własne korzyści. Więc może staną się postępowcami i będą bronić interesów proletariatu — jeżeli podzieli się pomiędzy nich rolę? Kiedyż obrona proletariatu rolnego łatwiejszą jest dla samorządu miejscowego: czy wówczas, gdy grunta należą do samorządu, czy gdy staną się własnością drobnych posiadaczy? Między innemi przytacza Szamin dane o stosunkach rolnych w Belgji. Wynika z nich, że ilość właścicieli ziemskich jest tam mniejszą od ilości działek rolnych, że wskutek rozdrobnienia gruntów wzmagą się dzierżawa lichwiarska, gdyż, nie mogąc złączyć w jedną gospodarkę wszystkich działek nabytych, kapitalista zmuszony jest wypuszczać je drobnym dzierżawcom! Trudno wymarzyć lepszy argument przeciwko podziałowi gruntów.

Bardziej rzeczowych argumentów przeciwko municypalizacji dotychczas nie wysunięto. Rozpatrzmy je skoro się zjawia, gdyż redakcja Przeglądu Socjaldemokratycznego obiecała nam udzielić miejsca dla oświecenia mogących nasunąć się zarzutów.

Związki zawodowe i partja ¹⁾.

Napisał Karol Kautsky.

Towarzysze polscy zwracają się do mnie z żądaniem, abym wyłożył swój pogląd na stosunek, jaki panuje w Niemczech pomiędzy partją naszą a związkami zawodowymi, ponieważ stosunek ten przedstawiany bywa robotnikom polskim jako idealny i godny naśladowania.

¹⁾ Artykuł niniejszy, napisany przez autora w końcu 1905 r. na zaproszenie Zarządu Głównego S. D. K. P. i L., ukazał się w druku w formie broszury wiosną 1906 r. w Warszawie. Ponieważ cały nakład w kilka dni po jej wydaniu był już wyczerpany i praca ta została nieznaną szerokim kołom nowych towarzyszków oraz publiczności rosyjskiej, sądzimy, że na czasie będzie podać ją w przedruku. Kwestja, którą tra-

Prawdą jest, że niemiecka klasa robotnicza może być dumną ze swych związków zawodowych, z szybkiego ich wzrostu, z ich zasobności finansowej, z ich form organizacyjnych, z ich gotowości do walki, inteligencji, ruchliwości i siły. Pod wszystkimi temi względami związki zawodowe Niemiec zajmują dziś pierwsze miejsce i pod wielu względami prześcignęły tak sławione trade-uniony Anglii.

Również stosunek ich do Socjaldemokracji jest lepszy, aniżeli w Anglii, ale pomimo to jeszcze daleki od wzorowego. Pod tym względem Niemcy pozostały w tyle poza innemi krajami, jak np. Danją i Austrią.

Winy takiego stanu rzeczy nie należy szukać po stronie klasy robotniczej Niemiec, lecz w osobliwych warunkach tego państwa.

Gdy po upadku rewolucji 1848 roku proletarjat niemiecki począł się na nowo ruszać, ruch jego jako partji politycznej znalazł z początku więcej wolnej przestrzeni, aniżeli jego ruch zawodowy. Od roku 1867 proletarjat niemiecki posiadał powszechne prawo wyborcze i pewną wolność prasy, natomiast wolność organizowania się w związki w większej części państw niemieckich była bardzo ograniczona przez postanowienia o związkach politycznych. Tym ostatnim po większej części nie wolno było łączyć się pomiędzy sobą, a i dziś jeszcze na ogół nie mogą na członków przyjmować niepełnoletnich i kobiet. Aby uchronić się od tych wszystkich ograniczeń i związanych z niemi szykan policyjnych, związki zawodowe Niemiec były zmuszone unikać wszystkiego, coby pozwalało w nich widzieć związki polityczne. Jakkolwiek zakładała je Socjaldemokracja, jakkolwiek ich członkowie byli wszyscy prawie, a ich kierownicy wyłącznie socjaldemokratami, jakkolwiek panował w nich duch socjaldemokratyczny, który był źródłem ich siły i ich powodzeń, zewnętrznie jednak musiały trzymać się możliwie zdaleka od partji socjaldemokratycznej.

Pomimo to nie uniknęły swego losu na skutek prawa wyjątkowego przeciw socjalistom, wydanego 1878 roku, i zostały przez policję rozwiązane. Prawo to zaszkodziło ruchowi zawodowemu daleko więcej, aniżeli partji politycznej, ponieważ nienaruszonym pozostawiło powszechne prawo wyborcze — ów ze wszystkich środków legalnych najskuteczniejszy środek poruszenia mas proletariatu i zjednoczenia ich pod wspólnym sztandarem. Obok tego organizacja tajna i nielegalna prasa z zagranicy wystarczały do utrzymania działalności partyjnej. Związki zawodowe natomiast wymagają moż-

tuje, jest dla ruchu socjaldemokratycznego u nas i w Rosji obecnie nie mniej palącą, niż przed dwoma laty, a poglądy poniżej wypowiedziane przez znanego teoretyka marxizmu powstrzymają być może nieco w elukubracjach na temat zbawienności bezpartyjnych związków zawodowych tych naszych towarzyszyw rosyjskich, którzy już zbyt bezceremonjalnie szafują naukowym i politycznym autorytetem Marxa i marxizmu dla osłonięcia właściwego sobie oportunistycznego rozmiękczenia mózgu. — Podkreślenia w artykule należą do nas.

Redakcja P. S.

liwości organizacji jawnej, bez której normalnie i szeroko rozwijać się nie mogą — a tej brakowało im długi czas podczas prawa wyjątkowego.

Kiedy zatym zniszczone początkowo całkiem związki zaczęły pod prawem wyjątkowym powoli nanowo powstawać, musiały jeszcze bardziej troszczyć się o to, aby unikać choćby cienia stosunku do prześladowanej Socjaldemokracji, a ta tradycja pozostała nawet wtedy, gdy w 1890 roku upadło prawo wyjątkowe przeciw socjalistom. Ograniczenia prawa o związkach, które już przedtym istniały, nie zostały i teraz zniesione.

W ten sposób, pomimo wewnętrznej wspólności, rozwijał się ruch zawodowy w Niemczech nazewnątrz odrębnie od Socjaldemokracji. Ta odrębność zaostrzała się w miarę, jak związki zawodowe wzrastały w siłę. Dopóki były one słabe, szukały oparcia w silniejszej organizacji politycznej pomimo wszystkie przeszkody prawne, gdyż od tej organizacji otrzymywały siły propagandystyczne i wyszkolonych kierowników. Ale od ostatnich dziesięciu lat organizacje zawodowe prześcignęły liczebnie polityczną i stały się tak silnemi, że mogły, ba, musiały wystawić cały sztab własnych płatnych urzędników, co znowu miało ten skutek, że wzmacniało samodzielność związków zawodowych wobec partji.

Sposoby działania związków zawodowych są wszakże inne, aniżeli sposoby działania partji, warunki ich postępów są inne; gdzie zatym partja i związek zawodowy nie znajdują się w ściślejszym pomiędzy sobą związku i we wzajemnym oddziaływaniu, tam wzajemna ich niezależność prowadzi łatwo do tego, że stają się sobie nawzajem obce, ba, następuje nawet z obydwuch stron stosunek wzajemnie wrogi — przynajmniej warstw kierujących, czasami nawet samych mas. Socjaldemokracja jest zjawiskiem, wobec którego nie może pozostawać neutralnym nikt, kto występuje na widowni życia publicznego. Związek zawodowy, który nie ze względu na ograniczenia policyjne, lecz z przekonania własnego chce być nie socjaldemokratycznym, lecz bezpartyjnym wobec partji robotniczej, walczącej z partjami burżuazyjnemi, przez to samo już oświadcza, że zajmuje wobec Socjaldemokracji stanowisko wrogie, że widzi w niej przeszkodę do swojej skutecznej działalności.

Gdzie wśród robotników istnieją rozmaite kierunki polityczne, tam „bezpartyjny“ związek zawodowy staje się łatwo punktem oparcia dla kierunku, wrogiego Socjaldemokracji. Tak w Anglii liberalizm, we Francji, Włoszech i Holandji anarchizm lub przynajmniej antiparlamentaryzm, w Niemczech rewizjonizm znajdują punkt oparcia w „bezpartyjności“ związków zawodowych.

Odosobnienie walki zawodowej od Socjaldemokracji sprowadza ten skutek, że wszystkie przeciwieństwa, które wynurzają się w ruchu robotniczym, stają się łatwo przeciwieństwami między Socjaldemokracją a związkami, pogłębiają się przez to i zaostrzają i z tym większą trudnością dają się pokonać. Ta formalna bezpartyjność związków zawodowych i wynikające stąd tarcia i sprzeczności z partją stanowią chorobliwy

punkt w niemieckiej Socjaldemokracji, moment, który ją osłabia, sprawia jej wiele bezużytecznej straty siły i kiedyś jeszcze może stać się dla niej bardzo niebezpiecznym. Nikogo z tego powodu oskarżać nie należy. Historycznie rzeczy tak się złożyły pod wpływem osobliwych politycznych warunków Niemiec. Dlatego też bardzo trudno jest je tu pokonać. Ale byłoby to nonsensem, gdyby jakaś bratnia nam partja chciała od niemieckiego ruchu robotniczego, posiadającego tyle wspaniałych stron, przejąć właśnie tę stronę, która jest zapewne jego stroną najsłabszą, i to wtedy, kiedy się ma możliwość stworzenia pomiędzy Socjaldemokracją a związkami zawodowymi stosunku ściślejszego, a przeto i pożyteczniejszego.

Jeżeli jednak już z góry jest rzeczą pożądaną, aby partja i związki zawodowe współdziałały w najściślejszym pomiędzy sobą związku, to z drugiej strony związek ten staje się coraz bardziej niezbędnym, im bardziej posuwa się naprzód rozwój.

Niema nic błędniejszego nad mniemanie, jakoby partja i związki zawodowe posiadały zupełnie różne pola pracy: pierwsza — walkę polityczną, drugie — walkę ekonomiczną. Oddzielenie polityki od ekonomji jest wynalazkiem policji w państwach policyjnych; nie istnieje ono w rzeczywistości i nie daje się również usprawiedliwić w nauce. W Anglii i Francji nauka ekonomji społecznej nazywa się wprost „ekonomją polityczną”. Jeżeli rozważać życie ekonomiczne z punktu widzenia społeczeństwa, a nie jednostki, wtedy widzimy, że na każdym kroku wpływa ono na życie polityczne i naodwrot — jest pod wpływem tego ostatniego. Ze wszystkich oddzielnych współczesnych czynników ekonomicznych państwo jest czynnikiem najsilniejszym, z drugiej zaś strony samo państwo jest tylko wyrazem panowania klasowego, które znowu wynika z życia ekonomicznego. Mało jest ekonomicznych kwestji, które nie byłyby zarazem politycznymi i naodwrot: prawo koalicji, prawodawstwo ochronne pracy, sprawy pieniężne, bankowe, koleje żelazne, cła ochronne i wolny handel, polityka kolonialna — kto odróżni, czy to są kwestje czysto ekonomiczne, czy też czysto polityczne?

Już to wykazuje, że byłoby śmiesznym twierdzić, jakoby związek zawodowy odróżniał się od partji politycznej tym, że ta ostatnia zajmuje się polityką, a pierwszy nie. W rzeczywistości związki zawodowe nie może wcale spełniać swych zadań, nie prowadząc polityki, tak samo jak partja nie może działać, nie wdając się w walki ekonomiczne.

Różnica zatem między partją robotniczą a związkiem zawodowym tkwi nie w tym, że pierwsza jest polityczną, drugi ekonomicznym; tkwi wogóle nie w sferze ich działania, lecz w punktach ich wyjścia. Punktem wyjścia partji jest walka przeciw istniejącej władzy państwowej; punktem zaś wyjścia związku zawodowego jest walka przeciw pojedynczym kapitalistom. Partja chce zdobyć władzę państwową na usługi interesów proletariatu

i przyjmuje każdego, kto uznaje jej program, bez względu na to, do jakiego zawodu należy. Związek zawodowy chce zmusić kapitalistę do udzielenia robotnikom jego przedsiębiorstwa lepszych warunków pracy. Stara się on zdobyć każdego towarzysza swego fachu, bez względu na jego stanowisko partyjne, jeżeli tylko tenże chce wziąć udział w walce przeciw kapitalistom danej gałęzi przemysłu. Orężem zaś związku zawodowego jest strejk, podczas gdy orężem partii, przynajmniej w krajach o powszechnym prawie wyborczym, jest kartka wyborcza i przedstawicielstwo parlamentarne.

Ale związek zawodowy nie może prowadzić żadnej walki, nie może nawet organizować dla swego celu robotników bez zetknięcia się z władzą państwową, która stoi za plecami kapitalisty. Od władzy państwowej zależy prawo koalicji, od niej też zależy zachowanie się policji wobec strejkujących i t. d. W każdym strejku już z góry tkwi moment polityczny. Ale to występuje na pierwszy plan tym bardziej, im bardziej postępuje naprzód rozwój ekonomiczny, im bardziej władza państwowa zależną się staje od kapitalistów przemysłowych, im bardziej ci ostatni łączą się w wielkie związki przedsiębiorców, tak że strejk skierowany jest już nie przeciw oddzielnym przedsiębiorstwom, lecz przeciw wielkim gałęziom przemysłu całego kraju, a to tym bardziej, im bardziej całe życie gospodarcze zależnym się staje od oddzielnych gałęzi przemysłu, jak kopalnie węgla, koleje żelazne, żegluga. Strejki coraz bardziej stają się teraz olbrzymimi strejkami masowymi, które wstrząsają całym życiem państwowym, sprowadzają interwencję państwa, wielkie, gorące debaty i mniej lub więcej praktyczne prawa w ciałach prawodawczych; — stają się strejkami masowymi tak wielkimi, że oddzielny związek zawodowy nie jest już w stanie zdobyć mu potrzebnych środków i apelować musi do solidarności robotników wszystkich zawodów, ba, wszystkich krajów.

Z drugiej strony kartka wyborcza i parlamentaryzm okazują się w walce politycznej coraz mniej skutecznymi w miarę, jak Socjaldemokracja staje się potężniejszą i nie zjawia się już na scenie politycznej jako rodzaj dziwoląga obok partii burżuazyjnych, lecz jako ta siła, która je wszystkie pokona. Wtedy sam parlamentaryzm staje się środkiem coraz mniej odpowiednim do obrony interesów klasowych proletariatu, wtedy coraz bardziej niezbędnym się staje wzmocnić ten środek zapomocą nacisku ze strony mas pracujących poza obrębem parlamentu. Ale zorganizować te masy można tylko zapomocą związków zawodowych. Organizacja polityczna obejmować będzie zawsze tylko mały oddział wyborowy. Jeżeli chcemy zorganizowane wystąpienia masowe użyć jako politycznego środka nacisku, to będziemy przy tym musieli użyć jako podstawy związki zawodowe.

Widzimy więc, że związki zawodowe i parta mają wprawdzie odmienne punkty wyjścia, ale w działaniu swym stykają się na wspólnym polu, na którym pracować muszą wspólnie i gdzie działać mogą tym skuteczniej, im bliższe je wiążą stosunki, im harmonijniej są związane z sobą, im bardziej ich organizacja

jest z góry obliczona na wspólną pracę. To zaś wspólne pole działania wzrasta coraz bardziej w miarę ekonomicznego i politycznego rozwoju stosunków i tym ważniejszym się staje związek między działalnością związków zawodowych i partji.

Szczególniej jednak ważnym staje się ten związek w czasach rewolucyjnych. Tu z każdej strony wyteżyć należy wszystkie siły do rychłych unicestwiających natarć, tu każda klasa, chcąc utrzymać się na pozycji, musi stworzyć sobie organizację, która jej umożliwia rzucanie wszystkich swoich sił na każdą pozycję rozstrzygającą. Wtedy jak największa centralizacja wszystkich sił rewolucyjnych jest wprost przykazaniem życia. Wtedy zabójczą stać się musi każda próba stworzenia rozmaitych organizacji tej samej klasy, które, będąc nawzajem niezależne, bez wspólnego kierownictwa, rozwijać mogą różne tendencje, cele i metody walki i dopiero po dłuższych pertraktacjach doprowadzone być mogą do jednolitego wspólnego działania. Gdyby nawet bezpartyjność związków zawodowych w czasach normalnych była tak usprawiedliwiona, jak usprawiedliwioną nie jest, to w czasach rewolucyjnych musiałaby być odrzucona, jako niebezpieczeństwo dla rewolucyjnego proletariatu, jako zabójcze rozdrobnienie sił.

Przykładem Niemiec nie należy dać się w błąd wprowadzić. Gdyby u nas w Niemczech, co jest bardzo prawdopodobnym, stosunki miały się tak zaostriżyć, że przyjmą charakter rewolucyjny, to jedną z pierwszych tego konsekwencji będzie, że bezpartyjność związków zawodowych zniknie. W takich czasach działa zasada: kto nie jest z nami, ten jest przeciw nam. Wtedy istnieje już tylko wybór: z Socjaldemokracją lub z jej wrogami, i wtedy pierwszym naszym zadaniem jest odrzucić precz wszystkich fałszywych przyjaciół, którzy nie chcą wziąć udziału razem z nami w całej naszej walce aż do końca.

W kwestji zadań naszych wobec robotników wiejskich i włościan.

Napisał J. Karski.

IV.

Jakie powinny być nasze żądania programowe.

W poprzednich artykułach staraliśmy się dać obraz stosunków rolnych w naszym kraju oraz położenia ludności wiejskiej. Obecnie zadaniem naszym jest naszkicować programowe żądania Socjaldemokracji w sprawie rolnej.

Towarzysze nasi na Zachodzie niejednokrotnie zastanawiali się nad tym, czy Socjaldemokracja może wogóle wszczynać akcję dla obrony interesów włościan. Odpowiedź wypadła przecząco, gdyż zadaniem proletariatu nie może być obrona własności prywatnej. Wło-

ściaństwo żyje w nędzy, walczy ciężko o byt, jest klasą upośledzoną, lecz z tego nie wynika bynajmniej, że proletarijat rewolucyjny powinien popierać żądania włościan, o ile żądania te polegają na dążeniu do wzmocnienia pozycji włościan jako prywatnych posiadaczy ziemi. Stąd więc socjaldemokraci Niemiec np. zrzekają się „programu agrarnego“, o ile pod takim programem rozumie się specjalne żądania na rzecz włościan.

U nas sprawa komplikuje się przez to, że, jak widzieliśmy, mamy w kraju ogromnie liczną kategorię ludności wiejskiej, która stoi na pograniczu pomiędzy proletariatem a posiadaczami: około 668 000 gospodarstw, t. j. około 68,26% ogólnej liczby gospodarstw drobnej własności, posiada ziemi zbyt mało, by mogły dać utrzymanie rodzinom posiadaczy. Ci włościanie małorolni muszą sprzedawać swą siłę roboczą i przez nadmierną podaż obniżają płacę nie tylko robotników rolnych, lecz i miejskich. To właśnie czyni sprawę rolną u nas palącą. Chodzi o zapobieżenie nędzy, panującej wśród tych włościan małorolnych, o podniesienie ich stopy życiowej, bo tylko wtedy będzie możliwe trwałe i znaczne podniesienie stopy życiowej całej klasy robotniczej.

I inny jeszcze, o wiele ważniejszy czynnik wchodzi tu w grę. Wraz z Rosją przeżywamy okres rewolucyjny i tylko półgłówki polityczne w rodzaju stronników „Rewolucyjnej“ Frakcji P. P. S. mogą przypuszczać, że przebieg rewolucji w naszym kraju może być zgoła niezależnym od przebiegu jej w Rosji. Lecz w rewolucji rosyjskiej sprawa rolna niewątpliwie odegra ogromną rolę. To też nasi towarzysze rosyjscy musieli z konieczności wystąpić z programem agrarnym. Z drugiej strony atoli stosunki rolne w naszym kraju różnią się bardzo znacznie od stosunków, panujących w Rosji, wobec czego o ryczałtowym zastosowaniu programu rosyjskiego u nas nie może być mowy.

Różnica pomiędzy stosunkami rolnymi w Rosji a u nas na tym głównie polega: 1) Rosja ma ziemi pod dostatkiem. Jakkolwiek bowiem niektóre dzielnice — np. Rosja środkowa — odznaczają się małorolnością włościan i gęstym zaludnieniem, są do dyspozycji wielkie przestrzenie na wschodzie Rosji europejskiej, a po części w Syberji, które mogą wchłonąć jeszcze ogromne zastępy włościan-kolonistów. U nas natomiast kraj cały jest gęsto zaludniony, ziemi do dyspozycji niema. 2) Znaczna część obszarników rosyjskich nie prowadzi gospodarki folwarcznej, lecz oddaje ziemię w dzierżawę włościanom. To sprawia, że wywłaszczenie tych posiadaczy nie wywoła znacznego przewrotu w istniejących stosunkach, a zarazem też sprawia, że ten środek rewolucyjny mógł stać się popularnym nawet wśród nierewolucyjnej części społeczeństwa, gdyż chodzi o usunięcie żywiołów zgoła pasożytniczych. Dlatego nawet „kadeci“ głoszą hasło przymusowego wykupu ziemi obszarniczej. U nas natomiast tacy posiadacze są wyjątkami, typem miarodajnym jest przedsiębiorca rolny, prowadzący gospodarkę kapitalistyczną, przyczyniający się osobiście do produkcji. Dlatego plan wywłaszczenia obszarników mógł u nas znaleźć tylko słaby oddźwięk. 3) Włościanie rosyjscy w zna-

cznej części mają jeszcze nawyknienie wspólnego posiadania ziemi, co sprawia, że zasady prywatnej własności nie są dla nich czymś nietykającym. Natomiast włościanin polski nawet małorolny jest niewątpliwie wyznawcą prywatnego władania ziemią. 4) W Rosji sprawa najmitów rolnych w wielu dzielnicach jest zgoła podrzędną, u nas w całym kraju palącą.

Czynniki te wypowiedziały się dosadnie już w dotychczasowym przebiegu rewolucji. W Rosji bowiem wybuchły zaburzenia agrarne, których sprawcami byli włościanie, nie najmici; u nas natomiast wybuchły strejki rolne, w których rolę decydującą odgrywali zawsze najmici, a znaczna część włościan zajęła względem nich stanowisko wrogie.

O rewolucyjnym ruchu włościańskim, wynikającym z nieprzepartyh pobudek społecznych, u nas nie było mowy. Jeżeli włościanie gdzieś występowali czynnie po stronie rewolucji — np. w Lubelskim — pobudką były tu czynniki czysto polityczne: nienawiść do absolutyzmu i jego przejawów.

Pierwszemu z dwóch punktów wymienionych należy poświęcić jeszcze kilka słów. Podobnie jak wśród rewolucjonistów, nawet wśród socjaldemokratów, znaleźli się tacy, którzy za najprostsze rozwiązanie sprawy rolnej uważają rozparcelowanie ziemi pomiędzy włościan na własność, mogliby i u nas znaleźć się zwolennicy takiego rozwiązania (znaleźli się zresztą już, tylko nie w obozie rewolucyjnym, a wśród Narodowej Demokracji). Otóż łatwo wykazać, że u nas taki środek napotka ogromne trudności, pomijając już zupełnie społeczne jego skutki. Rachunek bowiem prosty: Jak staraliśmy się wykazać, 12 morgów (6 diesiatin) jest minimum obszaru, jaki musi posiadać gospodarstwo włościańskie, by mogło istnieć przy obecnych warunkach uprawy i obecnym poziomie techniki rolniczej. Z postępowaniem tej techniki, z podniesieniem intensywności uprawy, to minimum może być zredukowane, lecz obecnie jest to raczej za mało niż za dużo. Tymczasem, jak widzieliśmy, jest około 206 800 gospodarstw, posiadających mniej niż 3 morgi każde; ogólny obszar (ziemie „nadane“ i dokupione), będący w posiadaniu tej grupy, wynosi około 164 300 diesiatin; potrzeba zaś tej grupie $6 \times 206\,800 = 1\,240\,800$ diesiatin, czyli brak 1 176 500 diesiatin. Gospodarstw od 3 do 12 morgów jest około 486 300 i mają ziemi około 2 230 100 diesiatin; potrzeba im $6 \times 486\,300 = 2\,917\,800$ diesiatin, czyli brak około 687 700 diesiatin. Ludność bezrolną wiejską obliczają na 1 750 000 do 2 milionów głów, co wynosi — licząc na przeciętną rodzinę 4,5 głów — w okągłych cyfrach 389 000 do 444 000 rodzin, dla których potrzeba 2 334 000 do 2 664 000 diesiatin. Przyjmując cyfry minimalne otrzymamy, że dla uposażenia w ziemię ludności małorolnej i bezrolnej potrzeba około 4 195 000 diesiatin ziemi. Do rozporządzenia byłoby ziemi wielkiej własności prywatnej, skarbu i innych właścicieli 4 681 000 diesiatin. Lecz obszar ten obejmuje wszystkie lasy kraju, których wytrzebieenie nie może być dopuszczone pod żadnym warunkiem; musimy więc odliczyć na lasy, niezbędne dla kraju, trzecią część tej przestrzeni,

więc pozostanie około 3 121 000 desiatin. Zatem — ziemi nie starcza. To fakt, na który należy kłaść nacisk.

Uposażenie bezrolnych i małorolnych w ziemię u nas byłoby możliwe tylko wtedy, gdyby wywłaszczeniu i podziałowi uległy również grunta włościan, posiadających ziemi więcej niż 12 morgów. Lecz takie wywłaszczenie napotkałoby, rzecz oczywista, na zacięty opór tych włościan, którzy stanowią poważną siłę, bo jest ich około 321 000 rodzin, blisko trzecia część włościaństwa.

Stoimy więc wobec faktu, charakteryzującego nasz kraj w przeciwstawieniu do Rosji: wywłaszczenie wielkiej posiadłości nie może dostarczyć tyle ziemi, ile potrzeba jej na uposażenie bezrolnej i małorolnej ludności tak, aby ta ludność przy prywatnym władaniu ziemią i przy obecnym poziomie kultury rolniczej w kraju mogła istnieć. Świadomość takiego stanu rzeczy odrazu wykazuje utopijność drobnomieszczańskich planów, które poczynają się i kończą na parcelacji.

Jakież stąd wnioszek? Trzeba zaniechać myśli o ekspropriacji obszarników, jako bezcelowej? Nie! Wniosek stąd tylko taki, że samo przetasowanie własności ziemskiej nie tylko nie może być uważane za rozwiązanie sprawy rolnej, lecz nawet chwilowo znacznej ulgi ludności wiejskiej dać nie może. Wniosek stąd taki, że zbawienia szukać można li tylko w przejściu do wyższych form wytwarzania.

Kto wyrzeka się tej myśli, dokumentuje swoje bankructwo społeczne. W Rosji „kadeci“ mogą mieć jeszcze ogół pomysłem „sprawiedliwego podziału ziemi“, który, wytwarzając zastępy drobnych posiadaczy, wybawi społeczeństwo od zmyru głodu chłopskiego. Jest to mamidło, gdyż już drugie, najdalej trzecie pokolenie znajdzie się znów w obliczu małorolności. U nas natomiast już dziś bankructwo podobnych idei jest jawne. Kto ma oczy ku patrzeniu musi widzieć, że dla chłopą polskiego, jak dla proletariusza niema zbawienia w obrębie gospodarki kapitalistycznej, w obrębie ustroju, opartego na prywatnej własności ziemi i narzędzi produkcji.

Ową wyższą formą produkcji jest gospodarstwo socjalistyczne. Lecz jasnym jest, że przewrót społeczny, który umożliwi taką produkcję socjalistyczną, w blizkiej przyszłości jest niemożliwy. Nawet przy zupełnym zwycięstwie rewolucji, nawet przy dyktaturze proletariatu pozostaniemy w obrębie gospodarki prywatnej; o tym nikt nie wątpi.

Lecz nie wynika z tego bynajmniej, że nie należy wyętać wszystkie siły, by wytworzyć takie formy posiadania ziemi i produkcji rolnej, które mogłyby ułatwić przejście do owej formy idealnej, do gospodarstwa socjalistycznego. Przewrót rewolucyjny, który rozpoczął się w Rosji, roztacza możliwość takich rzeczywistych, sięgających do podstaw reform społecznych, które mogą dźwignąć nas do takich form nowych, wyższych. Byłoby zbrodnią dziejową wobec całej ludzkości, gdyby ta szczęśliwa konjunktura nie została wyży-

skaną. Sprostać temu wielkiemu zadaniu jest obowiązkiem uświadomionego proletariatu.

Chcąc dać odpowiedź na konkretne pytania, jakie tu powstają, musimy brać w rachubę specjalne warunki chwili obecnej, które polegają na tym, że istnieją dwie możliwości dalszego przebiegu rewolucji i tylko w części zależy od nas, która zostanie urzeczywistniona. Mianowicie: albo nastąpi w blizkiej przyszłości nowy gwałtowny wybuch rewolucyjny w całym państwie, wybuch, w którym proletariąt, porywając za sobą i włościanstwo, osiągnie dyktaturę, i te dwie klasy będą miały możność reorganizacji całego życia społecznego aż do podstaw; albo też dalsza walka drogą całego szeregu starć częściowych doprowadzi do zdobycia połowicznych ustępstw w dziedzinie gospodarczej, lecz oczywiście bez możliwości przeprowadzenia jakichkolwiek rdzennych zmian w strukturze gospodarczo-społecznej. W tym ostatnim wypadku jednakże głęboko sięgająca reforma agrarna zostaje tylko odroczonej, gdyż bez takiej reformy organizm państwowy Rosji do równowagi doprowadzonym być nie może. Obiedwie możliwości zatym muszą być brane w rachubę, program działania w sprawie rolnej musi być taki, aby dał się zastosować do każdej z nich.

W pierwszym wypadku — przy blizkim gwałtownym przewrocie, któryby doprowadził do dyktatury proletariatu na czele włościan w całym państwie — niechybnie nastąpi wywłaszczenie obszarników, gdyż to byłoby kardynalnym punktem akcji włościan rosyjskich. Wówczas w kraju naszym wszystko zależy od tego, czy włościanstwo małorolne polskie da się porwać prądowi rewolucyjnym, czy też pozostanie biernym. Gdyby zostało biernym, dla rozwiązania sprawy rolnej u nas napiętrzyłyby się olbrzymie trudności. Na to wyraźnie liczą nasi reakcyjniści. Lecz rachuby zawiodą ich. Nie można bowiem wątpić ani na chwilę, że zwycięski ruch rewolucyjny włościanstwa w Rosji porwie za sobą włościanstwo polskie; nieprzeparta żądza posiadania ziemi będzie silniejszą od gnuśnego konserwatyzmu chłopskiego. Natomiast niewątpliwie staną w szeregach rewolucji polscy proletariusze wiejscy, żywioł najbardziej czynny wśród ludności wiejskiej, czego dowiodły strejki rolne. Zadaniem partji socjaldemokratycznej w każdym razie jest nieść w szeregi włościanstwa małorolnego rewolucyjną ideę przywrócenia ludowi pracującemu ziemi, którą wydarła mu gwałtem i podstępem szlachta polska.

Jasnym jest, że urządzenie stosunków rolnych przy takim przewrocie będzie dziełem w pierwszej linii samej ludności rolnej. Nie jest więc bynajmniej wykluczonym, że włościanie, zgodnie z całym dotychczasowym trybem myślenia, zgodnie z tradycją wiekową, będą dążyli do podziału ziemi obszarniczej na spłachcie, do zagarnięcia tych spłachci na własność prywatną. Lecz takie rozwiązanie byłoby wprost klęską społeczną. Dlatego robotnicy wiejscy i miejscy będą musieli rzucić na szalę cały swój wpływ, żeby temu zapobiec. Siła faktów będzie po naszej stronie, skoro jak widzieliśmy, braknie ziemi, by zaspokoić ów głód ziemi; przeciw zachłanności instynktu posiadania prywatnego bronąć będziemy wyższych interesów całego społeczeństwa, — w tym rękojmia zwycięstwa.

Interes społeczeństwa jako całości wymaga takiego rozwiązania, które toruje drogę do form wyższych. Taką formą wyższą, formą przejściową do uspołecznionej produkcji jest forma kooperatywy rolnej.

Znaczy to: Ziemia odebrana obszarnikom musi stać się własnością społeczeństwa; ziemia ta zostanie oddaną do użytku stowarzyszeń współdzielczych (kooperatyw), w skład których wejdą obecni najmicy rolni i małorolni włościanie. Zauważmy, że takie kooperatywy nie wyłączają istnienia prywatnego gospodarstwa domowego. Uprawiając wspólnie duży folwark, uczestnicy mogą posiadać własne domostwa i ogrody. Grunta, będące własnością włościan małorolnych, mogłyby zostać włączone do uprawy folwarcznej, lecz mogłyby również pozostać na razie własnością prywatną; wówczas właściciele ich mieliby tylko o tyle udział w rezultatach kooperacji, o ile w niej uczestniczą. Stan taki trwałby zapewne dopóty tylko, dopóki korzyści wielkiej uprawy na zasadach kooperacji nie stałyby się naoczne. Przy takim urządzeniu losy większej własności włościańskiej, owych gospodarstw, posiadających po włoce i więcej gruntów, zostałyby same przez się zdecydowane. Skoro bowiem ci włościanie-„kapitałiści“ nie znajdą najmitów, którychby mogli wyzyskiwać (a nie znajdą ich, skoro przed każdym najmitą rolnym będzie stała otworem droga do kooperatywy), nie pozostanie im nic innego, jak oddać grunta swoje kooperatywie i zostać jej członkami.

Plan ten nie jest bynajmniej nowym. Wskazuje nań Engels, pisząc w roku 1894: „Jasnym jest, że skoro osiągniemy władzę rządową (Staatsmacht), ani myśleć możemy o tym, aby siłą wydziedziczać włościan małorolnych (Kleinbauern) — wszystko jedno czy za wykupem, czy bez wykupu — jak to będziemy zmuszeni uczynić z obszarnikami. Nasze zadanie względem włościan małorolnych polega przede wszystkim na tym, by ich gospodarstwo prywatne i własność prywatną przeistoczyć w współdzielczą nie siłą, a przykładem i udzielaniem pomocy kooperatywom. Wówczas mamy niezawodnie dosyć środków, aby włościanom wskazać korzyści, które już dziś okażą się przekonujące“.

Jeżeli plan taki urzeczywistnić się nie da z powodu niskiego poziomu umysłowego włościan, jeżeli włościanie ci pomimo wszystko będą obstawali przy zasadzie własności indywidualnej, wówczas zadaniem proletariatu będzie przestrzegać: 1) aby proletarjat rolny nie został pokrzywdzony, 2) aby wytworzyć takie warunki, przy których dalsze narastanie renty gruntowej i koncentrowanie tej renty w rękach posiadaczy było utrudnione. Środkiem takim jest utrzymanie gruntów zabranych obszarnikom jako własność społeczną i oddanie tych gruntów w używalność włościanom. Wybuchną wtedy niewątpliwie ciężkie konflikty pomiędzy proletarjatem a fanatykami własności prywatnej wśród włościan. Lecz skoro tu chodzi o dobro społeczne, skoro nie może ulegać kwestji, że rozszarpanie ziemi pomiędzy kierujących się tylko drapieżnym instynktem własności chłopów byłoby klęską dla społeczeństwa, a nawet dla tych właśnie fanatyków własności, konflikty te muszą być rozstrzygnięte; ustąpić biernie wobec zachłan-

ności chłopskiej proletarjat nie miałby prawa. Chodzi o to, by zawczasu usilną propagandą uczynić ideę gospodarki kooperatywnej popularną wśród najmitów wiejskich i owych włościan nawpół-proletariuszy. Te bowiem żywioły mogą stać się sojusznikami proletariatu przeciw uroszczeniom fanatyków własności.

Takie tylko wskazania ogólne — jak sędzę — można wytknąć dla rewolucyjnego rozwiązania sprawy rolnej. Wszystko dalsze jest już zależne od układu sił w chwili po zwycięstwie rewolucji. Nawet kwestja częściowego odszkodowania właścicieli folwarków jest, zdaniem moim, podrzędną. Wspominam o niej dlatego, że wchodzi tu w grę sprawa regulowania hipotek i sprawa bytu tych kilku tysięcy rodzin obszarniczych, które zostałyby wywłaszczone. Chodzi bowiem o to, że decydującą jest kwestja długów hipotecznych, a tymczasem własność wielka jest obciążona długami aż do 75% ceny sprzedażnej ziemi. Proste wykreślenie wszystkich tych długów nie jest rzeczą tak łatwą, jak to zdawać się może, gdyż w kraju tak przeważnie rolniczym jak nasz, wierzytelności hipoteczne są podstawą mienia bardzo licznych warstw ludności. Listy zastawne Towarzystwa Kredytowego są jednym z najważniejszych papierów, będących w obiegu; w papierach tych ulokowane są oszczędności tysięcy rodzin drobnomieszczańskich, a prócz tego tysiące rodzin ma kapitały na hipotekach poza Towarzystwem. W ten sposób zniweczenie wszystkich tych wierzytelności przyprawiłoby o ruinę ogromnie liczne warstwy, spowodowałoby katastrofę finansową w całym kraju. Jasnym więc jest, że cały zastęp tych wierzycieli hipotecznych broniłby zażarcie swego mienia, stanąłby po stronie obszarników przeciw wszelkim planom wywłaszczania. Długi te zostałyby umorzone drogą spłaty procentów i amortyzacji w ciągu pewnego okresu — 30 do 40 lat — przez państwo, względnie kraj. Lecz wobec wysokiego, jak wspomnieliśmy, zadłużenia u nas wielkiej własności, różnica pomiędzy sumą na oprocentowanie i amortyzację samych tylko długów, a całej wartości ziemi jest niewielką¹⁾.

Dlatego powiadam, że sprawa wykupu lub ekspropriacji nie jest zgoła zasadniczą ani decydującą, a sprowadza się raczej do względów taktycznych: ekspropriacja bez uwzględnienia interesów wierzycieli przyczyni rewolucji liczny zastęp przeciwników, gotowych walczyć

1) W roku 1900—1901 było ogółem w posiadaniu obszarników (prócz majoratów) 7,6 milionów morgów ziemi. Z obszaru tego 6,6 milionów było obciążonych długami hipotecznymi, zaciągniętymi w Towarzystwie Kredytowym. Wartość 9 646 folwarków, obciążonych takim długiem, szacowano na 298,5 milionów rubli, a pożyczki Towarzystwa wynosiły 149 milionów, t. j. 50%. Poza tym istnieją długi hipoteczne, które wynoszą najmniej połowę pożyczek Towarzystwa. Mamy więc wartość wszystkich 6,6 milionów morgów około 344 milionów rubli, długu zaś ciąży około 223,5 milionów rubli; licząc po 4% otrzymamy od pierwszej sumy 13,76 milionów rubli procentu i amortyzacji, od drugiej 8,94 milionów rocznie. Różnica ta zmniejszy się jeszcze. Przy oszacowaniu bowiem przez Towarzystwo Kredytowe bierze się pod uwagę rentę gruntową, przy wywłaszczeniu natomiast chodziłoby o oszacowanie realnej wartości środków produkcji i kapitałów, faktycznie użytych na meljoracje ziemi.

do ostateczności, bo chodzi o ich byt; — zatkawszy rublem gębę tym wierzycielom i obszarnikom, lud rewolucyjny łatwiej dopnie swego celu. Gdyby wytknięto mi, że jest to rozwiązanie takie, jakie proponują „kadeci“, mówiąc o wykupie, odpowiem, że różnica pomiędzy „kadetami“ a socjaldemokratami polega nie na kwestji wykupu, lecz na tym, że kadeci chcą podziału ziemi na własność pomiędzy włościan, my zaś dążymy do wyższych form produkcji, do społecznego władania ziemią. Moralnego prawa ludu roboczego do zabrania bez wszelkiej kompensaty ziemi tym, których przodkowie bezczelnie i bezecnie ograbili cały lud kmiecy, kwestjonować nie może nikt, lecz względy taktyczne, moim zdaniem, przemawiają za tym, by wyrzec się tego prawa. Oczywiście, o ile obszarnicy stają w szeregach kontrrewolucji i będą stawiali czynny opór reformie rewolucyjnej, o tyle tracą prawo do jakiegokolwiek kompensaty. Konfiskacie bez wykupu ulegną również dobra rządowe i majoraty, gdyż te ostatnie otrzymali posiadacze prawem kaduka za bezpieczne usługi oddawane caratowi.

A więc przy rewolucyjnym rozwiązaniu sprawy otwierają się szerokie horyzonty na przyszłość. Kooperatywy rolne, łącząc wszystkie korzyści, jakie płyną z wielkiej uprawy, z ochotą zabiegliwością wszystkich pracowników (co stanowi jedyną dodatnią stronę drobnej własności w obecnych warunkach) niewątpliwie potrafią podnieść w szybkim czasie wydajność roli do najwyższej doskonałości, a wtedy ziemia potrafi wyżywić dostаточно całą ludność kraju. To też wszystkie wysiłki proletariatu muszą być skierowane ku dopięciu takiego właśnie rozwiązania.

Lecz, jak powiedzieliśmy, nie jest rzeczą pewną, czy ten wybuch rewolucyjny, który jest niezbędny, by sprawa wywłaszczenia obszarników mogła być dokonana, nastąpi w blizkiej przyszłości, czy też na czas dłuższy zostanie odroczonym. Jaką więc będzie rola nasza w tym ostatnim wypadku? Nie mogą jednak parlamentarni przedstawiciele Socjaldemokracji w ciałach prawodawczych ograniczać się do deklaracji na rzecz programu socjalistycznego i konfiskaty ziemi obszarniczej; nie możemy w agitacji codziennej wśród włościan małorolnych ograniczyć się do takiej propagandy socjalizmu i kooperatywy, jako formy przejściowej. Musimy dawać odpowiedź na wszystkie bolączki życia, jesteśmy jednak socjaldemokratami, a nie utopijnymi socjalistami. Otóż w takiej sytuacji zadaniem naszym jest, kładąc wciąż nacisk na to, że nie można poprawić zasadniczo bytu mas pracujących bez rdzennej reformy agrarnej, wystawiać żądania i zalecać środki, które mogą ulżyć nędzy, torować drogę do lepszego bytu.

Rozejrzyjmy się w środkach, jakie mogą służyć do tego celu.

I. Co do robotników rolnych może tu chodzić tylko o te same środki, jakimi posługują się robotnicy miejscy już oddawna.

Najważniejszym tedy żądaniem jest bezwzględna wolność koalicji i strejków. Chodzi o stworzenie organizacji robotniczych, uzdolnionych do walki o poprawę bytu.

Powtórę chodzi o prawodawstwo ochronne. Najważniejszym punktem jest tu prawne unormowanie dnia roboczego. Domagamy się ośmiogodzinnego dnia roboczego. Niejedno-

krotnie można spotkać się ze zdaniem, że zaprowadzenie stałych norm dnia roboczego w rolnictwie jest zgoła niemożliwe, przyczem powołują się zazwyczaj na potrzebę wyłożenia wszystkich sił, aby uporać się z pracą w czasie sianokosu i żniw. Są to twierdzenia przesadne. Kośba siana i zboża nie jest nigdy pracą tak gwałtowną, aby nie mogła być wykonaną — przy odpowiedniej oczywiście ilości ludzi i maszyn — w normalnym dniu roboczym. Gwałt powstaje przy zwózce zboża i siana, kiedy pozostawienie snopów lub kup siana na polu i łące grozi zamoknięciem. Chodzi tedy o kilka, najwyżej kilkanaście dni w roku, dla których trzeba czynić wyjątek w prawie. Wszystkie inne roboty nie wymagają pracy od „świtu do nocy“, mogą być doskonale wykonane w czasie normalnym. To też owa tradycyjalna norma „od świtu do nocy“ istnieje już tylko w krajach społecznie wstecznych — u nas, w krajach austriackich, na Węgrzech, we wschodnich Niemczech; natomiast w Anglii, w Holandji, w Danji, Francji, Belgji, w zachodnich Niemczech już dziś dzień roboczy jest unormowany, nie prawnie lecz zwyczajem: pracę na polach rozpoczyna się i kończy w określonych godzinach. Wprawdzie bywa to dzień roboczy zawsze jeszcze długi, bo 12 lub 14 godzinny, nawet z przerwami (w Danji np. na folwarkach pracują od 6 rano do 8 wieczorem, z przerwą 2-godzinną na obiad i 1½ godzinną na podwieczorek, a więc faktyczny czas pracy wynosi 11½ godzin). Niepomierne długi dzień roboczy nie jest zatym unormowany przez „naturalne warunki pracy rolniczej“. Może chodzić tylko o to, czy możliwe jest przeprowadzenie natychmiastowej redukcji. Może to napotkać na trudności nieprzewidywane wobec niskiego stanu techniki rolniczej, lecz stopniowa redukcja do 10—9, a mająca zgóry na celu wprowadzenie 8 godzin, jest możliwą.

Następnie prawodawstwo ochronne powinno polegać na usunięciu pracy dzieci i ograniczeniu pracy młodzieży dorastającej (w wieku od lat 16 do 18).

Przestrzegania takich przepisów można dopiąć tylko przez kontrolę (jak wiadomo prawodawstwo fabryczne jest martwą literą bez inspekcji fabrycznej), koniecznym więc jest stworzenie inspekcji pracy rolnej. Takim inspektorom należy poruczyć również kontrolę mieszkań robotniczych, ustanowiwszy poprzednio normy co do jakości tych mieszkań.

Dalej chodzi o ubezpieczenie robotników rolnych na wypadek choroby, kalectwa i na starość.

Są to wszystko środki, stosowane już obecnie na rzecz robotników fabrycznych w krajach konstytucyjnych. Zastosowanie ich do rolnictwa jest koniecznym i możliwym.

Specjalne warunki najmu sił roboczych na wsi wymagać zapewne będą specjalnych jeszcze przepisów i urządzeń. Tak np., koniecznym jest wyrugowanie instytucji „posyłek“, jakkolwiek przypuszczać można, że z chwilą, kiedy organizacje robotnicze poczną działać, zdołają one podobne przeżytki pańszczyzny usunąć o własnych siłach. Niezbędnym jest stworzenie instytucji pośredniczenia w poszukiwaniu pracy, gdyż pod tym względem robotnik wiejski znajduje

się w warunkach o wiele gorszych od miejskiego. Zwłaszcza dla robotników sezonowych instytucja taka miałaby olbrzymie znaczenie. Oczywiście, że te biura pośrednictwa pracy muszą pozostawać pod kontrolą samych robotników, funkcjonariusze ich muszą być wybierani przez robotników.

O wiele więcej zawiłą i trudną jest sprawa żądań na rzecz włościan. Tu bowiem spotykamy się z trudnością zasadniczą: Socjaldemokracja nie może stawiać w obronie interesów klasowych włościan, o ile interesy te są interesami posiadaczy prywatnych, wymagających obrony tej własności prywatnej, co częstokroć będzie wbrew tendencjom rozwoju ekonomicznego i wbrew interesom całego społeczeństwa.

Weźmy np. sprawę parcelacji z jednej strony i sprawę koncentracji ziemi z drugiej. Faworyzowanie drobnych właścicieli przez forsowanie parcelacji, przyczym społeczeństwo całe musi ponosić ofiary, aby włościanie mogli tanio nabywać ziemię, którą drogo sprzedaje obszarlik, jest nonsensem. Z jakiej racji masy ludu robotczego mają ponosić ciężary, aby drobni właściciele mieli zapewnione pobieranie renty gruntowej? Przytym, jak starałem się wyjaśnić, w kraju naszym przewaga techniczna jest bezwarunkowo po stronie wielkiej uprawy; wytwarzać drobne gospodarstwa, których właściciele skazani są na wieczne borykanie się z nędzą, a produkcji rolniczej na wyższy poziom podnieść nie mogą, jest przedsięwzięciem z punktu widzenia korzyści społecznej bezcelowym a nawet szkodliwym. Bezcelowym zresztą i z tego jeszcze względu: od lat 25 mniej więcej widzimy w wielu krajach europejskich dosyć intensywną parcelację; jest to bez wątpienia skutek kryzysu agrarnego; lecz kryzys ten mija, ceny produktów rolnych od lat już kilku mają tendencję zwykłą, cena ziemi wzrasta szybko; jest więc wielce prawdopodobnym, że niebawem może rozpocząć się nowy okres koncentracji własności ziemskiej. Wobec tego popierać sztucznie parcelację bez nadziei przeciwdziałania potym ponownej koncentracji równa się czerpaniu wody przetakiem.

A zatem: w ekonomicznej walce o ziemię pomiędzy wielkimi a drobnymi posiadaczami prywatnymi, Socjaldemokracja jako partja proletariatu może w warunkach normalnych zająć tylko stanowisko neutralne.

Natomiast neutralność nasza ustaje, gdy chodzi o sztuczne środki zachowania nietykalności posiadłości włościańskich, np. zaprowadzenie „majoratów chłopskich“, aby zapobiec rozdrobnieniu gospodarstw. Takie środki nigdy nie mogą być korzystne dla ogółu włościan, lecz wytwarzają uprzywilejowaną mniejszość z krzywdą ogółu. Owe „majoraty chłopskie“ dają przywilej pierworodnemu synowi, lecz resztę rodzeństwa proletaryzują. Wszelkie więc tego rodzaju „reformy“ muszą być przez nas zwalczane.

Inna rzecz, gdy chodzi o reformy, które mogą przyczyniać się do powstawania wyższych typów gospodarczych w rolnictwie. Te oczywiście nie tylko znajdują poparcie proletariatu, lecz Socjaldemokracja powinna być inicjatorem podobnych reform. W pierwszym rzędzie należy tu znów postawić sprawę kooperatyw rolniczych.

Hasło parcelacji folwarków celem rozdrabniania ziemi pomiędzy drobnych posiadaczy przeciwstawić należy hasło tworzenia kooperatyw, złożonych z robotników rolnych i małorolnych włościan celem uprawy ziemi na zasadach współdzielczych. Tu bowiem będziemy w zgodzie z zasadniczymi podstawami naszego programu.

Podobnie poparcie proletariatu winny znaleźć wszelkie dążenia do reform, które mają na celu podniesienie kultury rolniczej. Tak np. palącą dla włościan jest sprawa serwitutów i szachownic, sprawa urządzenia kredytu, sprawa ubezpieczeń od ognia, od zarazy na bydło, od gradobicia, sprawa szkół rolniczych, a przede wszystkim sprawa dróg komunikacji. Oczywiście jest, że we wszystkich tego rodzaju sprawach przedstawiciele proletariatu w ciałach prawodawczych powinni być rzecznikami reform, obrońcami włościan, bo w sprawach tych potrzeby włościan są zgodne z interesem całego społeczeństwa.

Lecz włościanie prócz swoich specjalnych potrzeb, związanych z ich bytem ekonomicznym, są w najwyższym stopniu zainteresowani w przeprowadzeniu urządzeń prawdziwie demokratycznych.

Na pierwsze miejsce wysuwa się tu sprawa samorządu gminnego, sprawa oświaty, sprawa ponoszenia ciężarów podatkowych, sprawa militarystu.

Samorząd gminny jest sprawą olbrzymiej wagi dla miast, lecz nie mniej dla wsi, gdyż tylko wtedy, gdy ogół mieszkańców może stanowić o sobie, mogą być skutecznie załatwiane tysiączne drobne sprawy administracyjne tej grupy społecznej, jaką stanowi gmina wiejska lub miejska. Obecne położenie scharakteryzował znakomicie pewien włościanin w liście, pisanym do „Czerwonego Sztandaru“, gdzie powiada: „Gmina to krowa, którą wójt za rogi trzyma, a naczelnik doi“. W istocie urządzenie gminne, w tej formie, w jakiej istnieje, jest karykaturą. Pomijając, że udział w zebraniach gminnych jest ograniczony — przysługuje tylko posiadaczom ziemi, którzy mają najmniej 3 morgi gruntu — funkcje gminy sprowadzają się do minimum, a nadto samorząd jest tu niemal zupełną fikcją, gdyż każda uchwała gminna może być skasowana przez władze czynownicze. Tym właśnie dzieje się, że „naczelnik doi gminę“ jak krowę przy pomocy wójty, tym się dzieje, że niema końca dzikiej samowoli czynowniczej i kradzieżom; w przepaścistych kieszeniach różnych „naczelników“ giną pieniądze gminnych kas pożyczkowych, pieniądze na budowę szkół lub reparację dróg; tym się dzieje, że przy „podwodach“ dla wojska lub przy „szarwarku“ dla naprawy dróg cały ciężar zostaje zwalony na biedotę, a pominięci bywają włościanie bogaci, co z panem wójtem do jednej kliky należą i mogą opłacać kubany różnym dygnitarzom, poczynawszy od strażnika. Zredukowanie do minimum czynnika urzędniczego, a spełnianie funkcji administracyjnych bezpośrednio przez gminę lub przez funkcjonariuszy, obieranych z pośród gminniaków, oto treść samorządu. Podobnie jak wszędzie na Zachodzie, konsekwentnym rzecznikiem tej idei u nas może być tylko Socjaldemokracja.

Rozumie się samo przez się, że sprawa oświaty ma w socjaldemokratach najgorliwszych rzeczników. Tu częstokroć Socjaldemokracja napotka niezawodnie opór ze strony włościan. O ile bowiem wszędzie wśród ludu wiejskiego napotkać można niemal rozrzewniający zapal dla oświaty, o tyle też częste są przykłady, że włościanin małorolny zapamiętale broni rzekomego prawa do wyzyskiwania sił roboczych swych własnych dzieci, które to prawo zostaje naruszone, jeżeli dzieciaki zamiast pasać bydło mają iść do szkoły. W dodatku na każdym kroku będą tu miały miejsce starcia z klerem, który jak wszędzie, tak i u nas dąży do zupełnego opanowania szkoły i znajduje poparcie sfanatyzowanego religijnie tłumu. Pomimo to niewątpliwie możemy pozyskać znaczną część włościan dla naszego programu oświatowego. Różnica pomiędzy naszym programem, a programem różnych „przyjaciół ludu“ na tym polega, że my żądamy uprzyśtępnienia wiedzy ogółowi i nie zadawaliśmy się okruciami, jakie daje szkoła ludowa w jej obecnej karykaturalnej formie. Wszak nawet owa „wzorowa szkoła ludowa“ w Szwajcarii nie może czynić zadość nawet bardzo skromnym wymaganiom nowożytnej pedagogii. O tym, aby szkoła ta mogła przygotować ludzi do życia, aby mogła dać wiedzę, niezbędną do orjentowania się w zawiłych sprawach życia społecznego, aby prócz wiedzy formalnej dała młodemu pokoleniu wychowanie — nie może być mowy. Tymczasem włościaństwo nasze dotkliwie odczuwa straszne skutki ciemnoty, widzi na każdym kroku, że brak oświaty jest zaporą w życiu. To sprawią prawdziwy głód wiedzy. Nastrój ten winniśmy wyzyskać, kując żelazo dopóki gorące.

Podatki — to jedna z bolączek włościańskich. Włościaństwo ugina się pod brzemieniem nadmiernych podatków i w dodatku najbardziej nieracjonalnych podatków. Jak wiemy, włościanie w Królestwie nie płacili „wykupu“ za ziemię bezpośrednio, lecz za to opodatkowano ich tak, że w formie zwiększonych podatków opłacili już dotąd strasznie drogo tę ziemię, którą otrzymali. Pomimo to podatek gruntowy z gruntów chłopskich jest wciąż jeszcze wyższy, niż podatek z gruntów dworskich. Zachowała się dzika forma podatku „podymnego“, który jest w gruncie rzeczy podatkiem „pogłównym“; podczas gdy nawet w Rosji ta forma podatku, potępiana przez wszystkich teoretyków finansowości, już została zniesiona, u nas pozostała w sile. Włościanina drażni na każdym kroku, że płaci on podatek „szkolny“ i „drogowy“, pomimo, że nie ma szkół ani dróg, a w dodatku musi on opłacać przy szlabanie szosy „myto“, przy przejeździe przez most „mostowe“, przy wjeździe do miasta „kopytkowe“. Jeszcze zgubniejszym zaś dla włościan jest oczywiście system podatków pośrednich. Krytykując ten system, przeciwstawiamy mu jedynie racjonalny system podatku progresywnego od dochodu.

W końcu — militarizm. Włościanin polski jest zawziętym przeciwnikiem militarizmu już z tego powodu, że przyprawia go on o klęski materialne aż nadto dotkliwe. Oderwanie młodego człowieka od roli rujnuje gospodarstwo. Ponieważ u nas ludność wiejska żeni się wcześniej, żołnierka staje się powodem tysięcy dramatów

rodzinnych, gdy młodego ojca rodziny zabierają od żony i dzieci. I tu więc grunt dla socjaldemokratycznej propagandy antimilitarystycznej jest przygotowany znakomicie.

Reasumując, powiemy, że ogólne zasady programu socjaldemokratycznego dają się w zupełności zastosować do warunków wiejskich. Gdybyśmy chcieli obiecywać włościanom, że wszelkie ich niedomagania mogą być usunięte, że można znaleźć jakieś cudowne środki, zapewniające dobrobyt z plonów uprawy małego spłachcia ziemi, musielibyśmy wyrzec się swego programu i stać się znachorami społecznymi. O tym nie może być mowy. Winniśmy iść do włościan jako socjaldemokraci, to jest jako bezwzględni krytycy ustroju, opartego na prywatnym władaniu ziemią i środkami produkcji i rzecznicy socjalizmu. Możemy jedynie wykazać włościanom środki, które są w stanie ulżyć ich nędzy, doprowadzając jednocześnie do wyższej formy społecznej. Nie łudźmy się ani na chwilę, że zdołamy dla takiego programu pozyskać ogół włościan. Włościanie bogacze, posiadacze gospodarstw włókowych, wyzyskiwacze biedoty wiejskiej, są i będą zawsze zaciętymi reakcjonistami, podobnie jak w miastach najbardziej zaciętymi wrogami proletariatu są drobni przedsiębiorcy. Jesteśmy partią proletariatu, więc na wsi oparciem naszym muszą być najmici, proletariusze bezrolni, których interesów bronimy przedewszystkim. Lecz, jak widzieliśmy, ogromna większość włościan u nas należy do małorolnych, a ci są co do swego położenia nawpół proletariuszami, muszą w znacznej części sprzedawać swą siłę roboczą. Broniąc spraw pracy w odwiecznym zatargu z kapitałem, bronimy zarazem interesów ogromnej większości włościan.

W czym się różnimy?

(Losy rewolucji rosyjskiej).

Napisał N. Trocki.

„Że współczesna apatja nie da się przewyciężyć na drodze teoretycznej — pisał Lassalle do Marxa w r. 1854, w epoce najgłębszej reakcji powszechnej — w tym się z tobą zupełnie zgadzam. Pozwolę sobie nawet uogólnić tę myśl w następujący sposób: nigdy jeszcze apatja nie dała się przewyciężyć na drodze czysto teoretycznej, czyli, teoretyczne przewyciężenie takiej apatji wydawało uczniów i sekty, albo też nieudane ruchy praktyczne, nigdy jednak dotąd nie zrodziło ani realnego powszechnego ruchu ani powszechnego poruszenia umysłów mas. Nie tylko praktycznie lecz i duchowo wciągnąć masy do potoku ruchu może tylko palący żar rzeczywistych wypadków“.

Oportunizm tego nie rozumie. Może ktoś uważać za paradoks, jeśli się powie, że główną cechą psychologiczną oportunizmu jest jedno: nie umie on czekać. A jednak niewątpliwie tak jest. W okresie, gdy sprzymierzone i wrogie siły społeczne, zarówno

swym antagonizmem, jak i wzajemnym oddziaływaniem, wytwarzają w polityce stan martwej ciszy; gdy praca molekularna rozwoju ekonomicznego, potęgując przeciwieństwa, nie tylko nie zakłóca równowagi politycznej, lecz przeciwnie wzmacnia ją i jakby uwiecznia, — trawiony niecierpliwością oportunizm szuka dokoła siebie „nowych” dróg i środków, aby natychmiast zrealizować to, czemu historia jeszcze odmawia realizacji. Pełen żalu, uskarża się na niedostateczność i niepewność swych sił — i idzie szukać „sprzymierzeńców”. Chciwie rzuca się na śmietnik liberalizmu. Zaklina go. Przywołuje go. Wynajduje dla niego specjalne formuły akcji. W odpowiedzi śmietnik owiewa go wonią rozkładu politycznego. Wtedy oportunizm zaczyna z niego wydziobywać perły demokracji... Potrzeba mu sprzymierzeńców. Miota się i łapie ich za poły po rogach ulic. Zwraca się do „swoich” i zaleca im jak największą uprzejmość względem możliwych sprzymierzeńców. „Taktu, więcej taktu, jak można najwięcej taktu!” Ogarnia go szczególna choroba, manja ostrożności wobec liberalizmu, o b ł ę d t a k t u, — i z dziką wściekłością oportunizm policzkuje i rani własną partję.

Oportunizm chce wyzyskać stosunki, które jeszcze nie dojrzały. Chce natychmiastowego „powodzenia”. Kiedy opozycyjni sprzymierzeńcy nie pomagają, rzuca się do rządu: przekonywa, prosi, grozi... Wreszcie sam znajduje sobie miejsce w rządzie, aby pokazać, że historii nie można wyprzedzić nie tylko „drogą teoretyczną” lecz i administracyjną.

Oportunizm nie umie czekać. I właśnie dlatego wielkie wypadki są dla niego zawsze niespodzianką. Spadają nań nagle, przewracają, kręcą nim jak drzazgą w swym wirze i unoszą dalej, uderzając głową to o jeden, to o drugi brzeg... Usiłuje się opierać, ale daremnie. Wtedy poddaje się losowi, udaje zadowolonego, macha rękami, aby udawać, że pływa, — i krzyczy najgłośniej... A gdy huragan mija, on gramoli się na brzeg, otrząsa się z niesmakiem, użala się na ból głowy i łamanie w kościach — i dręczony katzenjammerem nie szczędzi ostrych wyrazów pod adresem rewolucyjnych „fantastów”.

I.

W niedawno wydanej książce: „Sytuacja obecna i możliwa przyszłość” dość znany moskiewski mieniszewik Czerewanin pisze: „W listopadzie i grudniu tryumfowała nawet nie bolszewicka taktyka, lecz taktyka Parwusa i Trockiego” (str. 200). Półurzędowy filozof taktyki mieniszewickiej, Martynow, ze swej strony w ostatnim numerze „Gołosa Socjaldemokrata” wspomina o „fantastycznej teorii Parwusa i Trockiego... która cieszyła się u nas chwilowym powodzeniem w dniach październikowych, w epoce Rady Delegatów Robotniczych” (Nr. 4—5, str. 17). Różnica w podawaniu miesięcy tłumaczy się tym, że Martynow nie może się połapać w kalendarzu i przez „dni październikowe” Rady rozumie dni październikowe, listopadowe i grudniowe: jak wiadomo, filozofowie, operujący wielkimi epokami dziejowymi, łatwo mylą się co do miesięcy. Cóż jednak tkwiło w podstawie „fantastycznej” teorii? Czerewanin odpowiada: „wyraźnie nie-

dorzeczny punkt widzenia Parwusa i Trockiego, którzy spodziewali się przenieść Rosję ze stanu półdzikiego wprost do socjalizmu" (str. 177). Niedorzeczność tych poglądów Czerewanin z łatwością wykazuje na kilku stronicach. Czym jest rosyjski proletarij? Według najwspaniałomyślniejszych obliczeń wynosi on 27,6% ludności. Lecz przy rewolucyjnych rachunkach należy potrącić robotników rolnych, ze względu na ich ciemnotę i zacofanie, służbę i wyrobników, ze względu na ich rozproszenie, — a wtedy pozostanie 3,2 miliona głów proletariatu handlowo-przemysłowego. „A zatem 5—11% całej ludności — oto podwalina, na której towarzysze Parwus i Trocki chcieli wznosić ustrój socjalistyczny! I przytym naiwnie myśleli, że istotnie stosują marxizm" (str. 179). Zwycięstwo Czerewanina jest niewątpliwe. Szkoda tylko, że wizerunek swych przeciwników skopjował z prac różnych przybłędów gazeciarskich, przeważnie z grona renegatów marxizmu, którzy możliwie najniezgrabniej i najbezczelniej smarują szatana nieustającej rewolucji.

„Zapewne, — dzisiaj przez rewolucję w Rosji stwarzamy tylko grunt dla panowania politycznego burżuazji... W Rosji nie da się dziś urzeczywistnić socjalizm bez socjalnej rewolucji w Zachodniej Europie", pisze Parwus we wrześniu 1905 r. Na kilka miesięcy przedtym mówi: „Socjaldemokratyczny rząd tymczasowy nie może dokończyć w Rosji przewrotu socjalistycznego, lecz już sam proces likwidacji absolutyzmu da mu wdzięczny grunt do pracy politycznej". „Dziś jeszcze nie możemy sobie w Rosji stawiać za zadanie przeobrażenia rewolucji burżuazyjnej w socjalną", pisze ten sam Parwus w programowym artykule dziennika „Naczało" (listopad 1905 r.). „Rosyjski proletarij — pisał ze swej strony autor niniejszego w miesiąc później — tylko w tym wypadku nie zostanie zepchnięty w tył i zdoła doprowadzić swe wielkie dzieło do końca, jeżeli potrafi rozszerzyć narodowe ramy naszej wielkiej rewolucji i uczynić ją prologiem wszechświatowego zwycięstwa pracy". A w kilka miesięcy potem: „Bez bezpośredniego państwowego poparcia europejskiego proletariatu klasa robotnicza Rosji nie zdoła utrzymać się przy władzy i zmienić swe chwilowe panowanie w trwałą dyktaturę socjalistyczną".

Urywki te zupełnie wystarczają do pokazania, jak piszą historję oportuniści w nastroju rewolucyjnego katzenjammeru. Lecz jeszcze ciekawszą może jest kwestja, jak robią oni historję. O Czerewaninie niestety pod tym względem nic nie możemy powiedzieć, bo o jego roli w wypadkach rewolucji nie mamy najmniejszego wyobrażenia. Lecz o poglądach (jeśli nie o działalności) niektórych z jego przekonaniowych towarzyszy mamy pod ręką dokumentalne świadectwa. Pytacie, pisze jeden z nich, czego będziemy żądali w Konstytucji? „Odpowiadamy jasno i kategorycznie: będziemy żądali nie „socjalizacji", lecz socjalizmu, nie równego użytkowania z ziemi, lecz uspołecznienia w wszystkich (podkreślenie w oryginale) środków produkcji". Wprawdzie ludzie, „wulgarnie pojmujący marxizm", odpowiadają, że „rewolucja socjalistyczna w blizkiej przyszłości jest u nas niemożliwa ze względów technicznych".

Lecz autor zwycięsko obala ich argumenty i kończy: „jedna tylko Socjaldemokracja... w obecnym czasie śmiało wystawia hasło nieustającej rewolucji, ona jedna doprowadzi masy do ostatniego i stanowczego zwycięstwa“. Kto to pisze? Wybitny mieńszewik. Wprawdzie Martynow już nam powiedział, że w „dniach październikowych“ poglądy Trockiego i Parwusa cieszyły się chwilowym powodzeniem. Ale wzamian za to on to znowu powiada nam o „ostrzegającym głosie mieńszewików, którym nie tak szybko(?) zakręciło się w głowie i którzy, częstokroć wbrew żywiłom, uporczywie (uporczywie!) strzegli tradycji rosyjskiej Socjaldemokracji“ („Głos Socjald.“ Nr. 4—5, str. 16). Bez wątpienia, takie męstwo wyższe jest ponad wszelkie pochwały. Jednak... jednak cytowany artykuł, wulgaryzujący ideę nieustającej rewolucji, mimo wszystko wyszedł z pod pióra mieńszewika (patrz „Naczało“, Nr. Nr. 7 i 11, artykuły wstępne). Może ten mieńszewik, który wpadł w tak silny paroksyzm rewolucyjnego zawrotu głowy, był „niepewnym“, „nieprawdziwym“ mieńszewikiem? O nie! Był to Piotr mieńszewizmu, jego kamień węgielny. Był to — towarzysz Martynow.

Taką jest kartka z politycznej fizjologii oportunistu. Cóż dziwnego, że ludzie, którzy do tego stopnia pogubili swe przesłanki w najważniejszej i najodpowiedzialniejszej chwili naszej historii, teraz piorunują na „niedorzeczności“ zatwardziałych grzeszników i na... szaleństwo samej rewolucji.

II.

Tak, na szaleństwo samej rewolucji.

„...w chwili odurzenia(!) rewolucyjnego, gdy cele rewolucji zdają się być tak blizkimi urzeczywistnienia, trudno jest utorować drogę rozumnej mieńszewickiej taktyce“... Socjaldemokratyczna taktyka, której zastosowaniu staje na zawadzie — „odurzenie rewolucyjne“. Odurzenie rewolucyjne! Co za terminologia! — Tak pisze Czerewanin na 209 str. swego nowego „dzieła“.

Gdy się czyta korespondencję naszych klasyków, którzy czuli na swych strażnicach — jeden w Berlinie, drugi — w ognisku wszechświatowego kapitalizmu, w Londynie — i czujnie badali widnokrąg polityczny, notując każdy objaw, który mógł świadczyć o zbliżającej się rewolucji; gdy się czyta te listy, w których huczy żywe wrzenie lawy rewolucyjnej, usiłującej się wyrwać na powierzchnię; gdy się oddycha tą atmosferą niecierpliwego a zarazem niezmordowanego oczekiwania rewolucji, — czuje się osobistą nienawiść do okrutnej dialektyki historycznej, która dla swych chwilowych celów skłania do marxizmu niedołącznych pod względem teoretycznym i psychologicznym rezonerów, przeciwstawiających swój taktyczny „rozum“ — odurzeniu rewolucyjnemu!

„... instynkt mas w rewolucjach — pisał w r. 1859 Lassalle do Marxa — jest zwykle o wiele trafniejszy, niż rozsądek inteligentów... Właśnie cechujący masy brak wykształcenia chroni je od podwodnych skał rozsądnierozumnego sposobu postępowania... Robić rewolucję — pisze dalej Lassalle — można ostatecznie tylko z po-

mocą mas i ich gorącej ofiarności. Lecz właśnie wskutek swej „ciemnoty“, swego braku wykształcenia, masy zupełnie nie rozumieją polityczności i — ponieważ każdy umysł nierozwinięty uznaje tylko krańcowości, zna tylko tak i nie, a nie zna żadnego pomiędzy nimi środka — masy interesują się tylko krańcowościami, wszystkim, co jednolite, bezpośrednie. Koniec końcem musi to sprawić ten skutek, że ci rachmistrze rewolucji, zamiast nie mieć przed sobą obłudnych wrogów a mieć poza sobą przyjaciół, mają przeciwnie wrogów przed sobą, a za sobą żadnych zwolenników swych zasad. W ten sposób mniemany najwyższy rozum okazuje się w praktyce najwyższym bezrozumem“. Lassalle zupełnie słusznie przeciwstawia trafny rewolucyjny instynkt nieoświeconych mas — „rozsądnio-rozumnej“ taktyce rachmistrzów rewolucji. Lecz surowy instynkt nie jest dla niego ostatecznym probierzem. Innym, wyższym jeszcze, jest „zupełne poznanie praw historii i postępu narodów“. „Tylko realistyczna wiedza — kończy Lassalle — może przewyższyć realistyczny rozsądek i wznieść się ponad nim“. Wiedza realistyczna, która u Lassalle'a powleczone jest naskórkiem idealizmu, u Marxa występuje, jako materialistyczna dialektyka. Cała jej siła polega na tym, że nie przeciwstawia ona swej „rozumnej taktyki“ realnemu ruchowi mas, a tylko nadaje mu formy i uogólnia go. I właśnie dlatego, że rewolucja zrywa osłony mistyki z podstawowych przegród socjalnych i każe klasom ścierać się na szerokiej arenie państwowej, polityk-marxista czuje się w rewolucji, jak w swoim żywiole. Cóż to za rozumna taktyka „mieższewicka“, która nie może być przyjęta przez masy? Albo — co gorsza jeszcze — coś to za rewolucyjna taktyka, która sama upatruje przyczyny swego niepowodzenia w „odurzeniu rewolucyjnym“ i świadomie oczekuje, aż przejdzie ten stan, to jest aż się wyczerpie lub zostanie mechanicznie stłumioną energja rewolucyjna mas?

III.

Tow. Plechanow pierwszy zdobył się na smutną odwagę odmałowania wszystkich wypadków rewolucji, jako szeregu omyłek. Dał on nam zdumiewający swą jaskrawością przykład tego, jak można w ciągu dwudziestu lat niezmordowanie bronić materialistycznej dialektyki przeciw wszelkim formom rezonerskiego dogmatyzmu i racjonalistycznego utopizmu, aby potym w realnej rewolucyjnej polityce okazać się dogmatykiem-utopistą najczystszej wody. We wszystkich jego pismach z epoki rewolucji napróżno będziecie szukali odzwierciadlenia najgłówniejszej rzeczy: immanentnej mechaniki stosunków klasowych, wewnętrznej logiki rewolucyjnego rozwoju mas. Zamiast tego Plechanow daje szereg warjacji na temat próżnego jak bania sylogizmu, którego wielką przesłanką jest zdanie: nasza rewolucja jest burżuazyjna, a wniosek brzmi: w stosunku do kadetów trzeba mieć takt. Niema tu ani analizy teoretycznej ani rewolucyjnej polityki, tylko małe rezonerskie dopiski na marginesach wielkiej księgi wydarzeń. Najwyższą zdobyczą tej krytyki jest jałowy morał: gdyby rosyjscy socjaldemokraci byli marxistami, a nie metafizykami, to nasza taktyka w końcu 1905 roku byłaby zu-

pełnie inną. I — rzecz dziwna — Plechanow zupełnie nie zadaje sobie pytania, jak mogło się zdarzyć, że w ciągu ćwierci wieku propagował on najczystszy marxizm — i przyczynił się tylko do stworzenia partii rewolucyjnych „metafizyków“, i — co jeszcze ważniejsza — jak mogło się stać, że tym „metafizykom“ udało się w najważniejszej chwili historycznej pociągnąć na błędną drogę masy robotnicze i postawić „prawdziwych“ marxistów w położeniu osamotnionych rezonerów? Jedno z dwojga: albo Plechanow sam nie posiada tajemnicy przejścia od marxizmu, jako doktryny, do rewolucyjnego czynu, albo „metafizycy“ w warunkach rewolucji mają jakąś niezaprzeczoną przewagę nad „prawdziwymi“ marxistami. Plechanow ostrożnie wymija ten fatalny dylemat. Lecz Czerewanin, ten pocziwy Sancho-Pansa plechanowskiego rezonerstwa, bierze byka za rogi, albo — mówiąc bardziej po cerwantesowsku — bierze osła za uszy i mężnie oznajmia: w czasach odurzenia rewolucyjnego dla prawdziwie marxistowskiej taktyki niema miejsca!!!

Czerewanin musiał dojść do takiego wniosku, bo postawił sobie zadanie, którego jego mistrz starannie unikał: nakreślenie ogólnego obrazu przebiegu rewolucji i roli w niej proletariatu. Podczas gdy rozważny Plechanow zadawała się podjazdową krytyką poszczególnych kroków i poszczególnych wypowiedzi, zupełnie ignorując wewnętrzny rozwój wypadków, Czerewanin zadał sobie pytanie: jak wyglądałaby historia, gdyby się rozwijała według marszruty „prawdziwej taktyki mieńszewickiej“? Odpowiedział na to broszurą „Proletariat w rewolucji“ (Moskwa 1907), która jest rzadkim dokumentem męstwa, na jakie może się zdobyć ograniczoność. Lecz gdy już poprawił wszystkie błędy i uszeregował w „mieńszewickim“ porządku wszystkie wypadki tak, że w swej kolejności prowadziły rewolucję do zwycięstwa, zadał sobie pytanie: dlaczegoż jednak rewolucja zboczyła na błędną drogę? I odpowiedział na to książką „Sytuacja obecna i możliwa przyszłość“ — znowu cennym świadectwem tego, że niezmordowane męstwo ograniczoności zdolne jest odchylić zasłonę, okrywającą prawdę — chociaż nie zawsze od strony głowy. Klęska rewolucji jest tak głęboka — mówi Czerewanin, że „sprowadzenie jej przyczyn do jakichś tylko błędów proletariatu byłoby zupełnym niepodobieństwem. Rzecz jasna, że idzie tu nie o omyłki, lecz o jakieś głębsze przyczyny“ (str. 174). Fatalną rolę w losach rewolucji odegrał powrót wielkiej burżuazji do przymierza z caratem i szlachtą. W procesie połączenia się tych sił w jedną kontrrewolucyjną całość „wielką, rozstrzygającą rolę odgrywał proletariat. I rzucając okiem wstecz, można teraz powiedzieć, że była to jego nieunikniona rola“ (strona 175, podkreślenia wszystkie moje). W pierwszej broszurze Czerewanin za przykładem Plechanowa uważał za przyczynę wszystkich nieszczęść blankizm Socjaldemokracji. Teraz uczciwa jego ograniczoność powstała przeciw temu i Czerewanin mówi: „Wyobraźmy sobie, że proletariat przez cały czas znajdował (by) się pod kierownictwem mieńszewików i postępował (by) po

mieńszewicku¹⁾). Taktyka proletariatu poprawiłaby się wtedy, lecz zasadnicze jego dążenia nie mogłyby się zmienić i nieuchronnie doprowadziłyby go do porażki“ (176). Innymi słowy proletariąt, jako klasa, nie zdołałby zmusić się do mieńszewickiego samoograniczenia. Rozwijając swą walkę klasową, nieuchronnie pchałby burżuazję do obozu reakcji... Błędy taktyczne tylko „zwiększały smutną rolę proletariatu w toczącej się walce“, lecz nie odgrywały rozstrzygającej roli. W ten sposób „smutna rola proletariatu“ w rosyjskiej rewolucji (sic!) wypływała z istoty jego interesów klasowych. Wniosek sromotny, równający się zupełnej kapitulacji wobec wszystkich oskarżeń, rzucanych przez liberalny kretynizm na klasową partię proletariatu. A jednak pomimo wszystko w tym sromotnym wniosku politycznym ujawnia się część prawdy historycznej: współdziałanie proletariatu i burżuazji okazało się niemożliwym nie wskutek usterek myśli socjaldemokratycznej, lecz wskutek głębokiego zróżnicowania burżuazyjnego „narodu“. Proletariat Rosji przy swym jasno określonym typie społecznym i przy swym poziomie uświadczenia mógł rozwijać swą energię rewolucyjną tylko pod znakiem własnych swych interesów. Lecz radykalizm jego interesów, nawet najbliższych, nieuchronnie pchał burżuazję na prawo. Czerewanin to zrozumiał. Lecz, jego zdaniem, to właśnie spowodowało klęskę. Dobrze. Jakiż stąd wniosek? Cóż miała robić Socjaldemokracja? Spróbować oszukać burżuazję „algiebraicznymi formułami“? Skrzyżować ręce na piersiach, pozostawiając proletariąt niechybnej porażce? Albo przeciwnie, uznając, że nadzieje trwałego współdziałania z burżuazją są złudzeniem, oprzeć swą taktykę na wydobyciu całej siły klasowej proletariatu, zbudzeniu najgłębszych interesów społecznych mas chłopskich, odwołaniu się do proletariackiej i chłopskiej armii – i na tej drodze szukać zwycięstwa? Czy zwycięstwo wogóle było możliwe, niepodobna było z góry wywróżyć; lecz niezależnie od mniejszych lub większych widoków zwycięstwa była to bądź co bądź jedyna droga, na którą mogła wejść partja rewolucji, o ile nie wołała natychmiast popełnić samobójstwa, niż narazić się tylko na możliwą porażkę.

Ta wewnętrzna logika rewolucji, którą Czerewanin zaczyna wymacywać dopiero teraz, „rzucając okiem wstecz“, była jeszcze przed początkiem wypadków rewolucyjnych jasną dla tych, których on oskarża o „niedorzeczność“.

„Obecnie – pisaliśmy w lipcu 1905 r. – trudniej jeszcze spodziewać się po burżuazji inicjatywy i stanowczości, niż w r. 1848. Z jednej strony, przeszkody są o wiele kolosalniejsze, z drugiej zaś – zróżniczkowanie społeczne i polityczne narodu zaszło niekończenie dalej. Milczący spisek burżuazji krajowej i wszechświatowej stawia straszne zawady twardego procesowi wyzwolenia, dążąc do tego, by nie dać mu przejść poza ugodę klas posiadających

¹⁾ Zwróćcie uwagę na ten sposób myślenia: nie mieńszewicy wyrażają walkę klasową proletariatu, lecz proletariąt postępuje po mieńszewicku. Jeszcze lepiej byłoby powiedzieć: przypuśćmy, że historia postępuje po czerewaninowsku....

z przedstawicielami starego porządku — w celu zgnębienia mas ludowych. Prawdziwie demokratyczną taktykę można w tych warunkach rozwinąć tylko przez walkę z liberalną burżuazją. Należy sobie z tego jasno zdać sprawę. Nie fikcyjna „jedność“ narodu przeciw jego wrogom, lecz głęboki rozwój walki klasowej w łonie narodu — oto właściwa droga... Bez wątpienia, walka klasowa proletariatu może pchnąć naprzód i burżuazję, lecz zrobić to może tylko walka klasowa. Z drugiej zaś strony nie ulega wątpliwości, że proletariąt, który przewyciężył swym parciem bierność burżuazji, jednakże, przy najkonsekwentniejszym rozwiązywaniu wypadków, zetknie się z nią w pewnej chwili jako z bezpośrednią przeszkodą. Klasa, która zdoła pokonać tę przeszkodę, będzie musiała to uczynić, a tym samym wziąć na siebie rolę hegiemonu, jeśli wogóle krajowi sądzone jest radykalne przeobrażenie demokratyczne. Przy takich warunkach mamy panowanie „stanu czwartego“. Rozumie się, że proletariąt wykonywa swą misję, jak niegdyś burżuazja, opierając się na chłopstwie i drobnomieszczaństwie. Kieruje on wsią, wciąga ją do ruchu, budzi w niej poczucie zależności jej interesów od powodzenia swych planów. Lecz wodzem pozostaje z konieczności on sam. Nie jest to „dyktatura chłopstwa i proletariatu“, lecz dyktatura proletariatu, opierającego się na chłopstwie. Praca jego nie zamknie się oczywiście w ramach państwa. Logika jego położenia wypchnie go niezwłocznie na arenę międzynarodową¹⁾.

IV.

Przy wszystkich różnicach poglądów różne prądy partii zgadzały się na tym punkcie, że liczyły na zupełne zwycięstwo, t. j. na zdobycie przez rewolucję władzy państwowej. Czerewanin oblicza teraz siły rewolucji i siły reakcji i po zsumowaniu rezultatów dochodzi do wniosku, że „wszystkie tryumfy rewolucji musiały zawierać w zarodku nieuniknioną klęskę w przyszłości“ (str. 198). Cóż mu daje materiały do tych obliczeń? Statystyka łstrejków, charakter i formy zaburzeń chłopskich, cyfry wyborów do trzech Dum. Nie wysnuwa więc przebiegu i wyników rewolucji bezpośrednio ze stosunków ekonomicznych, lecz z form i epizodów walki rewolucyjnej. Nie ekonomiczna charakterystyka i nie statystyka klas doprowadziła go do wniosku o przesądzonej zgóry beznadziejności rosyjskiej rewolucji, lecz badanie żywej walki tych klas, ich starć, ich otwartych zapasów w procesie rewolucji. Prawda, że „badanie“ Czerewanina jest nieudolne. Lecz zanim Czerewanin mógł bodaj tylko przystąpić do swego nieudolnego badania, trzeba było, aby przedtem strejk ogarnął kraj, aby wybuchło powstanie, aby chłopci rozgromili kilkanaście gubernji, aby wreszcie odbyły się wybory do Dumy. Statystyka sił społecznych nie daje nam klucza do odgadnięcia wyników społecznych starć. W przeciwnym wypadku należa-

1) Wstęp do „Mowy przed sądem przysięgłych“ Lassalle'a. Pewna umyślna nieścisłość wyrażen tłumaczy się tym, że artykuł był pisany dla legalnego wydawnictwa ery „przedkonstytucyjnej“.

łoby już dawno zastąpić walkę klasową buchalterją klasową. Nie tak jeszcze dawno marzyli o tym kasjerzy niektórych związków zawodowych w stosunku do strejków. Okazało się jednak, że kapitalistów nie przekonywują wyciągi z księgi głównej, że ostatecznie trzeba argumenty cyfrowe popierać argumentem strejku. I bez względu na najściślejsze uprzednie obliczenia, każdy strejk wydaje cały szereg nowych faktów konkretnych i moralnych, których nie można było przewidzieć i które koniec końcem decydują o wyniku strejku. Teraz usunięcie w swej wyobraźni związek zawodowy z jego ścisłą rachunkowością; rozszerzenie strejku na cały kraj; postawcie przed nim wielki cel polityczny; przeciwstawcie proletariatowi władzę państwową jako bezpośredniego wroga; otoczcie obu przeciwników sprzymierzeńcami, — rzeczywistymi, możliwymi, mniemanymi; dodajcie obojętne warstwy, o wpływ na które toczy się zaciepła walka; armję, w której tylko wśród burzy wypadków wyodrębnią się skrzydło rewolucyjne; przesadzone nadzieje z jednej strony, przesadzone obawy — z drugiej, przyczym i te i tamte są realnemi czynnikami wydarzeń; paroksyzmy giełdy i krzyżujące się wpływy stosunków międzynarodowych — wówczas otrzymacie tło rewolucji. Żaden perski Czerewanin nie mógł przepowiedzieć swym rodakom fatalnej roli, którą odegra względem rewolucji w Persji sojusz wzmożonego na siłach caratu z liberalnym rządem Anglii. I gdyby nawet znalazł się taki prorok i spróbował na podstawie swych obliczeń powstrzymać masy ludowe od szeregu powstań, które ostatecznie doprowadziły do klęski, rewolucjoniści perscy dobrzeby zrobili, gdyby poradzili mędrcomu osiedlić się na pewien czas w domu obłąkanych...

Rewolucja w Rosji rozwinęła się wcześniej, niż Czerewanin obrachował jej debet i kredyt. Rewolucja była dla nas gotową areną, na której przyszło nam działać. Wypadków nie stwarzaliśmy, lecz musieliśmy przystosowywać do nich swą taktykę. Skoro już braliśmy udział w walce — musieliśmy liczyć na zwycięstwo. Lecz rewolucja jest walką o władzę państwową. Jako partja rewolucji, mieliśmy przed sobą zadanie wykazywania masom konieczności zdobycia władzy.

V.

Pogląd mieńszewików na rosyjską rewolucję wogóle a na centralny problemat zdobycia władzy w szczególności nigdy nie był zbyt jasnym. Razem z bolszewikami mówili oni o „doprowadzeniu rewolucji do końca“, przyczym obie strony rozumiały to czysto formalnie, w sensie urzeczywistnienia naszego „programu minimalnego“, po którym miała nastąpić epoka „normalnego“ wyzysku kapitalistycznego w ustroju demokratycznym. Lecz „doprowadzenie rewolucji do końca“ musiało przypuszczać obalenie caratu i przejście władzy do rąk rewolucyjnej siły społecznej. Jakiej? Mieńszewicy odpowiadali: burżuazyjnej demokracji. Bolszewicy odpowiadali: proletariatu i chłopstwa.

Ale czym jest „burżuazyjna demokracja“ mieńszewików? Nie jest to nazwa określonej, realnie istniejącej i namacalnej siły społecznej, jest to poza historyczną kategorią, stworzona przez

dziennikarzy drogą dedukcji i analogji. Ponieważ rewolucja musi być doprowadzoną „do końca”, ponieważ jest to burżuazyjna rewolucja, ponieważ we Francji rewolucję doprowadzali do końca jakobini, zatem rewolucja rosyjska może przelać władzę tylko do rąk rewolucyjno-burżuazyjnej demokracji. Ustaliwszy niezachwianie algebraczną formułę rewolucji, mieńszewicy zaczęli niezmordowanie do niej dobierać wartości liczbowe. Zarzucając innym przecenianie sił proletariatu, sami oni pokładali bezgraniczne nadzieje w „Związku związków” i w partji kadeckiej... Martow z wielkimi nadziejami witął grupę „ludowych socjalistów”, a Martynow łapał za nogi kurskich nauczycieli ludowych. Dla mieńszewików jasnym było, że w kraju kapitalistycznym, w którym bogactwa, ludność, energia, wiedza, życie polityczne i polityczne doświadczenie koncentrują się w miastach — chłopstwo nie może odgrywać kierowniczej roli rewolucyjnej. Historia nie może powierzyć chłopu dzieła wyzwolenia burżuazyjnego narodu. Wskutek swego rozproszenia, ograniczoności politycznej i bardziej jeszcze wskutek rozdzierających tę klasę głębokich sprzeczności społecznych, z których niema żadnego wyjścia w ramach kapitalistycznego społeczeństwa, chłopstwo zdolne jest tylko zadać staremu porządkowi z tyłu kilka strasznych ciosów — z jednej strony — przez żywiołowe powstania, wywołujące zamieszanie i popłoch, z drugiej — przez wniesienie swego niezadowolenia do armji. Lecz w kapitalistycznych miastach, w tych rezydencjach historii nowożytnej, musi istnieć stanowcza partja, opierająca się na rewolucyjnych masach i zdolna do wykorzystania powstań chłopskich i niezadowolenia wojsk w tym celu, aby bezlitosnym parciem wypchnąć wroga ze wszystkich pozycji i zagarnąć władzę państwową. Takiej partji mieńszewicy nie znajdowali. Dlatego też ich abstrakcyjne „doprowadzenie rewolucji do końca” wyrodziło się w praktyce w popieranie kadetów *guand même*, a najbardziej konsekwentni, jak widzieliśmy, doszli do wniosku, że klimat rewolucji jest wogóle zbyt ostry dla egzotycznej taktyki mieńszewizmu.

Sprzeczności mieńszewizmu są karykaturalnym odbiciem sprzeczności samej historii, która postawiła krajowi ogromne zadania rewolucyjne, wymiółszy poprzednio na całym świecie żelazną miotłą wielkiego przemysłu burżuazyjną demokrację jako siłę ekonomiczną i polityczną.

VI.

Dla przeciwwagi „narodnikom” marxiści tak długo zaprzeczali naszej „samoistności”, że doszli do zasadniczego utożsamienia naszego rozwoju ekonomicznego i politycznego z „zachodnio-europejskim”. Stąd był już tylko jeden krok do najniedorzeczniejszych wniosków.

Miedzy Anglią, pionierką rozwoju kapitalistycznego, która w ciągu wieków stwarzała nowe formy społeczne i, jako ich wyrazicielkę, potężną burżuazję angielską, — a miedzy dzisiejszemi kolonjami, do których kapitał europejski na gotowych pancernikach przywozi gotowe szyny, podkłady, gwoździe i wagony salonowe dla admi-

nistracji kolonialnej, a następnie karabinem i bagnetem wyrzuca krajowców z ich pierwotnego środowiska, wpędzając ich batem do kapitalistycznej cywilizacji, — niema żadnej analogji rozwoju dziejowego, chociaż jest głęboki wewnętrzny związek.

Nowa Rosja przybrała zupełnie samoistny charakter dzięki temu, że jej chrztu kapitalistycznego dokonywał — w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia — europejski kapitał, doprowadzony do swej najbardziej skoncentrowanej i wysubtelnionej formy: kapitał finansowy. Jego własna poprzednia historia niczym nie jest związana z poprzednią historją Rosji. Zanim mógł u siebie w kraju dojść do wyżyn współczesnej giełdy, musiał wprzód wyrwać się z ciasnych ulic i zaułków miasta rzemieślniczego, gdzie się uczył pełzać i chodzić, musiał w ciągłej walce z kościołem rozwijać technikę i naukę, skupić dokoła siebie cały naród, zdobyć władzę przez powstanie przeciw przywilejom feodalnym i dynastycznym, stworzyć dla siebie otwartą arenę, dobić samodzielną drobną produkcję, z której sam wyszedł, — a potem, oderwawszy się od pępowniny narodu, od prochu ojców, od przesądów politycznych, od sympatji rasowych, od geograficznej długości i szerokości, drapieźnie szybować nad kulą ziemską, — dziś truć opjum zrujnowanego przez niego samego rzemieślnika chińskiego, jutro wzbogacać nowym pancernikiem wody Rosji, pojutrze zagarniać kopalnie djamentów na południu Afryki.

Gdy angielski lub francuski kapitał, ten produkt historyczny szeregu wieków, zjawia się w stepach zagłębia Donieckiego, jest zupełnie niezdolny do rozwinięcia z siebie tych samych sił, stosunków i namietności społecznych, które kolejno w siebie wchłonał. Nie powtarza już na nowym terytorjum przebitego niegdyś rozwoju, lecz zaczyna od tego, na czym się zatrzymał we własnym kraju. Dokoła maszyn, które przerzucił przez morza i granice celne, skupia odrazu, bez żadnych etapów pośrednich, masy proletariatu — i w tę klasę przelewa zastygłą w nim energję rewolucyjną dawnych pokoleń burżuazji.

Kiedy Dan za wzorem Martynowa użala się, że brak (względnie słabość) miejskiej demokracji burżuazyjnej jest „naszym największym nieszczęściem“, możemy tylko ze współubolewaniem wzruszyć ramionami. Czy ci ludzie rozumieją właściwie, o co się martwią? Wytlumaczmy im: smuci ich to, że polem gospodarki międzynarodowej zawiadną wielki kapitał; że nie dał on w Rosji uformować się silnemu drobnomieszczaństwu rzemieślniczemu i handlowemu; że wielka rola drobnomieszczaństwa w gospodarce i polityce przeszła do nowoczesnego proletariatu. Ale wszystko to stanowi warunki siły i wpływu Socjaldemokracji. Oni sądzą, że zarazem są to przyczyny słabości rewolucji. Nie mówię już o tym, jak marny jest ten pogląd ze stanowiska międzynarodowej Socjaldemokracji, jako partji wszechświatowego przewrotu społecznego. Dość na tym, że warunki naszej rewolucji są takie, jakie są. Żalami i skargami nie wskrzesi się stanu trzeciego. Pozostaje wywnioskować, że tylko walka klasowa proletariatu, poddająca jego kierownictwu rewolucyjnemu masy chłopskie, zdolna jest „doprowadzić rewolucję do końca“.

VII.

Zupełnie słusznie! mówią bolszewicy. Do zwycięstwa w rewolucji naszej nieodzowną jest wspólna walka proletariatu i chłopstwa. Lecz „koalicja proletariatu i chłopstwa, osiągnąca zwycięstwo w rewolucji burżuazyjnej, jest niczym innym, jak rewolucyjno-demokratyczną dyktaturą proletariatu i chłopstwa“¹⁾. Treścią jej działalności będzie demokratyzacja stosunków politycznych i ekonomicznych w granicach prywatnej własności na środki produkcji. Lenin stwierdza zasadniczą różnicę pomiędzy socjalistyczną dyktaturą proletariatu a demokratyczną (względnie burżuazyjno-demokratyczną) dyktaturą proletariatu i chłopstwa. Ta czysto formalna operacja logiczna zupełnie ratuje go, jak mu się zdaje, od materialnej sprzeczności pomiędzy niskim poziomem sił produkcyjnych a politycznym panowaniem klasy robotniczej. Gdybyśmy sądzili — mówi Lenin — że możemy dokonać przewrotu socjalistycznego, szlibyśmy wprost do politycznego krachu. Lecz skoro proletariąt, stając wraz z chłopstwem u steru władzy, wyrażnie sobie uświadamia, że jego dyktatura ma tylko „charakter demokratyczny“, wtedy wszystko ocalone. Myśl tę Lenin niestrudzenie powtarza, poczynając od r. 1904. Lecz to jeszcze nie czyni jej bardziej treściwą.

Ponieważ warunki społeczne Rosji nie dojrzały do rewolucji socjalistycznej, więc posiadanie władzy politycznej byłoby dla proletariatu największym nieszczęściem, — mówią mieniszewicy. Byłoby to słuszne, odpowiada Lenin, gdyby proletariąt nie uświadamiał sobie, że idzie tylko o rewolucję demokratyczną. Innemi słowy, wyjście z sprzeczności pomiędzy klasowym interesem proletariatu a obiektywnymi warunkami dla Lenina polega na politycznym samooograniczeniu proletariatu, przyczem to samoograniczenie ma być wynikiem teoretycznej świadomości, że przewrót, w którym klasa robotnicza gra rolę kierowniczą, jest przewrotem burżuazyjnym. Obiektywną sprzeczność Lenin przenosi do świadomości proletariatu i rozwiązuje ją za pomocą ascetyzmu klasowego, wyrastającego nie z religijnej wiary, lecz z „naukowego“ schematu. Dość przedstawić sobie jasno tę konstrukcję, aby zrozumieć jej beznadziejnie idealistyczny charakter.

Wykazałem szczegółowo gdzieindziej²⁾, że już w drugim dniu „demokratycznej dyktatury“ cała ta sielanka quasi-marxistowskiego ascetyzmu pryśnie jak bańka mydlana. Bez względu na to, pod jakim znakiem teoretycznym proletariąt stanie u władzy, nie będzie mógł zaraz, w pierwszym dniu, nie zetknąć się twarzą w twarz z zagadnieniem braku pracy. Rzecz wątpliwa, czy wiele mu w tej sprawie pomoże wyświechtanie różnicy pomiędzy dyktaturą socjalistyczną a demokratyczną. Proletariąt, posiadający władzę, będzie musiał w tej lub innej formie (roboty publiczne i t. p.) wziąć natychmiast zabezpieczenie bytu bezrobotnych na rachunek państwa. To ze swej strony

1) Patrz artykuł Lenina w Nr. 2 P. S., str. 107.

2) „Nasza rewolucja“, str. 249—259.

wywoła natychmiast potężny wzrost walki ekonomicznej i całą epopeję strejków: widzieliśmy to na małą skalę na schyłku 1905 r. Kapitałiści zaś odpowiedzą robotnikom tym, czym odpowiedzieli wówczas na żądanie 8-miogodzinnego dnia pracy: zamknięciem fabryk. Zawieszają wielkie kłódki i przytym powiedzą sobie: „naszej własności nic nie grozi, bo ogłoszono, że proletarijat jest teraz zajęty nie socjalistyczną lecz demokratyczną dyktaturą“. Co zrobi rząd robotniczy wobec zamkniętych fabryk? Będzie musiał otworzyć je i podjąć nanowo produkcję na koszt państwa. Ależ będzie to droga do socjalizmu!? Oczywiście! Lecz jakąż inną drogę potraficie wskazać?

Może mi ktoś odpowiedzieć: malujecie obraz nieograniczonej dyktatury robotniczej. Ale przecież idzie o koalicyjną dyktaturę proletariatu i chłopstwa. — Dobrze. Policzmy się i z tym argumentem. Widzieliśmy przed chwilą, jak proletarijat, wbrew najlepszym zamiarom swych teoretyków, stał w praktyce linię logiczną, która miała ograniczać jego demokratyczną dyktaturę. Teraz mamy propozycję uzupełnienia politycznego samoograniczenia proletariatu przez obiektywną gwarancję antisocjalistyczną w postaci współpracownika-chłopa. Jeśli ma to oznaczać, że stojąca u steru władzy obok Socjaldemokracji partja chłopska nie pozwoli wziąć utrzymania bezrobotnych i strejkujących na koszt państwa i otworzyć zamkniętych przez kapitalistów fabryk dla produkcji państwowej, to wynika stąd, że już w pierwszym dniu, to jest jeszcze nadługo przed wykonaniem zadań „koalicji“, będziemy mieli konflikt rewolucyjnego proletariatu z rządem rewolucyjnym. Konflikt ten może się skończyć albo poskromieniem robotników przez partję chłopską, albo odsunięciem tej partji od władzy. I jedno i drugie bardzo mało przypomina koalicyjną „demokratyczną“ dyktaturę. Całe nieszczęście w tym, że bolszewicy doprowadzają walkę klasową proletariatu tylko do chwili tryumfu rewolucji, następnie zaś walka ta chwilowo się rozpuszcza w „demokratycznym“ współdziałaniu. I tylko po ostatecznym ukonstytuowaniu republikańskim walka klasowa proletariatu znów występuje w czystej postaci — tym razem w formie bezpośredniej walki o socjalizm. Podobnie jak mieniszewicy wychodzą z abstrakcji: „nasza rewolucja jest burżuazyjna“ i dochodzą do idei przystosowania całej taktyki proletariatu do zachowania się liberalnej burżuazji aż do chwili zdobycia przez nią władzy, tak bolszewicy, wychodząc z takiejże nagiej abstrakcji: „dyktatura demokratyczna a nie socjalistyczna“, dochodzą do idei burżuazyjno-demokratycznego samoograniczenia proletariatu, posiadającego władzę państwową. I tu, jak w wielu wypadkach, ograniczoność mieniszewizmu znajduje uzupełnienie w odpowiedniej ograniczoności bolszewizmu. Prawda, że w tej kwestji zachodzi pomiędzy nimi bardzo znaczna różnica: podczas gdy antirewolucyjna strona mieniszewizmu ujawnia się w całej mocy już obecnie, antirewolucyjne rysy bolszewizmu grożą ogromnym niebezpieczeństwem tylko w razie rewolucyjnego zwycięstwa. Ten fakt, że i mieniszewicy i bolszewicy zawsze mówią o „samodzielnej“ polityce proletariatu (pierwsi w stosunku do libe-

ralnej burżuazji, drudzy w stosunku do chłopstwa), nie zmienia w niczym tej okoliczności, że zarówno pierwsi, jak drudzy — tylko na różnych szczeblach rozwoju wypadków — lękają się skutków walki klasowej i chcą ją skrępować swemi konstrukcjami metafizycznymi.

VIII.

Zwycięstwo rewolucji może przelać władzę tylko do rąk tej partji, która potrafi się oprzeć na uzbrojonym ludzie miejskim, t. j. na milicji robotniczej. Stanąwszy u steru władzy, Socjaldemokracja zetknie się z najgłębszą sprzecznością, która nie da się usunąć za pomocą naiwnego szyldu „tylko demokratycznej dyktatury“. „Samoograniczenie“ oznaczałoby ni mniej ni więcej jak zdradę interesów bezrobotnych, strejkujących, wreszcie całego proletariatu w imię urzędywistnienia republiki. Władza rewolucyjna będzie miała przed sobą obiektywne zadania socjalistyczne, lecz rozwiązanie ich wpadnie na pewnym szczeblu w konflikt z zacofaniem ekonomicznym kraju. W ramach rewolucji krajowej z tej sprzeczności niema wyjścia. Przed rządem robotniczym stanie odrazu zadanie złączenia swych sił z siłami socjalistycznego proletariatu Zachodniej Europy. Tylko tą drogą jego tymczasowe panowanie rewolucyjne stanie się prologiem do dyktatury socjalistycznej. „Revolution in Permanenz“, nieustająca rewolucja stanie się w ten sposób dla proletariatu Rosji kwestją klasowego samozachowania. Gdyby partja robotnicza nie znalazła w sobie dostatecznej inicjatywy do rewolucyjno-zaczepeknej taktyki i gdyby zechciała skazać się na post dyktatury tylko krajowej i tylko demokratycznej, zjednoczona reakcja Europy nie omieszkaby jej wytłumaczyć, że klasa robotnicza, mająca w rękach władzę państwową, musi ją całą rzucić na szalę rewolucji socjalistycznej.¹⁾

Polityka społeczna kontrrewolucji.

(Z powodu projektów ubezpieczenia robotników.)

Napisał St. Nowicki.

I.

Że w programie rządów stołypinowskich nie zbraknie zapowiedzi reform na polu polityki społecznej, o tym nie wątpił nikt, kto zrozumiał system polityczny tego wielkiego męża stanu. Jest to już bowiem tradycją wszelkiej polityki w tym czy innym sensie kontrrewolucyjnej, że ima się ona nie tylko gwałtownych środków represji, ale jednocześnie usiłuje zaskarbić sobie pozorami przychylności względy tych, przeciw którym się zwraca. W tym samym czasie, kiedy więzienia, zesłania, katorga i stryczek tłumią wszelkie dążenia do zdobycia rzeczywistej wolności politycznej i warunków, umożliwiających

¹⁾ Porównaj treść rozdziałów VIII i VII z artykułem Róży Luxemburg: *Nauki trzech Dum* (str. 193 i 194) w N-rze 2 P. S. Red. P. S.

emancypację społeczną proletariatu, kiedy, jednym słowem, brak wszelkich podstaw, na których mógłby stać trwały gmach reform społecznych nawet w duchu wążko burżuazyjnym, rosyjska karykatura Bismarka — Stołypin przystępuje nieustraszenie do swego wielkiego dzieła reform społecznych, którego wykonanie uniemożliwiło mu rozpędzenie „niezdolnej“ do tak ważnej pracy drugiej Dumi.

Już od dłuższego czasu opracowywane są w kancelariach departamentów i dyskutowane na zebraniach wydziałów przy udziale przedstawicieli przemysłu projekty do praw o ubezpieczeniach robotników.

Skonstatować i przyznać należy, że rząd bynajmniej nie chce i nie stara się pozostawić proletariąt w nieświadomości lub nawet niepewności co do pobudek swych szlachetnych zamiarów. Więcej nawet. Bez demagogicznej deklamacji na temat miłości bliźniego lub obowiązków społecznych, z uznania godną otwartością wyjaśnia on oponującemu kapitałowi cele swej demagogii kontrrewolucyjnej i odsłania przed proletariatem najgłębsze i najmądrzejsze sekrety panowania siły, wtajemniczając tenże oponujący kapitał w arkana taktyczne swej polityki wewnętrznej, kiedy opozycja jego zagraża najżywniejszym, najosobistszym interesom rządów absolutystycznych. Konkretnie mówiąc, mamy przed sobą kontrrewolucyjną demagogję, małpującą system Bonaparte-Bismark, odpowiednio przykrojony do całego charakteru i warunków chcącego utrzymać się przy władzy biurokratycznego samowładztwa Rosji.

Podczas obrad nad prawem z 21 października 1878 r. (prawo wyjątkowe przeciwko socjalistom), dotyczącym niebezpiecznych dla ogółu dążeń Socjaldemokracji, uznaną została przez rząd niemiecki konieczność zwalczania ujemnych zjawisk, które zmusiły do wydania takiego prawa, środkami pozytywnymi, zmierzającymi do poprawy bytu robotników.

„Ujmowanie się w znaczniejszej niż dotychczas mierze za swemi potrzebującymi pomocy członkami jest dla państwa nie tylko obowiązkiem humanitarności i chrześcijaństwa, któremi powinny być przeopojone urzędnictwa państwowe, lecz również zadaniem dążącej do wzmocnienia państwa polityki, która zmierzać powinna do tego, aby i w klasach nieposiadających, będących zarazem najliczniejszymi i najmniej oświeconymi, utrwalić pogląd, że państwo jest nie tylko instytucją konieczną, lecz zarazem dobroczynną.

„Do wniosku, że państwo nie jest instytucją, wynalezioną li tylko dla obrony interesów klas lepiej postawionych, lecz również urządzeniem, służącym interesom i potrzebom klas nieposiadających, muszą być klasy te doprowadzone przez widoczne i bezpośrednie korzyści, które przypadną im w udziale dzięki zarządzeniom prawodawczym“.

Słowa te, które były zapowiedzią niemieckiego prawodawstwa ubezpieczeń robotniczych, mógłby również umieścić w zapowiedzi swojej Stołypin.

Nie trudno jest oczywiście przewidzieć, że szerokie masy proletariatu nie dadzą się złapać na lep nędznej demagogji. W mniejszym jeszcze stopniu sprawdzi ona pokładane w niej nadzieje, niż je spełnia w oczywistej swojej Niemczeh, gdzie niema przecież na każdym kroku przepełnionych strejkującymi robotnikami więzień i nie dźwięczą kajdany skazywanych na kaźń rzeczników sprawy robotniczej. Stan rzeczy, jaki panuje pod rządami Stołypina, nie pozwoli naturalnie proletariatowi ani na chwilę przypuścić, że ubezpie-

czenia robotnicze choć na żdźbło zmniejszą wyzysk kapitalistyczny, że zastąpią chociażby w najśłabszym stopniu wszystkie te swobody polityczne, które umożliwiają walkę z kapitałem — prawa stowarzyszeń, strajków, wolności słowa i prasy.

Ale nie tylko te warunki nie czynią rządowego projektu ubezpieczeń robotniczych niebezpiecznym dla losów ruchu rewolucyjnego i Socjaldemokracji w państwie rosyjskim. Jeżeli bowiem burżuazyjne reformy społeczne wogóle, a ubezpieczenia robotnicze w szczególności nie mogą zatamować rozwoju ekonomiczno-społecznego, a z nim i świadomości proletariatu w kierunku do socjalizmu, to tymbardziej nie potrafi dokonać tego projekt ubezpieczeń systemu Stołypina. I jeżeli frakcja socjaldemokratyczna w Dumie zmuszona będzie głosować przeciw projektowi rządowemu, to nie dlatego, oczywiście, żeby Socjaldemokracja była zasadniczo przeciwniczką ubezpieczeń robotniczych — przeciwnie, ma ona żądanie to w swoim programie, — lecz dlatego jedynie, że zaprowadzenie ubezpieczeń robotniczych przy obecnych warunkach politycznych w państwie, i w dodatku według projektu rządowego, będzie dla proletariatu ze wszech miar niekorzystnym, nawet bezpośrednio. Żądanie ubezpieczeń robotniczych stanowi wprawdzie jeden z najpierwszych punktów programu minimalnego wszystkich partii socjalistycznych. Ale, rzecz prosta, socjaliści wyobrażają sobie ubezpieczenie nieco inaczej, niż burżuazyjni zwiaśtuni pokoju społecznego oraz gienjalny bezmózg a „wielki“ mąż kontrrewolucji rosyjskiej — Stołypin.

II.

Zanim przystąpimy do charakterystyki tych stron stołypinowskiego projektu, które wymagają specjalnego uwzględnienia i krytyki, rozpatrzyć musimy cechy zasadnicze, wspólne wszystkim systemom ubezpieczeń. W tym celu przyjrzymy się bliżej niemieckim ubezpieczeniom robotniczym, nie tylko dlatego, że są one, jak dotychczas, najdalej idącymi, ale i w szczególności dlatego, że posłużyły one, jak na to z dumą wskazuje oficjalna prasa rosyjska, za wzór dla projektów rządu Stołypina.

Niemieckie ubezpieczenia robotnicze dzielą się na cztery kategorie: ubezpieczenia od choroby, wypadku przy pracy, niezdolności do pracy i starości. Projekt rosyjski ogranicza się tymczasem — jak zapewniają na posiedzeniach odnośnych komisji — do dwu gałęzi ubezpieczeń: od choroby i wypadków przy pracy. Wiemy aż nazbyt dobrze co znaczy „tymczasem“ wypowiedane przez biurokrację carską, ograniczymy się więc do rozpatrzenia tylko tych dwóch gałęzi niemieckich ubezpieczeń robotniczych. Obie te kategorie bardzo różnią się pomiędzy sobą jak co do kół osób, podlegających obowiązkowemu ubezpieczeniu, tak co do sposobu rozkładu kosztów na ubezpieczających i ubezpieczanych, rozmiaru ubezpieczenia i urządzeń administracyjnych.

Obowiązkowemu ubezpieczeniu od choroby podlegają w Niemczech:

- a) osoby, pracujące w charakterze najmitów w górnictwie, kopalniach soli, kamieniołomach, w fabrykach, hutach, na kolejach, w żegludze rzecznej, przemyśle budowlanym, w zakładach okrętowych;
- b) osoby, pracujące w przedsiębiorstwach handlowych i we wszystkich wogóle przedsiębiorstwach przemysłowych;

c) osoby, pracujące w kancelariach rejentów, adwokatów, korników, technicy, uczniowie i subjekci handlowi, majstrowie fabryczni, osoby zatrudnione w kasach chorych, towarzystwach ubezpieczeń oraz związkach zawodowych — z dochodem nie przekraczającym 2000 marek;

d) osoby, pracujące w zakładach, stale poruszanych przez motor parowy lub inną siłę żywiołową;

e) osoby, pracujące we wszystkich wydziałach poczt i telegrafów oraz w wydziałach gospodarczych zarządu floty i armji.

Podstawową zasadą ubezpieczenia na wypadek choroby jest podział wszystkich podlegających temu ubezpieczeniu osób podług zawodów — każdy zawód posiada odrębną kasę.

Miejscowe kasy chorych (Ortskrankenkasen) stanowią normalną formę kas chorych. Tworzą się one w zasadzie z osób, pracujących w obrębie danej gminy w tym samym zawodzie lub też w tej samej gałęzi przemysłu, o ile liczba tych osób przewyższa 100. Wolno tworzyć i wspólne kasy chorych dla robotników kilku gałęzi przemysłu, o ile liczba osób, zajętych w każdej, nie dochodzi do 10.

Prawo wymaga przymusowego ubezpieczenia, nie zmusza jednak do wstąpienia do określonej kasy — wobec tego istnieć mogą najróżnorodniejsze rodzaje kas, byleby odpowiadały stawianym przez prawo warunkom. Stosownie do tego jednemu lub kilku przedsiębiorstwom przysługuje prawo urządzenia własnych kas chorych, do których na zasadzie umowy najmu lub regulaminu fabrycznego muszą wstąpić wszyscy pracownicy tych zakładów. Prawo zakładania fabrycznych kas chorych przysługuje jedynie przedsiębiorstwom, zatrudniającym co najmniej 50 robotników. Przy 50 lub więcej robotnikach przedsiębiorca musi założyć kasę chorych, o ile zażąda tego gmina miejscowa lub miejscowa kasa chorych, do której należą robotnicy tej fabryki. Właściciele przedsiębiorstw, w których praca oddziałuje na zdrowie robotników wyjątkowo szkodliwie, mogą być zobowiązani do założenia odrębnych kas chorych, chociażby liczba osób zatrudnionych w danym przedsiębiorstwie była niższa od 50.

Przy większych czasowych robotach budowlanych mogą być urządzone specjalne budowlane kasy chorych.

Bywają też cechowe kasy chorych, zakładane dla czeladników i terminatorów przez organizacje rzemieślników, bratnie kasy chorych, zakładane na podstawie ustawy górniczej i przez tę regulowane.

Prócz miejscowych kas chorych i równoznacznych z temi organizacji dozwolone są również prywatne kasy pomocy, o ile czynią zadość wymaganiom prawa. Wreszcie osoby, podlegające przymusowemu ubezpieczeniu, nie należące jednak ani do miejscowych ani też do fabrycznych kas chorych, mogą ubezpieczyć się wprost w gminie. Gmina nie organizuje osób tych w kasy, lecz pobiera od nich wkładki bezpośrednio.

Obowiązki kas są następujące:

a) Udzielanie bezpłatnej pomocy lekarskiej oraz lekarstw, poczynając od początku choroby w ciągu 26 tygodni.

b) Udzielanie zapomogi, poczynawszy od trzeciego dnia choroby. Zapomoga wynosi 50% przyjętego za normę zarobku dziennego. Ubezpieczenie gminne przyjmuje za normę przeciętną w danej miejscowości płacę dzienną; wysokość tej płacy jest ustanowiona przez wyższe władze administracyjne; ta sama płaca jest również minimalną granicą normy wsparć, udzielanych przez prywatne kasy pomocy. Inne kasy

przyjmują za podstawę przeciętną płacę roboczą w zawodzie, do którego kasa należy. W niektórych wypadkach, zamiast otrzymywania zapomóg, chorzy są umieszczani w szpitalu. Do rzędu chorób, przy których kasa obowiązkowo udziela zapomóg, należą od czasu wydania prawa z r. 1903 i choroby weneryczne.

c) Udzielanie wsparć położnicom — podług prawa z r. 1903 w ciągu 6 tygodni.

d) Udzielanie zapomóg na koszty pogrzebu w wysokości 20 do 40 krotnego zarobku dziennego.

Środki kas tworzą się z wkładek uczestników; wkładki nie są jednakowe; wysokość ich zależy od tego, w jakim stopniu dany rodzaj pracy zagraża zdrowiu robotnika. Są one wyższe w przemyśle szkodliwie oddziaływającym na zdrowie robotników. $\frac{2}{3}$ wkładek płaci robotnik, $\frac{1}{3}$ przedsiębiorca.

Ubezpieczeniu od wypadków przy pracy podlegają:

a) Wszyscy robotnicy, pracujący w przedsiębiorstwach rolniczych i leśnych.

b) Wszyscy pracujący na budowlach.

c) Wszyscy marynarze i kategorie pokrewne.

d) Z pośród robotników przemysłowych ci, którzy pracują w przedsiębiorstwach przemysłowych, zatrudniających co najmniej 10 osób, również pracownicy przedsiębiorstw, poruszanych przez motor parowy, siłę zwierzęcą lub wogóle żywiołową; urzędnicy tych przedsiębiorstw, o ile dochód ich nie przewyższa rocznie sumy 3000 marek.

Robotnik, który poniósł szwank przy pracy, ma prawo do odszkodowania we wszystkich wypadkach nawet wówczas, gdy sam zawnił, byleby nieszczęście nie zostało wywołane przez niego umyślnie.

Otrzymuje on:

a) bezpłatną pomoc lekarską, lekarstwa i inne środki lecznicze, również wszelkie środki, niezbędne dla pomyślnego przebiegu leczenia i dla złagodzenia skutków kalectwa;

b) rentę, poczynwszy od 14 tygodnia po wypadku w ciągu całego czasu niezdolności do pracy. Renta wynosi przy zupełnej utracie zdolności do pracy — 66 $\frac{2}{3}$ % zarobku rocznego poszkodowanego, w razie zaś częściowej niezdolności do pracy część pełnej renty, odpowiednio do stopnia utraty zdolności;

c) rodzina zabitego otrzymuje rentę: wdowa 20% zarobku rocznego oraz każde z dzieci poniżej lat 15 — 20%. Ogółem jednak nie więcej jak 60% zarobku;

d) zapomogę na pogrzeb w wysokości $\frac{1}{15}$ zarobku rocznego, w każdym razie co najmniej 50 marek.

Renta oblicza się podług zarobku, który otrzymał poszkodowany, jako płacę roboczą lub pensję w ciągu ostatniego roku w zakładzie, w którym uległ wypadkowi.

Środki na pokrycie wydatków dostarczają wyłącznie przedsiębiorcy. W tym celu są oni połączeni podług zawodów w t. zw. zgromadzenia zawodowe (Berufsgenossenschaften)¹⁾.

Nie będziemy się na tym miejscu wdawali w szczegóły tej rozległej materji, lecz postawimy w centrum naszych rozważań najogól-

1) Powyższe dane o ubezpieczeniach w Niemczech przytaczamy, uwzględnivszy niektóre faktyczne niedokładności, na podstawie prof. Sombarta: Die Gewerbliche Arbeiterfrage (jest polskie tłumaczenie p. t.: Kwestja robotnicza w przemyśle. Nakładem W. Raabe. Warszawa 1907).

niejsze, najbardziej charakterystyczne zasady, na jakich opierają się i działają te instytucje ubezpieczeń i które znajdują się również w projekcie rosyjskim.

Najsamprzód rzuca się w oczy fakt, że nie tylko nie wszyscy robotnicy podlegają w Niemczech obowiązkowemu ubezpieczeniu, ale że niektóre kategorie ich wykluczone są bądź z pierwszego bądź z drugiego ubezpieczenia. Tak w roku 1906 ubezpieczonych od choroby było 11 689 697 robotników, od wypadków przy pracy — 20 727 213 robotników. Robotnik, pozostający bez pracy rzucony jest w razie choroby na pastwę losu, o ile nie ubezpieczył się na koszt własny, bo tylko w ciągu trzech tygodni po wypisaniu robotnika z kasy chorych korzysta on jeszcze ze swoich praw. Nie lepiej dzieje się robotnikom chorowitym i ciężarnym robotnicom, szczególnie jeśli ubezpieczeni są w cechowych i fabrycznych kasach chorych. „W tych rodzajach kas chorych, pisze altenburski sekretarz robotniczy¹⁾, zdarza się, że robotnika, który wzbudza podejrzenie, iż zachoruje wkrótce, lub robotnicę, u której zauważono brzemiennosc, wprost wyrzucają z fabryki“, — przedsiębiorcy nie chcą ponosić jednej trzeciej przypadających na nich kosztów leczenia. Wogóle panują w tej gałęzi ubezpieczeń bardzo nieuregulowane i niekorzystne dla robotników warunki.

Obok bowiem miejscowych kas chorych istnieją, jak już widzieliśmy wyżej, wolne kasy pomocy, kasy fabryczne, cechowe i gminne. Projekt rosyjski nie wskazuje wprawdzie wyraźnie na to, że dopuszczone będą dla ubezpieczeń wszystkie te rodzaje kas, niejasność jednak, jaka cechuje dotychczasowe wynurzenia prasy w tej kwestji, nasuwa obawy, że cały ten rozgardjasz powstanie także w dziedzinie rosyjskich kas chorych, i dlatego nie możemy pominąć tych wad, jakimi odznaczają się niektóre z tych kas, dopuszczalnych przez prawo niemieckie. Tylko miejscowe i wolne kasy chorych odpowiadają rzeczywistym wymaganiom ubezpieczeń robotniczych. Mając w pierwszych $\frac{2}{3}$ zarządu, a w drugich całkowity zarząd w swoich rękach, robotnicy, rzecz jasna, mogą rozwijać działalność tych kas aż do najwyższych granic ich możliwości materialnych. Inaczej ma się rzecz z kasami cechowymi, fabrycznymi i gminnymi, w których robotnicy nie mają żadnego wpływu na administrację, a do których z tych czy innych powodów należeć muszą. Kasy te, troszcząc się przedewszystkiem o to, aby możliwie obniżyć część kosztów, która przypada na przedsiębiorców, starają się w tym celu zdziałać dla robotników jak najmniej. Oto kilka próbek z działalności tych kas, które znajdujemy w książce Müllera: „O działalności fabrycznych kas chorych mówią sprawozdania (sekretarjatów robotniczych) wszystkie bez wyjątku nieprzychylnie. Po większej części kasy te ograniczają działalność swoją do minimum. Często donoszą, że miejscowe kasy chorych przewyższają co do rozmiaru działalności swojej kasy fabryczne. Ma to miejsce w Frankfurcie, Kolonji, Bremie i Hanowerze“. W końcu cytowane sprawozdanie wskazuje na to, że właściciele zakładów obliczają wkładki podług urzędowo zatwierdzonych przeciętnych miejscowych płac dziennych, wskutek czego normy zapomogowe nie odpowiadają rzeczywistym zarobkom. Fabryczna kasa chorych przedalnia i tkalni juty w Bremie płaciła będącemu w sile

1) August Müller: Arbeitersekretariate und Arbeiterversicherung in Deutschland (München bei Birk).

wieku żonatemu robotnikowi 87 fenigów zapomogi dziennie. Z Manheimu donoszą, że pewna firma o sławie wszechświatowej płaci dziennie po 6 marek, a najwyższa płaca, jaką ustanowiła, jako normę dla wypłacanych zapomóg, wynosi 3 marki. Sprawozdawca frankfurcki zestawił w tablicy rozmiary składek i działalności wszystkich funkcjonujących w tym mieście kas chorych. Okazało się, że kasy fabryczne, a w szczególności cechowe kasy chorych, dają sobie radę przy najmniejszych składkach. Sprawozdawca przypisuje to temu, że kasy te są bardzo „skąpe i robią trudności w dostarczaniu pomocy lekarskiej i lekarstw“. Wydawanie kuracji kąpielowych, drogich środków leczniczych, umieszczanie w zakładach dla rekonwalescentów i inne zabiegi, które działają więcej zapobiegawczo i w ostatnich czasach stosowane są często przez miejscowe kasy chorych, dla kas fabrycznych, rzecz prosta, wchodzi w rachubę tylko bardzo rzadko, albo też wcale nie wchodzi.

„Szczególniej źle odzywają się sekretarjaty robotnicze o cechowych kasach chorych... Koloński sprawozdawca nazywa je rakiem w dziedzinie ubezpieczeń od choroby i żałuje, że cieszą się one takim zaufaniem rządu... W kasach tych, które prawie wszystkie bez wyjątku odznaczają się małemi rozmiarami świadczeń dla ubezpieczonych, najgorzej również, zdaje się, odnoszą się do członków. Każda próba rozszerzenia działalności kasy trafia na zacięty opór majstrów cechowych, którzy dążą raczej do niskich wkładek, niż rozszerzenia działalności na dobro ubezpieczonych. Te niepowodzenia kas cechowych są zupełnie zrozumiałe. Krąg osób, na które rozciąga się kasa, jest zwykle zbyt mały, aby mogła ona funkcjonować z należytym skutkiem. Dalej kasy te po największej części nadały sobie taki statut, który zapewnia majstrom cechowym przeważający wpływ na zarząd kasy, robotników natomiast pozbawia praw. W ten sposób wykluczone są naprzód zdążające elementy. Z Kolonii i Hanoweru donoszą o wszelkich budujących praktykach majstrów cechowych, zapomocą których trzyma się robotników zdala od zarządu“. W wielu wypadkach starają się nawet przedsiębiorcy, szczególnie mniejsi, w rękodzielnictwie, zwalić cały koszt ubezpieczenia na robotnika, przyjmując go do zakładu tylko pod tym warunkiem, że będzie należał do wolnej kasy pomocy. W ten sposób robotnik w rzeczywistości nie tylko nie korzysta z tego dobrodziejstwa, jakim ma być obowiązkowe ubezpieczenie, ale w wielu bardzo wypadkach naraża się na jeszcze większe straty, niż gdyby nie był ubezpieczonym wcale. Starając się bowiem ubezpieczyć jak najtaniej, a zarazem jak najlepiej, staje się on częstokroć ofiarą oszukańczych przedsiębiorstw ubezpieczeniowych. Do ujemnych stron niemieckiego ubezpieczenia od choroby zaliczyć jeszcze należy sposób, w jaki załatwiane zostają konflikty między ubezpieczonemi a kasami chorych. „Tak — czytamy znów w książce Müllera — wszystkie sprawozdania skarżą się na powolne załatwianie skarg i trudności, stawiane przy prowadzeniu spraw. Dzisiaj konflikty te bywają załatwiane przez władzę administracyjną lub sądy zwyyczajne, i co odnosi się do wszystkich spraw cywilnych, to stosuje się również do spraw, wynikających z ubezpieczeń od choroby: dużo czasu upływa, zanim są one załatwiane. Budzi to tym większe wątpliwości, że tutaj właśnie rzecz najczęściej tak stoi, że najszybsze załatwienie jest nagłym nakazem“.

Jeszcze gorsze dla robotników stosunki panują w ubezpieczeniu od wypadków przy pracy. Zarząd jego oddano całkowicie zgro-

madzeniom zawodowym przedsiębiorców, wyższe sądownictwo zaś w ręce rządowej biurokracji. Dzięki temu, ta instytucja ubezpieczeniowa stać się musiała terenem ostrej walki klasowej. Rozbieżność interesów kapitału i pracy znajduje tutaj jaskrawy wyraz w ciągłych starciach między ubezpieczonymi i zarządami. Kilka faktów z tej dziedziny wystarczy najzupełniej, aby dostatecznie wykazać całą niedorzeczność tego systemu administracji. Oto jak przedstawia skutki tych stosunków w cyfrach w ostatnim dodatku statystycznym do organu Jeneralnej Komisji niemieckich związków zawodowych Umbreit.

„Ze statystyki sądowniczej okazuje się, że w obu latach 1906 i 1907 na podstawie praw o ubezpieczeniach od wypadków przy pracy wpłynęło 406 097, ewentualnie 417 957 dopuszczonych do apelacji wyroków, z tego 215 694 — 53% i 226 889 — 54% na podstawie ubezpieczeń przemysłowych. Liczba podanych do sądów, apelacji wynosiła w 1906 r. — 70 542 i 1907 — 70 957, tak, że na 100 kwalifikujących się do apelacji wyroków podano w 1906 r. — 17,37 i w 1907 — 16,98 apelacji. Wysokość wyrażającej ten stosunek cyfry zmniejsza się powoli od 1896 r. Prócz tego wniesiono w latach tych 17 160 i 21 050 podań o zmianę dotychczasowej renty, z tego w 1906 r. — 85% i w 1907 — 88% wypadków ze strony zgromadzeń zawodowych i tylko 15% (1906) i 12% (1907) ze strony ubezpieczonych. W praktykach tych, które weszły w życie od roku 1900, przejawia się jaskrawie dążenie zgromadzeń zawodowych do obniżenia renty ze szkodą dla ubezpieczonych. Liczba podanych pod rozpatrzenie sądów rozjemczych spraw wynosiła w 1906 r. — 101 958 i w 1907 — 104 947. Z tego zostało załatwionych 89 063 (1906) i 90 827 (1907)... Ze spraw, rozstrzygniętych przez wyroki sądów rozjemczych, osądzono na korzyść ubiegających się o rentę 22,7% (1906) i 23,8% (1907), na niekorzyść ich 77,3% (1906) i 76,2% (1907). Liczba przychylnych dla ubiegających się o rentę wyroków sądów rozjemczych od roku 1886 ciągle się zmniejszała, od 1898 r. do 1901 r. podniosła się ona przejściowo, ale od tego czasu spada coraz niżej. Dopiero r. 1907 przyniósł znowu nieznaczny wzrost. W odpowiednim stopniu zwiększyła się także oczywiście liczba wyroków sądów rozjemczych, niekorzystnych dla ubiegających się o rentę.

Państwowy urząd ubezpieczeniowy wydaje wyroki w kwestjach ubezpieczenia od wypadków przy pracy jako instancja apelacyjna. W dziedzinie tego ubezpieczenia było w latach 1906 i 1907 — 68 350 i 70 035 wyroków sądów rozjemczych, kwalifikujących się do apelacji, przeciw którym w 15 212 (28,73%) i 14 624 (27,99%) wypadkach wnieśli apelację ubezpieczeni. W 4 422 względnie 4 980 wypadkach wniosły apelację zgromadzenia zawodowe. Ta część apelacji od roku 1901 stale obniżająca się, znowu więc w ostatnich latach wzrosła... Z liczby apelacji, załatwionych przez wyroki państwowego urzędu ubezpieczeniowego, wydane zostało w 1906 r. — 11 821 (73,4%) i w 1907 — 11 631 (71,5%) potwierdzających orzeczenie sądów rozjemczych, a 4 291 (26,6%), względnie 4 480 (27,5%), znoszących lub zmieniających te orzeczenia. Z apelacji, wniesionych przez zgromadzenia zawodowe przedsiębiorców, osiągnęło w 1907 r. — 53% wypadków zmianę lub zniesienie wyroku, ewentualnie zwrot do sądów rozjemczych, podczas gdy apelacje, wniesione przez poszkodowanych robotników, odniosły ten skutek tylko w 20% wypadków.

Tak więc określanie rent i zmiany w rentach pchają znaczną

większość ubezpieczonych na drogę prawną aż do najwyższych instancji.

Wymowniej jeszcze jednak niż przytoczone cyfry odsłaniają krzywdy, jakie dzieją się robotnikom dzięki pozbawienia ich wpływu na zarząd instytucji ubezpieczeniowych od wypadków przy pracy, starości i niezdolności do pracy, fakty, które podaje Müller. Oto kilka z nich:

„W Gocie dwaj robotnicy, którzy przy gaszeniu wapna zupełnie oślepli, otrzymali rentę. Po 14 miesiącach oniżono ją o 25%, bo obaj zupełnie ślepi robotnicy przyzwyczaili się jakoby do swego stanu“.

„Częstokroć zdarza się nawet, że zgromadzenia zawodowe wyznaczają renty mniejsze, niż wymaga tego stopień niezdolności do pracy, jaki skonstatowali ich urzędowi lekarze. Sztutgarcki sekretarz donosi o trzech odrazu wypadkach, w których zgromadzenia zawodowe naznaczyły renty o 15, 40 i 13½% niższe, niż je zaproponowali ich zaufani lekarze“.

„Wrocławski sekretarz robotniczy stwierdza, że apelacje wymagają przeciętnie 3½ miesiąca, a kasacje 4 miesiące zanim zostaną załatwione. Inne sprawozdania podają przykłady dla zilustrowania ślimaczego ruchu skarg i spraw. Według nich nie jest wcale rzadkością, że przechodzi rok i więcej, zanim zostaje ustanowiona ostateczna renta. Tej powolności w załatwianiu spraw winne są także w dużej mierze zgromadzenia zawodowe. Zbyt późno zajmują się one wypadkami i prócz tego obciążają sądy rozjemcze i państwowy urząd ubezpieczeniowy w nienależyty sposób, bo według zgodnych sprawozdań wiele zgromadzeń zawodowych hołduje praktyce puszczania w ruch wszystkich instancji, aby uzyskać najnieznaczniejsze choćby zmiany renty. Skutkiem takiej taktyki mogą zachodzić wypadki w rodzaju tego, o którym donosi bremeński sekretariat robotniczy: „aby uzyskać rentę 6 marek 15 fen. miesięcznie musiał pewien poszwankowany robotnik prawować się 2½ roku“. „Jeżeli nie może być zaprzeczonym, że wypadek podlega odszkodowaniu, zaczyna się walka o wysokość renty. To, że zgromadzenia zawodowe starają się wykażać możliwie dużą zdolność poszwankowanego do pracy, podczas gdy ten stara się dowieść przeciwnego, sprawia, że częstokroć niema końca sporów i reklamacji. „Strony stają przeciw sobie jak pies z kotem: każda stara się wywalczyć cośkolwiek od drugiej“, tak charakteryzuje dortmundzkie sprawozdanie stosunek między poszwankowanymi i zgromadzeniami zawodowymi“.

Fakty tego rodzaju bynajmniej nie są wypadkami pojedynczemi, lecz charakteryzują ogólną tendencję niemieckich zgromadzeń zawodowych, w rękach których spoczywa całkowity zarząd ubezpieczeń od wypadków przy pracy. Tendencje te sztutgarcki sekretariat robotniczy charakteryzuje w następujący sposób: „Jeżeli będzie tak szło dalej, to są widoki, że w bardzo niedalekiej przyszłości wogóle nie będzie wypadków, podlegających odszkodowaniu“. Müller zaś dodaje: „Najniższa skala odszkodowania — oto motto działalności syndykatów zawodowych i zdaje się, że znajduje ono wyrozumiałe poparcie u sądów rozjemczych i wyższych instancji“.

A przytym wszystkim dziwną zaiste logiką kierowali się twórcy niemieckiego prawodawstwa o ubezpieczeniach robotniczych. Z ich punktu widzenia chory lub niezdolny do pracy potrzebuje na życie mniej, niż zdrowy i zdolny do pracy. Ze przeciwnie robotnik chory

lub kaleka potrzebuje więcej, niż w warunkach normalnych, o tym kapitał i jego poplecznicy rządowi wiedzieć nie chcą. Choremu robotnikowi i rodzinie jego wystarcza najzupełniej, podług nich, połowa jego dotychczasowego zarobku; pozbawiony zupełnie możliwości zarabkowania przez wypadek przy pracy otrzymać może najwyżej $\frac{2}{3}$, w mniej zaś ciężkich wypadkach jeszcze nawet szczuplejszą część dotychczasowego zarobku. A niedość tego, że koszta ubezpieczeń od choroby w $\frac{2}{3}$ części zwalono na barki robotników; postarano się i o to, aby w sposób na pierwszy rzut oka niedostrzegalny dla robotników znaczna część kosztów, wymaganych przez ubezpieczenia od wypadków przy pracy pokrywaną była przez nich samych.

Koszta ubezpieczeń od wypadków przy pracy ponoszą całkowicie, jak twierdzi prawo, przedsiębiorcy. Jak twierdzi prawo, bo koszta leczenia w ciągu pierwszych 13 tygodni po wypadku ponoszą kasy chorych, czyli również i robotnicy.

Należy bowiem zwrócić uwagę na tę okoliczność, że olbrzymi procent wypadków przy pracy jest tego rodzaju, że szwankowi zaradzonemu być może w ciągu terminu leczenia, obowiązującego w razie wypadku przy pracy kasy chorych. Leczenie chronicznych chorób zawodowych również spada na kasy chorych, a nie ulega przecieź kwestji, że koszta ich powinny ponosić zgromadzenia zawodowe przedsiębiorców. Nie trudno wyobrazić sobie jak wielkie koszta spadają z tej racji na robotników zamiast na przedsiębiorców i jak wielką jest niesprawiedliwość, jaką czyni odnośne prawo robotnikom, wykluczając ich od zarządu ubezpieczeń od wypadków przy pracy, na tej li tylko — fikcyjnej — zasadzie, że koszta tych ubezpieczeń ponosić mają wyłącznie przedsiębiorcy.

W rzeczywistości jednak część kosztów, która przypada na robotników, jest jeszcze o wiele większą, niż normy te wykazują. Przedsiębiorcy bowiem nie tylko usiłują zmniejszyć wydatki, któremi obciążają ich ubezpieczenia robotnicze, przez wszelkiego rodzaju „oszczędności“ w wydawaniu odszkodowań, lecz również zwalają bezpośrednio, o ile się tylko da, należne od nich składki na robotników, bądź wliczając je w koszta produkcji, bądź też wprost obniżając płace zarobkowe. Jak twierdzi Umbreit, statystyka niemieckich zgromadzeń zawodowych przedsiębiorców wykazuje w latach 1890—1895 znaczne obniżenie płac zarobkowych.

III.

Tak wygląda zbliżka owe wielkie dzieło reformy społecznej, które miało położyć kres walce klasowej, a zarazem i zwycięskiemu pochodowi Socjaldemokracji niemieckiej i, zabezpieczwszy porządek i ustrój państwowy burżuazji, zabezpieczyć kapitałowi nieograniczony wyzysk fizycznych i duchowych sił proletariatu. Rosyjskie ubezpieczenia robotnicze, jak zapowiada prasa oficjalna, mają być lepsze od niemieckich. Rzecz jasna. Spełnić one mają zadanie swoje w sytuacji o wiele trudniejszej, niż ubezpieczenia niemieckie. Czy uda im się — to jeszcze kwestja. Ale co jest pewne, to fakt, że cel swój rząd Stołypina osiągnąć chce jeszcze tańszym kosztem, niż rząd Bismarka. Rosyjski projekt nie tylko zapewnia robotnikowi wszystkie te krzywdy, które, jak widzieliśmy wyżej, wyrządza mu niemieckie prawo ubezpieczeniowe, ale zwiększa je jeszcze. To bowiem, co obiecuje rząd rosyjski w swoich ubezpieczeniach robot-

nicych, bynajmniej nie dorównywa rozmiarom ubezpieczeń niemieckich.

Tak robotnicy rolni i leśni, robotnicy zajęci w handlu i rzemiośle, budowlani, remontowi, w całym przemyśle przewozowym, personel telefonowy, dalej stale zatrudnieni i zarabiający poniżej 920 rb. rocznie urzędnicy zakładów przemysłowych, majstrowie, technicy, handlowcy, uczniowie handlowi, kanceliści adwokatów, notariuszów i komorników, urzędnicy kas chorych, zgromadzeń zawodowych przedsiębiorców i towarzystw ubezpieczeń — wszystkie te kategorie, które w Niemczech podlegają obowiązkowemu ubezpieczeniu od choroby, nie są uwzględnione przez projekt rosyjski. Następnie, kiedy w Niemczech za robotnika czasowego, podlegającego obowiązkowemu ubezpieczeniu, uważany jest robotnik, pracujący bez przerwy nie mniej niż tydzień, projekt rosyjski wymaga dwóch tygodni pracy bez przerwy.

A teraz najważniejsza i najgorsza strona przyszłego prawa rosyjskiego o ubezpieczeniach od choroby. Projekt rosyjski odbiera kasom chorych najważniejszą stronę ich działalności — leczenie, zastawiając im jedynie funkcje zapomogowe; obowiązek zaś leczenia składa całkowicie na przedsiębiorców. Na pierwszy rzut oka jest to więcej, niż daje robotnikom prawo niemieckie, ale oto jak w rzeczywistości ma wyglądać to dobrodziejstwo: „Przedsiębiorcy obowiązani są zabezpieczyć robotnikom leczenie w tym stopniu, w jakim zabezpieczone ma je reszta ludności“ (Russkija Wiedomosti). O tym, jak zabezpieczona jest w razie choroby „ludność“ państwa rosyjskiego, mówić chyba zbyt wiele. Robotnik rosyjski nie tylko więc pozbawiony będzie tych dobrodziejstw, z jakich korzystają robotnicy niemieccy w miejscowych kasach chorych, w których $\frac{2}{3}$ zarządu spoczywa w ich rękach, ale i tego przez ścisłą normę i kontrolę robotników zapewnionego minimum opieki leczniczej, jaką dostarczają robotnikom niemieckim poddane przez nas wyżej krytyce niemieckie fabryczne, cechowe i gminne kasy chorych. Niemieckie prawo ubezpieczenia dopuszcza leczenie w szpitalach tylko w razach wyjątkowych. U nas ma to być regułą. Ale to jeszcze nie najgorsze. Bo chociaż szpitalnictwo nasze pozostawia bardzo wiele do życzenia, w każdym jednak razie dawałoby ono więcej niż prywatne szpitale przedsiębiorców, które przewiduje projekt rosyjski dla miejscowości, gdzie brak szpitali publicznych.

Pobieżny choćby rzut oka nawet przez szkła rosyjskiej inspekcji fabrycznej na stosunki, jakie panują w dzisiejszych szpitalach fabrycznych, utrzymywanych przez przedsiębiorców, wystarczy, aby upewnić się, że pomoc lekarska, którą obiecuje robotnikom projekt rządowy, będzie zazwyczaj fikcyjną. W gruncie więc rzeczy robotnik nasz częstokroć pozbawiony będzie w razie choroby jakkolwiek skutecznej pomocy lekarskiej i środków leczniczych.

Taksamo rosyjski projekt ubezpieczeń od wypadków przy pracy nie rozciąga się na wszystkie te kategorie robotnicze, co w Niemczech. Podczas kiedy w Niemczech omawiana kategoria ubezpieczeń obejmuje obowiązkowo wszystkich bez wyjątku robotników, bez względu na wysokość ich zarobku, oraz urzędników w przedsiębiorstwach przemysłowych, majstrów i techników, o ile ich zarobek roczny nie przekracza 1400 rubli, projekt rosyjski obejmuje tylko zarabiających nie więcej, niż 1500 rubli rocznie robotników fabrycznych, górników, hutników, kolejarzy, osoby pracujące w żegludze wewnętrz-

nej, tramwajarzy – i to tylko w Rosji europejskiej i dwóch guberniach kaukaskich (Bakińskiej i Tyfliskiej); ale i ten krąg robotników ubezpieczonych ogranicza jeszcze w porównaniu z prawem niemieckim projekt rosyjski w ten sposób, że, podczas kiedy prawo niemieckie uważa za fabrykę wszystkie zakłady przemysłowe, poruszane siłą wiatru, pary, wody, elektryczności i t. d. oraz wszystkie inne, zatrudniające więcej, niż 10 robotników – prawo rosyjskie uważa za fabrykę te tylko zakłady poruszane siłą pary, wody i t. d., które zatrudniają nie mniej niż 10 robotników, oraz przedsiębiorstwa sił tych nie posiadające w tym tylko wypadku, jeśli zatrudniają co najmniej 25 robotników.

Co jednak czyni całe rosyjskie prawo ubezpieczeń od wypadków przy pracy iluzorycznym, to sposób, w jaki załatwiane być mają kwestje sporne między towarzystwami ubezpieczeń przedsiębiorców (takie miano nosić mają instytucje, które w niemieckim ubezpieczeniu figurują jako „z gromadzenia zawodowe“ przedsiębiorców) a robotnikami. Rosyjski bowiem projekt nie przewiduje dla spraw, wynikających z pretensji robotników o odszkodowanie, specjalnych bezpłatnych sądów we wszystkich instancjach, jak w Niemczech, lecz kieruje je już w drugiej instancji na zwykłą drogę sądową. W ten sposób nie zmienia się nic z dawnego prawa tak zwanej odpowiedzialności przedsiębiorców i robotnik znowu zmuszonym będzie włożyć się po sądach, o ile wogóle stać go na to będzie, lub zgodzić się na każde najmarniejsze nawet odszkodowanie.

Wienczy jednak całe dzieło rządowego projektu ubezpieczeń robotniczych system, podług jakiego mają być zarządzane instytucje ubezpieczeniowe.

W Niemczech kasy chorych nie podlegają żadnej innej kontroli, prócz ze strony władzy gminnej, a zgromadzenia zawodowe przedsiębiorców – kontroli państwowego urzędu ubezpieczeniowego, składającego się z prezydenta, dwóch dyrektorów, 22 przewodniczących senatu, 33 innych stałych członków, a prócz tego 10 wyższych pomocników komisarjalnych oraz 80 asesorów sądowych i pomocników sesorów, przyczym Rada Rzeszy reprezentowana jest przez 6, przedsiębiorcy i ubezpieczeni przez 106 delegatów. Jako najwyższa władza zarządzająca ma państwowy urząd ubezpieczeniowy nadzór nad zgromadzeniami zawodowymi przedsiębiorców: nad kontrolowaniem i zatwierdzaniem ustaw, nad prowadzeniem interesów, nad taryfami ubezpieczeń, nad wydawaniem rozporządzeń ochronnych od wypadków, nad finansami i t. d. Jako najwyższa władza sądowa wydaje wyroki w spornych kwestjach administracji, przeważnie jednak działa jako instancja apelacyjna. W końcu ma on prawo do wydawania rozporządzeń wykonawczych. Wyroki państwowego urzędu ubezpieczeniowego przy apelacjach i innych kwestjach prawnych wydają senaty, składające się z 7 członków (przewodniczącego, wybranego przez Radę Rzeszy, 1 członka stałego, 2 asesorów sądowych, 1 przedstawiciela przedsiębiorców i 1 przedstawiciela robotników).

Rosyjski projekt przewiduje także główny zarząd ubezpieczeniowy – o składzie jego nie mamy jednak jeszcze żadnych danych. Ale kwestja tej instytucji jest tak samo obojętną, jak przesądzoną wobec tego, że samo urzeczywistnienie reform ubezpieczeniowych i rzeczywisty nadzór nad niemi wkłada projekt na specjalne urzędy ubezpieczeniowe. Kontroli tych urzędów podlegać mają także kasy chorych, w skład zaś tych urzędów wchodzić mają: przedstawiciel

ministerjum handlu i przemysłu, członkowie inspekcji fabrycznej lub górniczej, ministerjum finansów, ministerjum spraw wewnętrznych, nadzoru prokuratorskiego i 6 członków z wyboru. Ziemstwa gubernjalne i rady miejskie wybierają do urzędu po jednym przedstawicielu, właściciele zakładów przemysłowych — dwóch i robotnicy — dwóch. Liczba członów naznaczanych może być zwiększoną do 6 przez jednoczesne naznaczenie inspektora górniczego i fabrycznego. Przewodniczącego wybierają członkowie urzędów.

Ale i ten projekt jest jeszcze zbyt liberalny dla ministerjum spraw wewnętrznych. Według informacji „Rieczy“ przedstawiciel tego ministerjum Charłamow na posiedzeniu komisji międzywydziałowej, zajmującej się sprawą ubezpieczeń robotniczych, z 12 maja „nalegał, aby do ministerjum spraw wewnętrznych należała kierująca rola w urzędach ubezpieczeniowych. Przewodnictwo w urzędach ma być oddane gubernatorowi lub specjalnej do tego upoważnionej osobie. Prócz tego administracji gubernjalnej musi być, zdaniem Charłamowa, pozostawione prawo zatwierdzania lub odrzucania członków urzędów z wyboru“.

Ale nie dość na tym. Na jednym z następnych posiedzeń redaktor „Rossii“ Gurland wystąpił w imieniu ministerjum spraw wewnętrznych z jeszcze lepszym projektem składu urzędów ubezpieczeniowych. Jego zdaniem, w poczet członków urzędów wchodzić powinni: gubernator jako przewodniczący i jako członkowie: wicegubernator, naczelnik żandarmerji, prokurator, starszy i młodszy inspektor fabryczny, zarządzający izbą skarbową, jeden członek od gubernjalnego zarządu ziemskiego, jeden od rady miejskiej i po dwóch od przedsiębiorców i robotników. Kierownictwo zakładem powinno być pod władzą inspektoratu fabrycznego, działalność zaś administracyjna i sądowicza należeć powinna do rad gubernjalnych.

Nie stanowi żadnej różnicy, który z tych projektów zostanie ostatecznie przyjęty: z obu ich wyraźnie widać, w czyim ręku znajdować się będą sprawy robotnicze.

Wyobraźmy sobie teraz w o ile większym stopniu przejawia się u nas te wszystkie złe strony niemieckich ubezpieczeń, które wykazaliśmy już wyżej. Kto stanie u nas w obronie robotnika? Nie posiadamy przecież nawet prawnie zabezpieczonych w swym istnieniu związków zawodowych ani sekretarjatów robotniczych, w których mogliby robotnicy korzystać z bezpłatnej porady prawnej, jak to się dzieje na Zachodzie. Zresztą, co pomogłyby nawet związki zawodowe i sekretarjaty robotnicze wobec złodziejstw i łapownictwa wszystkich władz dzisiejszego rządu rosyjskiego od najniższych do najwyższych. Przecież po to właśnie usuwa rząd robotników od wpływowej kontroli nad instytucjami ubezpieczeniowymi, aby zamiast instytucji dla poprawy bytu robotniczego zrobić z nich urzędy dla wynagradzania i hodowli wszelkiego rodzaju zdrajców sprawy robotniczej. Rząd bynajmniej nie ukrywa przed proletariatem tych swoich zamiarów i z całą bezczelnością odsłania motywy, które zmuszają go do nalegania na to, by przeważający wpływ w instytucjach ubezpieczeniowych miały organy ministerjum spraw wewnętrznych. „Organizacje ubezpieczeniowe z udziałem przedstawicieli od robotników — oświadczył, według informacji „Rieczy“, na jednym z posiedzeń komisji do spraw ubezpieczeniowych Charłamow — bez wątpienia staną się odpowiednim gruntem dla propagandy i rychło staną się ogniskami kramoły“.

Dopóki istnieć będzie ten rząd i jego system, proletarjat nie ma czego się spodziewać dla polepszenia swego bytu. Ubezpieczenia robotnicze nie tylko w tych rozmiarach, w jakich zapowiada je projekt rządowy, ale nawet w rozmiarach, odpowiadających naszym żądanom, pozostaną iluzorycznymi, jak iluzoryczne są obecnie wolność stowarzyszeń, słowa i prasy, o ile cały aparat państwowy nie ulegnie radykalnej zmianie w duchu demokratycznym. Socjaldemokracja żąda, aby ubezpieczenia robotnicze rozciągały się na wszystkich bez wyjątku robotników, aby koszta ich były pokrywane przez całe społeczeństwo drogą postępowego podatku, aby zarząd instytucjami ubezpieczeniowymi spoczywał całkowicie w rękach ubezpieczonych i by rozmiary ubezpieczenia zapewniały niezdolnemu do pracy i jego rodzinie wystarczające środki utrzymania i leczenia, aby wreszcie zapewniły byt wdowom i sierotom. Wymaga to jednak całkiem innego poziomu ochrony i inspekcji robotniczej, higieny społecznej i oświaty ludowej oraz odpowiedzialności przedsiębiorców. Socjaldemokracji, przedstawicielce interesów proletariatu, chodzi bowiem nie tylko o zapewnienie bytu ofiarom wyzysku kapitalistycznego, ale również o zapobieżenie o ile możności chorobie i kalectwu wogóle. Przeprowadzić to może, rzecz prosta, tylko prawdziwa demokracja. „Zanim słońce wszędzie, rosa oczy wyje“. Zanim proletarjat państwa rosyjskiego rzeczywiście korzystać zacznie z dobrodziejstw państwowych ubezpieczeń, dziesiątki i setki tysięcy robotników cierpieć będą nędzę nie tylko w razie choroby, kalectwa lub starości, ale w pełni i kwiecie życia fizycznie i duchowo marnieć będą przy nędznych zarobkach lub przy zupełnym ich braku.

Wogóle nie należy przypisywać ubezpieczeniom robotniczym tej zbawiennej działalności, która olśniewa filantropijne serca kapitalistycznych wyzyskiwaczy. Dwadzieścia z górą lat działalności niemieckich praw ubezpieczeniowych wykazało, że związki zawodowe pomagają robotnikom wywalczyć sobie wiele więcej, niż dają im wszystkie ubezpieczenia razem wzięte. Ale również istnienie obu tych instytucji — i związków zawodowych i ubezpieczeń robotniczych — nie jest samo przez się w stanie podnieść trwałe byt proletariatu. Dla osiągnięcia tego celu musi on działać również jako potęga polityczna. Proletarjat państwa rosyjskiego nigdy nie doczekałby się nawet tego mizernego projektu ubezpieczeń robotniczych, gdyby nie jego wystąpienia polityczne. Przyznał to sam rząd, kiedy na jednym z posiedzeń komisji, zajmującej się temi sprawami, oświadczył: „Lepsze zabezpieczenie robotników w zakładach rządowych prowadziło tylko do tego, że w chwilach najwyższego napięcia ruchu robotniczego przedsiębiorstwa rządowe funkcjonowały spokojnie“. Jeszcze wyraźniej podkreślił to przedstawiciel przemysłowców petersburskiego okręgu Trypolitow, który, według słów „Russkich Wiedomostiej“, wskazywał na to, że cały ten pomysł jest nie na czasie; robotnicy uspokoiłi się i nie prędko powstaną; zbytecznym jest póbłażać im teraz wszelkiego rodzaju zabezpieczeniami i ubezpieczeniami“.

Niedwuznaczne słowa te zarówno przedstawiciela rządu, jak i szczerego obrońcy mamony zrywają odrazu z oblicza tej reformy społecznej jej obłudną maskę, świadcząc wręcz i kategorycznie, że kapitał, przykładając rękę do szularki politycznej rządu, użyje wszelkich środków, by nawet te nędzne ustępstwa zostały na papierze, że zaś pod tym względem nie napotka na opór ze strony rządu z góry przewidzieć można. Rządowi kontrrewolucji chodzi przecież nietylko

o skuteczne ubezpieczenie robotników, ile o zademonstrowanie przed proletariatem swej życzliwości. Tak więc i w tym wypadku dalsze losy „reformy“ zależą od akcji proletariatu.

Kongres niemieckich związków zawodowych.

Napisał J. Jäckel.

(Napisane dla Przeglądu Socjaldemokratycznego.)

W Hamburgu, w starej twierdzy Socjaldemokracji, obradował od 22 do 27 czerwca VI Kongres niemieckich „wolnych“ związków zawodowych. W większym stopniu, aniżeli którykolwiek z poprzednich, był on świadectwem wzrostu wewnętrznej siły i zwartości organizacji zawodowej. Niemiecki ruch zawodowy stał się potęgą, której nie mogą ignorować ani rząd ani partje polityczne. W czterdziestoletniej uporczywej pracy, przerywanej często wewnętrznymi rozterkami, ciągle prześladowani przez władze klasowego państwa, zdobyli sobie niemieccy robotnicy jedno z pierwszych miejsc w międzynarodowym ruchu zawodowym. Z słuszną dumą mógł przewodniczący Jeneralnej Komisji związków zawodowych, tow. Legien oświadczyć w swym sprawozdaniu, przedłożonym kongresowi, że niemieckie związki zawodowe doszły do takich rozmiarów i siły, iż niesposób już zniszczyć je lub nawet powstrzymać ich działalność. Z 277 659 w 1891 r. wzrosła liczba członków organizacji w r. 1907 do 1 865 506. W tym samym stopniu polepszył się stan kasy. W r. 1891 ogólne dochody wszystkich związków wyniosły 1 116 588 marek, rozchody 1 606 534. Kapitał rezerwowy stanowiło 425 845 marek. Natomiast w r. 1907 wynosiły dochody 51 396 784 marek, rozchody 43 122 519 marek, pozostałość w kasach 33 242 545 marek. Poniższa tabelka uwidoczni stały rozwój scentralizowanych związków zawodowych (patrz str. 433).

Równoległe do tego zewnętrznego wzrostu związków zawodowych dokonywała się konsolidacja ich wewnętrznej administracji. Biuro Komisji Jeneralnej wraz z centralnym sekretarjatem robotniczym, sekretarjatem robotniczym i redakcją Korrespondenzblatt'u (organu Jeneralnej Komisji) zatrudnia 10 urzędników i 3 siły pomocnicze. Do tego należy doliczyć redakcje pism, wydawanych w obcych językach: L'Operaio Italiano, wychodzącego w Hamburgu i Oświaty, wychodzącej w Poznaniu, oraz 8 sekretarzy, pracujących w rozmaitych częściach Niemiec, a podlegających Komisji Jeneralnej. Oprócz tego zatrudniają poszczególne organizacje setki osób, jako płatnych urzędników, a nadto w 96 większych miastach pracują w sekretarjatach płatni urzędnicy, których zadaniem jest obrona prawnych interesów robotników. Jak wielką jest liczba osób, zatrudnionych przez związki zawodowe, staje się widocznym z faktu, że do „Zapomogowego zjednoczenia osób, czynnych w ruchu robotniczym“ należało 1039 urzędników związkowych i 105 sekretarzy robotniczych. Rozwój ten oczywiście nie jest bynajmniej zakończony,

Rok	Scentralizow. związki	Przeciętna liczba członków		Liczba związków	Dochody w markach	Liczba związków	Rozchody w markach	Stan kas scentra- lizowanych związków w markach
		ogółem	kobiet					
1891	62	277 659	—	49	1 116 588	47	1 606 534	425 845
1892	56	237 094	4 355	46	2 031 922	50	1 786 271	646 415
1893	51	223 530	5 384	44	2 246 366	44	2 036 025	800 579
1894	54	246 494	5 251	41	2 685 564	44	2 135 606	1 319 295
1895	53	259 175	6 697	47	3 036 803	48	2 488 015	1 640 437
1896	51	329 230	15 265	49	3 616 444	50	3 423 713	2 323 678
1897	56	412 359	14 644	51	4 083 696	52	3 542 807	2 951 425
1898	57	493 742	13 481	57	5 508 667	57	4 279 726	4 373 313
1899	55	580 473	19 280	55	7 687 154	55	6 450 876	5 577 547
1900	58	680 427	22 844	58	9 454 075	58	8 088 021	7 745 902
1901	57	677 510	23 699	56	9 722 720	56	8 967 168	8 798 333
1902	60	733 206	28 218	60	11 097 744	60	10 005 528	10 253 559
1903	63	887 698	40 666	63	16 419 991	63	13 724 336	12 973 726
1904	63	1 052 108	48 604	63	20 190 630	63	17 738 756	16 109 903
1905	64	1 344 803	74 411	64	27 812 257	64	25 024 234	19 635 850
1906	66	1 689 709	118 908	66	41 602 939	66	36 963 413	25 312 634
1907	61	1 865 506	136 929	63	51 396 784	63	43 122 519	33 242 545

nie należy się też spodziewać w nim zastoju. Przeciwnie: ruch zawodowy w następnych latach dalej się będzie rozwijał, aczkolwiek ostry kryzys, który się rozpoczął w drugiej połowie 1907 r. i obecnie trwa z niezminiejszą siłą, nada temu rozwojowi tempo powolniejsze.

Pod panowaniem kapitalistycznego sposobu wytwarzania zawodowy ruch proletariatu jest koniecznością historyczną. Jako czynniki, które szczególnie wpłynęły u nas na jego rozwój należy wymienić przede wszystkim wzmoczenie się i taktykę związków przedsiębiorców od roku 1903 oraz lichwiarską politykę cłową, zainaugurowaną przez klasy posiadające i coraz bardziej obniżającą poziom życiowy mas: wszystko to zmuszało klasę robotniczą do przeciwdziałania — do walki ekonomicznej. Organizacje zawodowe stają przytym przed coraz to nowymi zadaniami, wyrastającymi z praktyki związkowej. Podczas gdy przed 10 laty akcja ich ograniczała się do prowadzenia strejków i niedostatecznie uregulowanej działalności zapomogowej w wypadkach nadzwyczajnej potrzeby, obecnie związki muszą poświęcać swoją uwagę bardzo skomplikowanym urządzeniom zapomogowym oraz szerokiej dziedzinie ustawodawstwa społecznego. Z 61 związków, przyłączonych do Jeneralnej Komisji, 40 wypłaca zapomogi bezrobotnym, 48 — zapomogi chorym, 47 — zapomogi rodzinom swych zmarłych członków, 6 — zapomogi inwalidom, 46 — zapomogi na podróż. Według sprawozdania Jeneralnej Komisji wypłacono członkom w roku 1907 następujące sumy: zapomóg strejkującym 13 196 363, bojkotowanym za agitację robotnikom 1 010 045, na obronę prawną 346 773, podróżnym 869 148, bezrobotnym 6 527 577,

chorym 3 482 822, inwalidom 384 562, zmieniającym miejsce pobytu i w wypadkach śmierci oraz nadzwyczajnej potrzeby 1 385 808; na instytucje pośredniczenia w wyszukiwaniu pracy wydano 52 837 marek. Agitacja kosztowała 2 271 271 marek, na cele zaś oświatowe oraz organy związków wydano 2 259 490 marek. A oto kilka danych o strejkach i lokautach: organizacje, które się przyłączyły do Jeneralnej Komisji związkowej, przeprowadziły od 1890 do 1905 r. 11 370 strejków i lokautów przy 1 401 283 uczestników; w odnośnych grupach zawodowych pracowało w r. 1895 — 5 861 606 osób, czyli że liczba biorących udział w strejkach i pozbawionych pracy przez lokauty wynosiła 23,92% ogółu. Dopiero w r. 1905 po raz pierwszy zrobione zostało ogólne zestawienie co do wyników strejków i lokautów. W roku tym było 5 659 zatargów, w których związki walczyły o poprawę bytu robotników. Z liczby tej w 2 604 wypadkach doszło do strejku lub lokautu. 1 296 strejków skończyło się przytym zupełnym i 593 częściowym zwycięstwem, 552 strejków przegrano i w 118 wypadkach wynik pozostał nieznanym. Z reszty zatargów zakończono na drodze pokojowej z dobrym skutkiem dla robotników 2 886, w 101 zaś wypadkach cofnięto żądania. Przez te wystąpienia i walki osiągnięto w r. 1905 dla 186 363 osób skrócenie czasu pracy w sumie o 696 259 godzin tygodniowo, a dla 426 687 osób tygodniową podwyżkę płacy w wysokości 885 311 marek; zawarto 1 507 umów zbiorowych, obejmujących 257 791 uczestników. Do tego należy doliczyć cały szereg innych zdobyczy: podwyższenie płacy za pracę w godzinach nadzwyczajnych oraz za pracę nocną i niedzielną, lepsze regulaminy fabryczne i t. d. Zapomogi strejkowe, wypłacone w wymienionym roku, wynosiły 10 999 113 marek. Jeszcze większe są zdobycze roku 1906 i 1907. Mimo to wszystko nie udało się jednak, jak to zupełnie słusznie zaznaczył Legien w swym sprawozdaniu na kongresie, powetować na tej drodze straty robotników, powstałe wskutek wzrostu cen środków spożywczych, spowodowanego przez podwyższenie ceł. Przytoczone cyfry czynią bez wątpienia zrozumiałym, że klasowo uświadomieni robotnicy ze słuszną dumą spoglądają na dokonaną przez związki zawodowe pracę, a zarazem uwidoczniają, jak śmieszną jest nadzieja rządów niemieckich i podżegaczy w obozie kapitalistów powstrzymania zapomocą rozmaitych środków parcia klasy robotniczej naprzód. Związki przy pomocy Socjaldemokracji, uznanej i jedynej politycznej przedstawicielki klasy robotniczej, będą zwalczały i piętnowały zamachy swych przeciwników, partja i związki będą czyniły to z tym spokojem duszy, jaki cechuje silnych, pewnych swego ostatecznego zwycięstwa.

Ta wiara w zwycięstwo znalazła swój wyraz i na kongresie podczas obrad nad ogólnopaństwowym prawem o stowarzyszeniach, uchwalonym przez zjednoczoną większość parlamentu Rzeszy oraz nad projektem ustawy o regulacji prawnego stanowiska związków zawodowych. Podobnie jak wykazał kongres, że usiłowania rządów i ich zakulisowych podżegaczy i popleczników idą na marne, tak też z drugiej strony przebieg jego rozczerował znów rzeczywistych i fałszywych naszych przyjaciół w obozie „ideologów“ burżuazyjnych.

Nadzieje ich i spekulacje na rozterkę pomiędzy związkami a partją wykazały się jako złudne. Jak dawniej, tak i teraz związki zawodowe za swą polityczną przedstawicielkę uznają wyłącznie Socjaldemokrację, jak dawniej, tak i teraz ruchowi zawodowemu przyświeca cel ten sam, co politycznemu ruchowi klasy robotniczej, jak dawniej, tak i teraz „panuje jedność między związkami i partją”. Ze wszystkich przemówień brzmiało stanowcze pragnienie jak najściślejszego współpracownictwa związków z partją i kilkakrotnie stwierdzano, jak uczyniło to już sprawozdanie Jeneralnej Komisji, że od kongresu partyjnego w Manheim nic nie zakłóciło harmonijnego współdziałania obu wielkich skrzydeł ruchu robotniczego. Nie chcę powiedzieć przez to, że w niemieckim ruchu zawodowym nie istnieją rozmaite prądy; istnieją one i niejednokrotnie uwidoczniły się w nim różnice w zapatrywaniach zarówno na stosunek do Socjaldemokracji jak i na kwestje, dotyczące bezpośrednio polityki i organizacji związkowej.

Dążności do zupełnego oddzielenia związków od partji uwarunkowane są przez swoistość rozwoju niemieckiego ruchu zawodowego, co dotyczy też jego burżuazyjnych odłamów, a nadto wynikają z samej praktyki ruchu zawodowego. Kwestja neutralności zajmowała ustawicznie część związków. Istnieje u nas, jak wiadomo, kierunek, który domaga się zupełnej neutralności wobec wszystkich partji politycznych, nie wykluczając Socjaldemokracji. Znajdują się nawet związkowcy — w związku drukarskim — odnoszący się wrogo do tej ostatniej i właśnie to stanowisko kierowników związku drukarskiego bez wątpienia znacznie przyczyniło się do zaostrenia sporu pomiędzy partją a związkami. Z drugiej strony znajdują się towarzysze partyjni, przeciwni rzeczywistej samodzielności związków, którzyby chcieli zamienić je na część partji. Pierwsi obawiają się, że związki utracą na swej sile przyciągającej, jeżeli będą się opierały na określonej partji, drudzy obawiają się, że samodzielność związków zawodowych spowoduje skostnienie, jakiemu uległy angielskie trade-uniony, oraz, że odbije się to ujemnie na politycznym ruchu robotniczym, t. j. na partji.

Nie ulega wątpliwości, że wązko-związkowa robota może w szeregach związkowców doprowadzić do przecenienia jej znaczenia, do niedoceniańia polityki Socjaldemokracji, do uznania oportunistycznej polityki burżuazyjnej. Punktem wyjścia ruchu robotniczego jest protest przeciw kapitalistycznemu systemowi produkcji, celem — usunięcie tego systemu. W początkach ruchu protest ten wyraża się w burzliwych walkach z przedsiębiorcami, w niszczeniu maszyn i t. p. Polityczna i zawodowa organizacja proletariatu zamienia go w walkę zorganizowaną. Dalszy rozwój obu tych organizacji czyni niezbędnym pewien podział pracy. Ruch zawodowy z jego niezliczoną ilością kwestji ważniejszych i mniej ważnych, wciąż na nowo nasuwających się kierownikom, wymaga pracowników, których polem działalności jest przeważnie sfera stosunków zawodowych. Kto musi się zająć sprawami jednego zawodu, kwestjami praktyki, kto musi badać, czy należy przyjąć ustępstwa przedsiębiorców czy nie, czy należy się zgodzić na skrócenie czasu pracy o $\frac{1}{2}$ godziny, choć robotnicy domagali się skrócenia o godzinę, czy też da się uzyskać więcej, jakie

kroki w tym celu należy poczynić, czy podwyżkę płacy od 10—20 fenigów uważać za chwilowo wystarczającą, czy w takiej a takiej fabryce w takiej a takiej miejscowości skargi robotników są słuszne, czy obliczenia robotników, odnośnie do pracy za pewną pracę dodatkową lub przy wprowadzeniu nowych wyrobów są racjonalne, czy żądania robotników znajdują się mniej więcej w odpowiednim stosunku do płac, przyjętych w danym zawodzie, czy określony rodzaj towaru należy podciągnąć pod tę czy ową z setek rubryk taryfy płac, zbudowanej według rodzajów towarów, jakiej taktyki, a często jakiej sztuczki należy użyć, by skłonić fabrykanta do uznania fabrycznego wydziału robotniczego, lub w innym wypadku — w jaki sposób możnaby wydział ten uczynić organem związku, — kto dzień w dzień musi zajmować się tysiącami takich spraw praktycznych, ten w pewnych warunkach może utracić zrozumienie walki politycznej i celu walki klasowej proletariatu. Ale warunków takich brak obecnie w Niemczech najzupełniej. Posiadamy silną partję socjaldemokratyczną, opierającą się na teorii naukowej marxizmu, a kierownicy związków są z nielicznymi wyjątkami zwolennikami tej partji. Pograżeniu związków zawodowych w bagno oportunistu przeciwdziała partja, stojąca mocno na swej podstawie teoretycznej.

Natomiast angielskie związki ani znały jeszcze socjalizm naukowy ani miały u swego boku partję wyznającą tę teorię. Dla tego też historia angielskich związków zawodowych nie może powtórzyć się w Niemczech i wykluczona jest również u nas absolutna bezpartyjność związków. Powstanie jej utrudnia sam fakt istnienia unji osobistej między obu skrzydłami ruchu robotniczego. W niemieckich związkach zawodowych zawsze będzie żył duch socjaldemokratyczny i robotnicy socjaldemokratyczni będą zawsze stanowili kręgosłup związków. Socjaldemokracja zaś w przyszłych stanowczych walkach tylko wówczas zdoła odnieść zwycięstwo, gdy będzie miała poza sobą bataljony robotnicze, które przeszły szkołę ruchu zawodowego. Wyznać należy, co prawda, że dyscyplina związkowa mas robotniczych nie stoi jak najlepiej, gdyż w wielu wypadkach robotnicy spodziewają się uzyskać wszystko przy pomocy związków zawodowych, nie uwzględniają należycie stanowiska i siły przeciwnika i innych okoliczności i nie zważają na przestrogi kierowników. Wynikiem tego są silne walki wewnętrzne w poszczególnych związkach. Stworzenie rzeczywistej dyscypliny wymaga jeszcze wiele pracy wychowawczej, ale ta praca zostanie wykonaną i przyniesie partji niemało korzyści w jej przyszłych walkach.

Brak dyscypliny w związkach wpłynął może na stanowisko, jakie nie jeden związkowiec zajął wobec kwestji święta majowego. Sprawa ta stanowi od lat wielu przedmiot sporu w związkach zawodowych. Na kongresie w Kolonji wywołała ona zacięte dyskusje, bez których nie obeszło się również w Hamburgu. W Niemczech mianowicie dość późno postanowiono obchodzić święto majowe przez porzucenie pracy. Musieliśmy bowiem staczać ciężkie i uporczywe walki z przedsiębiorcami o strejk majowy i nie ulega wątpliwości, że niemiecka klasa robotnicza złożyła znaczne ofiary na ołtarzu tej

akcji międzynarodowej. Wraz ze wzrostem organizacji wzrosło poczucie odpowiedzialności u towarzyszy, stojących na czele ruchu zawodowego. Dla związków miała z natury rzeczy wielkie znaczenie kwestja pieniężna. Niektórzy z kierowników organizacji zawodowych nie uważali za możliwe polecać członkom, by strejkowali w dniu pierwszym maja, gdyż związek musiałby przez to przyjąć na się odpowiedzialność finansową. Dzięki nadto lokautowej taktyce syndykatów przedsiębiorców tendencje wrogie świętu majowemu doszły w niektórych zawodach do znacznych rozmiarów, zwłaszcza w budowlanym. Wszyscy zaczęli w końcu domagać się stanowczego postanowienia; nawet gorący zwolennicy święta majowego mówili: lepszy straszny koniec, niż nieskończony strach. Stało się koniecznością stworzenia norm, któreby uniemożliwiły zbyt pospieszne uchwalanie strejku majowego w poszczególnych miejscowościach. Zjazd potwierdził wszystkimi głosami przeciw 22 następującą umowę, zawartą przez zarząd partji socjaldemokratycznej i Jeneralną Komisję związków zawodowych:

„Dla przygotowania święta majowego należy we wszystkich miejscowościach, o ile możliwe na początku roku, stworzyć komisję, złożoną w równej części z przedstawicieli kartelu związków zawodowych i organizacji partyjnej. Przewodniczącego wybiera komisja sama.

„Zadaniem komisji jest dbać o to, by święto majowe odbyło się w sposób godny, z uwzględnieniem warunków lokalnych i zawodowych oraz uchwał organizacji związkowych i postanowień zjazdów partji. Mające się odbyć święto nie może być oznaczone na inny dzień jak na 1 maja.

„W razie lokautów, spowodowanych przez święto majowe, mogą dotknięci niemi robotnicy otrzymywać zapomogę od początku drugiego tygodnia. Do zapomogi tej mają prawo zarówno członkowie związków, jak i członkowie organizacji politycznej.

„Środki pieniężne, niezbędne do opłacenia zapomóg, powinny zebrać organizacje partyjne i zawodowe miejscowości, w której lokaut został ogłoszony. Należy w miejscowościach tych stworzyć fundusz zapomogowy dla zlokautowanych. Fundusz zostaje zebrany drogą składek i datków dobrowolnych. Jeżeli fundusz taki nie jest w pewnej miejscowości potrzebny, lub jeżeli nie wystarcza dla wypłacania zapomóg zlokautowanym, wówczas potrzebne sumy dostarcza miejscowa organizacja partyjna i związki zawodowe, których członkami są zlokautowani. Udział obu tych organizacji w pokryciu kosztów lokautu oblicza się według liczby członków organizacji. Zlokautowani nie mają prawa do zapomóg ze strony centralnej kasy partji i związków.

„Jeżeli związki wystawią z okazji lokautu żądania dotyczące płacy, wówczas same ponoszą koszt lokautu“.

Umowa ta, którą zajmie się jeszcze najbliższy zjazd partyjny, nie zadowoliła nikogo, ale nikt nie podał lepszej propozycji. Dla tych grup, które stanowiły w wielkich miastach przeważną część świętujących,

dla murarzy, cieślów i pokrewnych grup robotniczych nie zmieniło się nic. W większości gałęzi przemysłu liczba świętujących również nie ulegnie w następnych latach większym zmianom. Strejk w dniu pierwszym maja przybierze prawdopodobnie większe rozmiary dopiero wówczas, gdy na skutek dalszego silnego rozwoju związków zawodowych lokautowa taktyka przedsiębiorców skończy się stanowczym bankructwem. Kongres polecił zresztą Jeneralnej Komisji zainicjowanie dalszych narad z zarządem partyjnym w celu lepszego ewentualnie rozwiązywania kwestji zapomóg.

Ważnym bardzo dla ruchu zawodowego punktem porządku dziennego był „rozwój ustawodawstwa społecznego w Niemczech“ i stanowisko związków zawodowych wobec tej kwestji; referował to stary towarzysz partyjny Molkenbuhr, członek zarządu Socjaldemokracji. We wzorowych wywodach, ze stanowiska ściśle zasadniczego, przedstawił on rozwój niemieckiego ustawodawstwa społecznego od chwili, gdy rozporządzeniem z 6-go kwietnia 1839 została w Prusiech zakazana praca dzieci poniżej lat 9-ciu w kopalniach i w hamerniach. Sprowadził znaczenie niemieckiego ustawodawstwa społecznego do właściwych rozmiarów i wykazał obłudę rządu i przedsiębiorców, przechwalających się olbrzymiami sumami, które wydają na ubezpieczenia robotnicze. Wykazał, że wkładki, wnoszone przez przedsiębiorców do kas ubezpieczenia, są ściśle określoną częścią płacy roboczej, że nie pochodzą więc z kieszeni przedsiębiorców, choć przez nich są wnoszone. Następnie przedstawił bajeczny rozwój przemysłu niemieckiego i istniejących obecnie w Niemczech przeszło 400 karteli i syndykatów. Oto rozmiary wartości dodatkowej, zagarnianej przez fabrykantów. Naprzykład w przemyśle żelaznym w r. 1906 płacono robotnikom za wytworzenie tony produktów 45,86 marek płacy roboczej, zysk zaś wynosił 51,66 marek. Na 12-godzinny więc dzień roboczy przypadało w r. 1906 na $5\frac{2}{3}$ godzin niezbędnej pracy, $6\frac{1}{3}$ dodatkowej. Ośmiogodzinny dzień roboczy byłby więc tu możliwym nawet przy tej samej intensywności pracy. Żądania, które powinny wystawić związki zawodowe, referent sformułował w następującym programie:

I. Dla zapewnienia stosunków prawnych: 1) izby robotnicze; 2) zupełna swoboda koalicji dla wszystkich osób zatrudnionych za płacę lub pensję; 3) obowiązkowość wszystkich praw, wydanych dla ochrony robotników i uniemożliwienie znoszenia ich przez umowy prywatne; 4) prawna podstawa dla umów zbiorowych; 5) zakaz systemu trukowego we wszystkich jego formach. II. Dla ochrony zdrowia i życia: 1) ustanowienie normalnego dnia roboczego, wynoszącego najwyżej 8 godzin; 2) zakaz pracy zarobkowej dzieci poniżej lat 14; 3) zakaz pracy nocnej z wyłączeniem tych prac, które z natury swojej, ze względów technicznych lub względów dobra publicznego, muszą być wykonane; 4) odpoczynek, wynoszący conajmniej 36 godzin bez przerwy w tygodniu; 5) rozległa higiena przemysłowa oraz wydanie skutecznych przepisów, mających na celu zapobieganie chorobom; 6) zarządzenia, zapobiegające nieszczęśliwym

wypadkom, z udziałem robotników w kontroli nad ich wykonywaniem.

III. Dla ochrony przed ostateczną nędzą: Wprowadzenie jednolitości do ubezpieczeń robotniczych i rozszerzenie ich zakresu, połączone z samorządem ubezpieczonych: a) odszkodowanie w istniejących gałęziach ubezpieczenia w wysokości, dostatecznej do uchronienia chorych, poszkodowanych przez nieszczęśliwe wypadki i inwalidów od nędzy; b) stworzenie ubezpieczenia na wypadek macierzyństwa; c) stworzenie ubezpieczenia dla pozbawionych pracy; d) stworzenie ubezpieczenia dla wdów i sierot.

Entuzjazm, z jakim przyjęto wywody starego weterana partyjnego i jednomyślność, z jaką uchwalono jego rezolucję, wykazują, że długo jeszcze będą musieli czekać burżuazyjni demagogowie na spełnienie swych marzeń, oraz jak koniecznym jest najściślejsze współdziałanie partji i związków.

Następnie zajmował się kongres sprawą agitacji wśród służących. Również i w Niemczech, wraz z rozwojem przemysłu, wzrasta liczba „niewolnic domowych“, zwanych „służącemi“. Statystyka zawodowa z r. 1895 wykazała, że istnieje tu 1339 316 służących, zamieszkujących u „państwa“. Obecnie liczba ta jest jeszcze większą. Niewolnice domowe zdane są w zupełności na samowolę swych „chlebodawców“. Historia powstania ustaw o czeladzi, którym podlegają służące, a których mamy obecnie w Niemczech 44, sięga aż XVII wieku. Przeciętny czas pracy tego odłamu proletariatu, jak to wynika z wywodów referentki tow. Grünberg, to 17—18 godzin dziennie. Dziewczęta, które, mając 15 lat, wstępują do służby pełne zdrowia, są w trzydziestym roku swego życia całkiem zużyte. Ciemnota służących nie zna granic i nie ulega wątpliwości, że zorganizowanie ich będzie nie łatwą sprawą. Referentka zaznaczyła, że sprawie tej poświęciły towarzyszkii partyjne i organ ich „Gleichheit“ (Równość) nie mało pracy. Odbiło się już wiele zgromadzeń służących, a w niektórych miejscowościach, jak Hamburgu i Norymberdze, powstały nawet odpowiednie organizacje. Kongres polecił Jeneralnej Komisji zwołanie konferencji służących, któraby naradziła się nad stworzeniem jednolitej organizacji.

Ważnym punktem porządku dziennego kongresu była sprawa organizacji wychowania młodzieży. Organizacje młodzieży oraz starania organów ruchu robotniczego o racjonalne postawienie sprawy jej wychowania datują się w Niemczech od niedawna; posiadamy więc na tym polu jeszcze bardzo nieznaczne doświadczenia. Już z tego powodu nie należy uważać rezolucji, przedłożonej w tej sprawie przez Jeneralną Komisję i opartej na porozumieniu z zarządem partyjnym, za ostatnie słowo. Niemieckie socjalistyczne organizacje młodzieży posiadają na razie ogółem 10 tysięcy członków, podczas gdy ewangelickie liczą 110 tysięcy. W niektórych miastach, jak Lipsku i Hamburgu, organizacje młodzieży osiągnęły bardzo piękne rezultaty. Kongres wypowiedział się przeciw specjalnym organizacjom młodzieży, a za ujęciem sprawy wychowania i wykształcenia jej przez związki zawodowe drogą powołania do życia oddziałów

młodzieży przy związkach oraz innych odpowiednich urzędów. W głównej mierze należy popierać „wykształcenie ogólne“. Rezolucja w tej kwestji została przyjęta wszystkimi głosami przeciw jednemu. Przyjęcie rezolucji, polecającej zniesienie samodzielnych organizacji młodzieży, było ze strony kongresu zawodowego krokiem zbyt pociągłym. Kwestja ta nie była przed kongresem poddana dyskusji ani w partji ani w związkach zawodowych. Organizacje młodzieży istnieją w Niemczech i w kilku innych państwach za wiedzą i zgodą partji, otrzymują poparcie od organizacji partyjnych; specjalnie w Niemczech nie odezwały się dotychczas żadne głosy krytyczne przeciwko nim. Nagle w momencie, gdy rząd stara się je zgładzić, gdy cała prasa burżuazyjna szczuje przeciw organizacjom „smarkaczy“, zjawiają się w organie oportunistów, w „Sozialistische Monatshefte“ na kilka dni przed kongresem zawodowym artykuły tow. Legiena i Roberta Schmidta — referenta tej kwestji na zjeździe, — które zapowiadają krucjatę przeciw omawianym organizacjom. Kongres zaś zawodowy przyjmuje po krótkiej dyskusji, w której mówiono o wszystkim innym, ale nie o zasadach organizacji młodzieży, rezolucję w duchu wywodów Schmidta przeciw samodzielnej organizacji młodzieży. Istoty tego postępowania nie zmienia — rzecz zrozumiała — fakt, że Komisja Jeneralna działała w porozumieniu z zarządem partyjnym. Jakikolwiek byłoby pogląd Komisji na tę sprawę, należało wstrzymać się z wnoszeniem rezolucji, proponującej zmianę obecnego stanu rzeczy, do chwili, gdy ogół związkowców zdoła wyrobić sobie pogląd na tę sprawę. Uchwała kongresu wywołała też obecnie w sferach partyjnych ożywioną dyskusję, mającą na celu przygotowanie dyskusji na przyszłym zjeździe Socjaldemokracji, który odbędzie się w Norimberdze jesienią r. b.

Z innych spraw, omawianych na kongresie, zasługują na zaznaczenie sprawa bojkotu, jako środka walki ekonomicznej, sprawa stosunku związków zawodowych do kooperatyw oraz sprawa sporów między związkami o teren działalności.

W sprawie bojkotu, po dość ożywionej dyskusji, przyjęto wniosek, który opiera się na doświadczeniach, poczynionych w całym szeregu wypadków. Skoro związek zawodowy sięga do bojkotu już po użyciu oręża strejku, wówczas walka jego staje się sprawą całej klasy robotniczej. Tak oceniają też bojkot przedsiębiorcy i cała publiczność burżuazyjna: jako masowy atak klasy robotniczej. Odpowiednio do tego musi być też bojkot organizowany; ma on szanse powodzenia tylko wtedy, gdy przedmiot walki jest w stanie obudzić zainteresowanie ogółu robotniczego i utrzymać je przez czas dłuższy i gdy niema między robotnikami różnicy zdania co do pożyteczności i skuteczności bojkotu w danym wypadku. Natomiast bojkotu, stosowanego przez ogół robotniczy w interesie pewnej grupy robotników, nie należy nigdy uważać za środek walki, który może uwolnić tę grupę od obowiązku organizowania się. W tym wypadku przyniosłby on jej tylko szkodę. Rezolucja kongresu ściśle reguluje normy stosowania bojkotu. Czyni go ona zależnym od zgody kartelu wszystkich organizacji zawodowych danej miejscowości oraz od współdzia-

łania organizacji partyjnej; w razie spełnienia warunków, przepisanych przez rezolucję, poleca klasie robotniczej jak najenergiczniejsze i zwarte przeprowadzenie bojkotu.

W sprawie stosunku z związków zawodowych do stowarzyszeń spożywczych nie chodziło kongresowi o teoretyczną ocenę znaczenia ruchu współdzielczego, lecz o bardzo praktyczną kwestję warunków pracy funkcjonariuszów stowarzyszeń spożywczych i robotników przez nie zatrudnionych. W r. 1907 zjazd kooperatyw w Düsseldorfie uchwalił rezolucję, która narobiła dużo hałasu. W rezolucji tej orzekł zjazd, że stowarzyszenia spożywcze nie mogą dawać swym pracownikom takich warunków, któreby zmniejszyły zdolność konkurencyjną stowarzyszeń. Związkowcy uważali to za zapowiedź, że stowarzyszenia spożywcze staną na stanowisku przedsiębiorstw prywatnych. Jeneralna Komisja porozumiewała się z kierowniczą instytucją kooperatyw, skutkiem czego zjazd kooperatyw, obradujący w jednym czasie z kongresem związkowym, przyjął rezolucję, w której uchwale zjazdu Düsseldorfskiego dał formę, usuwającą w pewnej mierze powód do skarg związkowców. Uznał on mianowicie za obowiązek stowarzyszeń spożywczych zatrudnianie robotników na możliwie wzorowych warunkach, ale zrobił pewne zastrzeżenie: gdzie ze względów konkurencyjnych warunki te nie mogą być ujęte w taryfę, rozciągającą się na całe państwo, tam mogą regulować je lokalne stowarzyszenia spożywcze w porozumieniu z miejscowymi oddziałami związków zawodowych. W każdym razie warunki te nie powinny przewyższać tego, co związki zawodowe uzyskują od przedsiębiorstw prywatnych. I ta uchwała wywołała głosy niezadowolenia i skargi na zarząd, szerzoną przez pogon za dywidendą. Mimo to kongres Hamburski potwierdził rezolucję kongresu Kolońskiego, polecającą związkowcom wstępowanie do stowarzyszeń spożywczych i popieranie ich.

Spory związków co do terenu działalności stanowią wogóle od czasu istnienia związków przedmiot obrad wszystkich zjazdów zawodowych. W Anglii powodowały one przez dziesiątki lat zacięte walki bratobójcze. Powód tych sporów i w pewnej mierze nierozwiązalność ich leży w naturze produkcji kapitalistycznej, która już to łączy robotników w grupy zawodowe, już to rozprasza je i wzajemnie sobie przeciwstawia. Jeżeli sprawy te, tak jątrzące stosunki między poszczególnymi związkami, mimo to zostają w niemieckim ruchu zawodowym rozwiązane w sposób względnie pokojowy i polubowny, to fakt ten zawdzięczają niemieckie związki duchowi socjalistycznemu, który je ożywia, a który, zdaniem zwolenników „neutralności“, przyczynia się do rozbicia ruchu zawodowego. Oto w zarysach uchwała kongresu w tej sprawie:

Kongres wychodzi z założenia, że spory te nie dają się rozwiązać trwale; odnośne związki powinny przedmiot sporu uregulować przez obopólną umowę; nie wolno związkom w agitacji przeciw sobie używać takich środków, jak wskazywanie na niższość wkładek; przy przyjmowaniu członków innego związku należy zważać, czy członek spełnił obowiązki swoje wobec związku, z którego występuje. Jeżeli

robotnik, członek związku, pracuje chwilowo nie w tym zawodzie, w którym jest zorganizowany, wówczas nie musi on wstępować do innego związku; natomiast w razie walk ekonomicznych musi stosować się do jego dyrektyw. Jeżeli robotnik pracuje w dwóch zawodach, wówczas w pobocznym może być zorganizowany tylko wtedy, jeżeli jest już zorganizowany w głównym. Robotnicy rozmaitych zawodów, pracujący w jednym przedsiębiorstwie, powinni należeć każdy do organizacji swego zawodu. Wyjątki są dopuszczalne tylko na podstawie umowy między centralnymi instancjami odnośnych związków.

W dalszym ciągu zajął się kongres sprawą zniesienia obowiązku mieszkania i stołowania się u przedsiębiorcy, kwestją agitacji wśród robotników - cudzoziemców pracujących w Niemczech, działalnością centralnego sekretariatu robotniczego, zastępowaniem robotników w sądach przez sekretarzy robotniczych i związkowych, ubezpieczeniem prywatnych funkcjonariuszów, oraz sprawą pośredniczenia w wyszukiwaniu pracy.

Po sześciu dniach pracy kongres zamknięto. Nie rozwinął on szerokich perspektyw, nie błysnął podniosłymi chwilami. Znaczenie jego polega na jego prostocie i dokonanej pracy. Oby niemiecki ruch zawodowy szedł dalej starami dobrymi tory w jedności z Socjaldemokracją i oby za trzy lata, gdy odbędzie się nowy kongres, nowe mógł wykazać postępy.

Jeszcze w sprawie bojkotu uniwersytetu warszawskiego.

Napisał A. Marcinowicz.

Od chwili wydania rządowego rozporządzenia o otwarciu z początkiem nadchodzącego roku szkolnego uniwersytetu warszawskiego młodzież nie przestaje gorąco zajmować się tą sprawą.

W sprawie tej zamieszczony został w czerwcowym numerze P. S. artykuł tow. M. Brońskiego, który zyskał aprobatę redakcji, zaznaczoną w specjalnym dopisku. Artykuł ten nosi na sobie wyraźne ślady żywych dyskusji, jakie toczyły się i nadal toczą wśród polskiej młodzieży studenckiej, przyczym, broniąc stanowiska przeciwojkotowego, z natury rzeczy oświeśla sprawę jednostronnie. Z tego już względu i wobec jaskrawie polemicznego charakteru artykułu, nie będzie zbyt cennym oświetlenie tej wciąż jeszcze aktualnej sprawy przez zwolenników stanowiska przeciwnego.

Autor, który imieniem Socjaldemokracji we wstępie obiecuje „wyzyskać ten ważny fakt polityczny dla rozszerzenia świadomości politycznej“ zainteresowanej części społeczeństwa polskiego, nie tylko tego przyrzeczenia nie spełnia, lecz, przeciwnie, gmatwa sprawę i dowodzi, iż nie jest ona dlań bynajmniej tak jasną, jak „dla Socjaldemokracji być powinna“.

Przedewszystkim należy poczynić pewne sprostowania.

Kwestja dróg, jakimi może być osiągnięty demokratyczny uniwersytet polski w Warszawie, nie wywołała różnicy zdań nie tylko

wśród studentów-socjaldemokratów, ale wogóle wśród całej młodzieży studenckiej (przynajmniej t. z. postępowej) zagranicą. Świadczyć o tym mogą zarówno tegoroczny Zuryjski zjazd młodzieży uniwersyteckiej, jak i zebrania, specjalnie dla omówienia tej sprawy zwołane. Dla młodzieży polskiej zupełnie jasnym jest, iż tylko zwycięstwo rewolucji w caracie zabezpieczy wraz z demokratycznym ustrojem państwowym i autonomją Polski istnienie wyższej uczelni polskiej i wogóle szkolnictwa polskiego w Królestwie. Tow. Broński sam zresztą w artykule swoim zaznacza, iż prawdę tę młodzież uświadomiła sobie podczas styczniowego wybuchu rewolucyjnego 1905 r., kiedy to na wiecach swoich „nie zapomniała podkreślić, że bez owych zasadniczych postulatów wolnościowych, niezbędnych i koniecznych dla rozwoju społeczeństwa, niemożliwą jest demokratyzacja szkolnictwa wyższego i średniego oraz jego usamodzielnienie i unarodowienie“.

Oczywisty postulat ten wysunięty został na czoło argumentacji zwolenników bojkotu uniwersytetu warszawskiego; mimo to tow. Broński nie tylko wziął na siebie zbyt ciężkie zadanie uświadomić już uświadomioną pod tym względem młodzież, lecz jeszcze w dodatku fałszywie zarzuca zwalczanej przezeń stronie „wpojenie w świadomość młodzieży uniwersyteckiej przekonania, że można zdobyć demokratyzację uniwersytetu warszawskiego niezależnie od rewolucji“.

O ile oczywistą jest zależność losów demokratyzacji i spolszczenia szkolnictwa w Królestwie od losów rewolucji w caracie, o tyle niesłusznym byłoby twierdzić odwrotnie, mianowicie, że losy rewolucji zależne są od stosunku młodzieży do zamierzonego otwarcia uniwersytetu warszawskiego.

Jakkolwiek dziwnym to się wyda, tow. Broński jednak wziął na siebie, i to całkiem poważnie, zadanie dowieść słuszności tego nie wytrzymującego żadnej krytyki odwrotnego twierdzenia. Niech świadczą o tym słowa tow. Brońskiego, który postawił następujące pytanie: „Czy bojkot w danym momencie przyczynia się do wzmożenia ruchu rewolucyjnego?“ – pytanie, poprzedzone takim zdaniem: „Z tego właśnie stanowiska ocenić trzeba używaną dotychczas przez młodzież szkolną broń – bojkot uniwersytetu warszawskiego“.

Jasną jest rzeczą, jaką odpowiedź można otrzymać na to pytanie.

Takie stawianie kwestji jest gmatwaniem sprawy. Wzmoczenie rewolucji wogóle nie może być w żadnej zależności od taktyki młodzieży polskiej w stosunku do uniwersytetu warszawskiego, a dowodzenie tow. Brońskiego, iż „przy bojkocie nie zostanie wcale dotknięta żadna z podstaw rządu carskiego“ nie tylko jest zbyt ciężkim, lecz zarazem przypominą walkę z wiatrakami albo atakowanie fortecy z kart, zbudowanej przez dzielnych rycerzy niemowlęcych. Ale tow. Broński, który koniecznie poleca młodzieży stosowanie w sprawie uniwersytetu warszawskiego taktyki, przyspieszającej wybuch rewolucyjny, zapewne jest przekonany, że właśnie przez pójście do uniwersytetu warszawskiego zostaną „dotknięte podstawy rządu carskiego“.

Pozostawia się tow. Brońskiemu jego radosne upojenie z powodu bogactwa swej świadomości rewolucyjnej, pozwalającej mu znęcać się nad „ubóstwem świadomości rewolucyjnej“ tych, którzy wypowiadają się za bojkotem.

Zwolennicy bojkotu-socjaldemokracy, którzy chyba lepiej widzą, jaki związek zachodzi między temi sprawami a rewolucją, niż tow.

Broński, nie są o tyle arcynaiwni, aby stawiać tak szerokie wymagania taktyce młodzieży [w tej mniej niż drugorzędnej sprawie społecznej. Zadaniem młodzieży socjaldemokratycznej, broniącej dalszego bojkotu, jest tylko stawianie oporu nowym krokom likwidacyjnym caratu tam, gdzie to jest możliwe, oraz walka z zakusami rządu, zmierzającymi do wznowienia demoralizacji i deprawowania młodzieży polskiej przy pomocy pozorów kultury i oświaty. Jest to obowiązkiem młodzieży socjaldemokratycznej uchronić resztę swych kolegów od zabójczych wpływów, walcząc jednocześnie z całym systemem ucisku caratu i wpajając w umysły młodzieży świadomość konieczności tej walki.

Tylko przekonanie, iż nastąpił już koniec rewolucji i niewiara w nadejście nowego wybuchu, a w najlepszym razie oczekiwanie spokoju przez ciąg dziesięcioleci może podyktować chęć pójścia do spokojnej pracy akademickiej, do zdobywania patentów i stopni lekarzy, adwokatów i t. d. Natomiast każdy, szczerze wierzący w zwycięstwo rewolucji, w ponowny jej atak, każdy, dla którego carat jest rządem tylko tymczasowym, musi powiedzieć sobie, że aż do zupełnego obalenia caratu obejdzie się bez demoralizującego uniwersytetu warszawskiego.

Jeżeli rząd w najgorszej nawet chwili, kiedy samo istnienie jego wisiało, zdawało się, na włosku, tak uporczywie obstawał przy swoim i nawet za cenę jeszcze większej uległości, jeszcze większych usług ze strony polskich klas panujących nie chciał ustąpić z tej „biurokratycznej instytucji demoralizacji i rusyfikacji młodzieży“, jak nazywa uniwersytet warszawski tow. Broński, — to chyba dobrze wiedział, że zachowanie dawnego charakteru tej instytucji przynosi mu pożądaną korzyść. A w takim razie stać też i młodzież polską na to, by tymczasem, aż do zwycięstwa rewolucji, obeszła się bez uniwersytetu w Warszawie.

Tow. Broński ma wielkie zaufanie do wysokiego poziomu moralnego młodzieży, który ma być dostateczną tarczą obronną przeciw demoralizującemu wpływowi „carskich czynowników w todze profesorskiej“, i przywołuje na świadka „nawet“ p. Dmowskiego, który w Dumie twierdził, iż uniwersytet rosyjski w Warszawie przynosił rządowi nieobliczalne szkody, a młodzieży nie demoralizował.

Mam nadzieję, że „nawet“ dla tow. Brońskiego lepszym świadectwem będzie niepochlebna sława, jaką się cieszył uniwersytet warszawski wśród studentów całej Rosji — sława, opiewana w licznych piosenkach studenckich. Lepiej one świadczą o tym, jak warszawski uniwersytet, mimo wysoki poziom moralny młodzieży polskiej, potrafił wychowywać uganiaczy za patentami, nie zaś rewolucjonistów albo przynajmniej postępowców.

Zdaje się, iż z tych względów bardziej pożądanym jest, aby młodzież nasza doznała na sobie wpływu zagranicy i uniwersytetów rosyjskich.

Twierdzi tow. Broński, a aprobuje to w dopisku redakcja, (czemu się już dziwić należy), że bojkot będzie „usuwaniami się od walki rewolucyjnej“, że zaś istnienie uniwersytetu w Warszawie utrzyma w skupieniu inteligentną młodzież, z której będą się rekrutować rewolucjoniści.

Zaiste, podziwiać należy to twierdzenie. Czyżby nie wiadomym było dotychczas, iż młodzież inteligiencka już dawno wycofała się

z szeregów rewolucyjnych, że zatył nie ma już potrzeby usuwania się z rewolucji?

Czyżby całe doświadczenie dotychczasowe nie dość jasno wykazało, że po warszawskiej młodzieży uniwersyteckiej rewolucja nie wiele spodziewać się może; że, wstąpiwszy w progi tej instytucji, młodzież „walczyć“ będzie o „otlicznoje pawiedienie“ i dobre patenty? Czyżby nie jasnym było, iż młodzież gimnazjalna przy istnieniu uniwersytetu będzie starała się zachować swoją „błagonadiożność“, wymaganą przez uniwersytet?

Czyżby rząd carski był doprawdy tak nieprzenikliwym w sprawach „ochrany“ i otwierał uniwersytet dla wykucia sobie miecza na swoją głowę, dla skupienia rewolucjonistów?

Jeżeli w rzeczywistości ktoś żywi tę ostatnią nadzieję, to należałoby zachować ją w najgłębszej konspiracji, aby rząd uświadomiony przez S. D., nie cofnął swego rozporządzenia.

Widocznie rząd woli czuwać nad umoralnianiem i rewolucjonizowaniem młodzieży polskiej w Warszawie, niż zagranicą i w Rosji i tym wykazuje większe zrozumienie swych interesów, niż przeciwnicy bojkotu.

Bojkot uniwersytetu warszawskiego nie tylko nie absorbuje sił Socjaldemokracji, lecz nawet młodzieży uniwersyteckiej. Studja zagranicą lub w Rosji nie mogą powstrzymać poszczególnych młodych ludzi do spełnienia swoich obowiązków względem rewolucji, a w takim razie trafiają oni do kraju; młodzież zaś pozostająca w kraju i nie studjująca w uniwersytecie skłonniejszą będzie do brania udziału w pracy partyjnej i wogóle w życiu politycznym, niż polując na patenty.

Przeciwnicy bojkotu w istocie nie mają żadnych ogólniejszych społeczno-politycznych powodów do zalecania swej taktyki. Prócz „niedających się obliczyć strat“, grożących ze strony bojkotu zainteresowanej części młodzieży; prócz „potrzeb społeczeństwa“ polskiego, t. j. ciągłego popytu na patentowanych „swoich“ lekarzy, adwokatów, nauczycieli i t. d.; prócz wreszcie względu na możliwe niepowodzenie hasła bojkotu — nic nie przemawia za pójściem do uniwersytetu warszawskiego.

Takie też były zasadnicze argumenty przeciwników bojkotu oraz nuta pogrzebowa, rozbrzmiewająca z ich ust nad rewolucją.

(Ponieważ nie uważamy dyskusji w danej kwestji za zakończoną, powrócimy do niej w swoim czasie. Przyp. red.).

Z kraju.

Bojkot towarów niemieckich i na kim się on skrupi. — Drobnomieszczaństwo wobec hecy „słowiańskiej“. — Skąd się wzięła delegacja „polska“ w Pradze. — „Poufne“ tumanienie ludzi. — Bajki o neoslawizmie i kulturze. — Trójjedność narodowo-realno-postępowa w liberji carskiej. — Protest otumanionych robotników.

Wielką satysfakcję sprawił prasie warszawskiej artykuł niejakiego pana Bernharda, który wydaje w Berlinie tygodnik Plutus, poświęcony sprawom giełdowym, a obliczony na sensacje. Pan ten bowiem rozpisuje się o „bojkocie polskim“ i trąbi na alarm. Powód do tego dała mu awantura, wszczęta w Niemczech z powodu wystą-

pienia austriackiego ministra. Minister ten — rodem Czech — zaraz na początku agitacji za bojkotem towarów niemieckich dał konsulom austriackim wskazówki, aby wyzyskali tę agitację na rzecz austriackiego przemysłu, czego rezultatem było, jak wiadomo, urządzenie przy konsulacie austriackim w Warszawie biura dla informacji o produkcji przemysłowej w Austrii. Sprawa to dosyć dawna, lecz niewiadomo z jakiej racji rozalarmowana dopiero teraz przez pisma niemieckie. — Wspomniany pan G. Bernhard przyznaje tedy, że bojkot działa, na dowód czego przytacza, że „polska szlachta w tym roku ostentacyjnie mija w przejeździe Berlin, nie zatrzymując się. Hotele odczuły to dotkliwie. Ale i wielkie magazyny specjalne Berlina skarżą się. Polak bowiem jest dobrym i nobliwym nabywcą towarów, a szlachta polska nie ma może więcej pieniędzy, niż rody szlacheckie innych narodowości, ale ma lepszą rękę w wydatkowaniu“. — Więc radość wielka w kurjerkach: „bojkot działa!“

Należy przyznać, że jesteśmy bardzo skromni. Jeżeli niemiecki publicysta nie umiał przytoczyć poważniejszych faktów, wykazujących skutki bojkotu, jak tylko to, że po hotelach niemieckich mniej szwęda się „hrabiów polskich“ i że w eleganckich sklepach berlińskich mniej pojawia się Polaków, płacących bez targu wygórowane ceny za fatałaszkę, jest to rezultat więcej niż skromny. Wszak nasi domorośli „ekonomiści“ darli gardło wcale nie na żarty. Krzyczeli np.: „nie damy prusakom robotnika“. Oni nie dadzą! Miało to znaczyć, że Maćki i Kaśki nie pójdą na roboty polne do Prus. Tymczasem Maćki, jeżeli wogóle dowiedzieli się o tym, co się roi po głowach bzdurnych dziennikarzy, odpowiedzieli im, — jak Ślimak w „Płacówce“ odpowiedział Niemcom. I rzecz jasna musieli tak odpowiedzieć, bo dziennikarze zarobku im nie dadzą, a żyć trzeba. W każdym razie faktem jest, że w roku bieżącym do Niemiec poszło jeszcze o kilkadziesiąt tysięcy robotników sezonowych więcej, niż lat ubiegłych. Bywali i tacy spryciarze, co radzili „wygłodzić Niemców“, nie chcieli im sprzedać polskiej pszenicy i żyta. Jeden z nich — w Nowej Gazecie — załamywał ręce nad tym, że szlagoni kujawscy sprzedali buraki do cukrowni niemieckich. Redaktor *Gazety Kujawskiej* z tego powodu pisał zrozpaczony, że Prusak będzie drwił sobie z Polaka, słodząc kawę polskim cukrem! Nieborak zapomniał, że Prusak ten należy sobie do tej kawy śmietanki polskiej, której co dnia wywożą koleją i statkami parowymi tysiące garnce, że będzie sobie smarował bułkę, upieczoną z polskiej pszenicy, polskim masłem i przygryzał kiełbasą, zrobioną z polskich wieprzy.

Gdyby ci „ekonomiści“ pomyśleli tylko o takich, bardzo wszak prostych, sprawach musieliby dojść do wniosku bardzo prostego, że cała szopka bojkotu funta kłaków nie warta. Skoro bowiem ogromna część polskich wytworów rolniczych bywa sprzedawaną do Prus, które są „naturalnym“, bo najbliższym rynkiem zbytu, więc i import idzie głównie z tychże Prus. Handel jest sprawą zależną od bardzo realnych czynników, a najmniej od fantazji zaperzonych dziennikarzy. To też cała awantura bojkotu ma głównie ten efekt, że rzecznicy literaccy kramarzy polskich i niemieckich napsują sobie wzajem nieco krwi.

Ala jest i inny efekt, niespodziewany dla domorośłych „ekonomistów“. Mianowicie ten, że przezacni kupcy polscy mają nowy sposobik do orzynania publiczności: sprowadza się ten sam towar niemiecki, ale z etykietą francuską, angielską, czeską — ta zwłaszcza

wchodzi w modę — i każe się naiwnym płacić drożej za tę etykietę. Byłoby to jeszcze małoważne, gdyż na taki lep brać można tylko publiczność zamożniejszą, biedota zbyt mało kupuje wyrobów zagranicznych; więc niechby sobie publiczka z burżuazji płaciła za swoją fantazję. Lecz mamy niejakie powody obawiać się, że w końcu ten huczek „patriotyczny“ skrupi się jednakże na robotniku i na chłopie polskim. Chodzi o to: bojkot przyczynia się do wzmożenia istniejącej już tendencji do organizowania się fabrykantów, hurtowników i kramarzy. Jesteśmy świadkami sporego ożywienia w tym kierunku, widzimy ciągłe narady, powstawanie nowych stowarzyszeń tych właśnie żywiołów. Tymczasem stary Adam Smith, który znał na wylot duszę kramarza, stwierdza już półtora wieku temu: gdziekolwiek spikną się pomiędzy sobą przedsiębiorcy i kramarze, zawsze rezultatem jest, że będą się starali nałożyć haracz na nabywców lub przydusić robotnika. Zaczyna się od obrad patriotycznych pod hasłem „precz z Niemcami“, kończy się na konwencji dla podniesienia cen na wszelakie towary i na zмовie przeciw robotnikom. Więc — powiadamy — skrupi się ten huczek na chłopie jako konsumencie, na robotniku jako konsumencie i producencie.

Że cały ten krzyk o bojkocie jest ruchem specyficznie drobnomieszczańskim, tego dowodzić nie trzeba, a że takie wzmożenie samopoczucia drobnomieszczańskiego jest zawsze ze szkodą dla interesów mas pracujących, to również dowodów nie wymaga.

W tej akcji bojkotu drobnomieszczaństwo czuje po części instynktownie, a po części zupełnie już jasno kalkuluje korzyści materialne. Więc zabiera się do niej ochoczo, z „szlachetnym zapałem“. Natomiast inna sprawa, „neosłowiańskie zbratanie“, jak dotąd nie znalazła jeszcze należytego oddźwięku. Rzeczy stoją tak: ideologiczni prowodyrzy burżuazji czują w tym „słowiańskim zbrataniu“ doskonały interes swojej klasy. „Sprawa słowiańska“ może być jednym ze środków zrealizowania reakcji. Konsekwencją całej polskiej polityki burżuazyjnej jest, że musi ona szukać sojuszu z caratem za jaką bądź cenę; sama bowiem burżuazja polska z proletariatem polskim nie może się uporać, sama też nie może nic tworzyć, bo jest politycznie wyjąłowana. Niema więc innej drogi dla polityków burżuazyjnych, jak powiedziawszy A, powiedzieć B. Rzecz jest jasną: walki o prawa konstytucyjne, o autonomję, musiała się burżuazja polska wyrzec, ponieważ walka ta może być prowadzona tylko środkami rewolucyjnymi, a stosowanie takich środków jest dla niej zabójcze, ponieważ wówczas musi ona odrazu podporządkować się proletariatowi, który siłą konieczności wysuwa się na czoło i nadaje walce cechy walki socjalnej; wyrzekszy się walki, może burżuazja już tylko obrać drogę targu z caratem, drogę „ugody“. Ci, co czynnie uprawiają politykę burżuazji, dawno już uświadomili sobie tę konsekwencję i dlatego nie tylko posłowie narodowo-demokratyczni stosują taktykę „ugodową“, lecz i „postępowcy“ nie mogą się zdobyć na nic innego, jak potakiwanie półgębkiem tej taktyce. Lecz targ idzie nie łatwo. Nie dlatego, że Koło Polskie stawia zbyt wygórowane wymagania, a dlatego, że rząd stołypinowski nie wogóle nie daje. Jak skłonić ten rząd do minimalnych choć ustępstw, do pozorów ustępstw, bodaj? — oto troska prowodyrów politycznych. Środek ku temu upatrzyli w „sprawie słowiańskiej“. Poparcie „sprawy słowiańskiej“, zapomocą której rząd stołypinowski chce reparaować swój prestige polityczny i torować sobie drogę do nowych podbojów zaborczych w Turcji — poparcie

tej „sprawy słowiańskiej“ przez Polaków, powiadamy – jest dla rządu rzeczą stosunkowo cenną. Więc próbują politycy burżuazyjni na tej drodze dotrzeć do celu. Dla prowadzycieli stronnictwa najbardziej wpływowego, Narodowej Demokracji, nasuwa się tu jeszcze korzyść uboczną: polityka „endecka“ zbankrutowała, trzeba się wyrzec wszystkich haseł, głoszonych jeszcze tak niedawno; pożytecznym więc jest odwrócić uwagę publiczną od tych spraw, zająć uwagę „narodu“ „wielką sprawą słowiańską“, sprawą niejako „zewnątrzną“; stara to sztuczka, której próbował każdy rząd zbankrutowany, więc czemuż nie miałaby posłużyć rządowi „endeckiemu“.

Lecz „naród“ w swych szerokich warstwach bynajmniej jeszcze nie dojrzał do tej ekwilibrystyki politycznej. Któż bowiem stanowi ten „naród“? Z jednej strony owa pstrokata publiczka warszawska, zapalającą się mniej lub więcej łatwo do różnych frazesów ideologicznych, z drugiej strony hreczkosiej i łyk prowincjonalny. Otóż ani jeden, ani drugi z tych żywiołów nie tak łatwo może zasmakować w całej tej hecy „słowiańskiej“. Owa pseudo-inteligiencka publiczka warszawska czuje, że pomimo wszystkie zapewnienia o odlakierowaniu starego panslawizmu na „neosłowianizm“ – od tej „sprawy słowiańskiej“ zalatuje zapaszkami Katkowszczyzny, więc kręci nosem. Dla hreczkosieja zaś i łyka „słowiańszczyzna“ jest pustym dźwiękiem, a pomysł bratania się z jakimiś tam słowakami, których się zna jeno jako druciarzy, z czechami – handlarzami gęśmi i wieprzami, nie przestaje być dziwaczny; no a już w głowie, zdobionej za „dni wolnościowych“ kołpakiem z pawim piórkiem, za nic pomieścić się nie może, że teraz trzeba upatrywać serdecznego brata słowianina w „moskalu“, o którym tak niedawno wyśpiewywano piosenki mniej lub więcej zelżywe. Daremnie głowi się zacy obywatel, by zrozumieć, co właściwie zamierza ta wataha, która mianuje siebie „przedstawicielstwem narodu“ i rości sobie prawa do przewodniczenia „narodowi“.

No, ale też niema u nas zwyczaju, by zapytywać tego obywatela o zdanie: politykę „narodową“ robi się zawsze bez niego, aczkolwiek w jego imieniu. Pojechali jako delegaci na zjazd czy tam „konferencję przygotowawczą“ do Pragi, jako delegaci od Narodowej Demokracji panowie Zygmunt Balicki i Jan Stecki, od Zjednoczenia Postępowego panowie Henryk Konic i Wacław Łypacewicz, od Partji Polityki Realnej panowie Ludwik Straszewicz i hr. Potocki, od „Koła Polskiego“ – pan Roman Dmowski. Każdy z tych panów czuł się w prawie przemawiać w imieniu „narodu polskiego“. Kto ich delegował, kto im dał mandat? Oczywiście nie naród, ale – ośmielamy się twierdzić, że nawet własne stronnictwo tym panom mandatu nie dało. Jeszcze pół biedy z „realistami“: sam Pan Bóg kazał, żeby tam kliczka rządziła i wszystko odbywało się w maleńkich konwentyklach „urodzonych przywódców“; to też to stronnictwo nawskroś arystokratyczne nigdy nie przyznawało się do demokratycznej zasady przedstawicielstwa z wyboru. Natomiast co do Narodowej Demokracji i „postępowców“ pozwalamy sobie twierdzić, że gdyby tu zapytano o zdanie członków partji, to bardzo jeszcze byłoby wątpliwe, czy ci członkowie uznaliby w swej większości za potrzebne delegować wogóle kogokolwiek do Pragi i czy wybór rzeczywście padłby na takich panów Balickich lub Łypacewiczów. Wspominamy o tym, gdyż jest to jeden z charakterystycznych przykładów „swojskiego“ załatwiania sprawy, samozwańczego narzucania ogółowi „przedstawicieli“. Stosunki ułożyły się tak, że partje burżuazyjne u nas własnym życiem

nie żyją, więc pozostaje szerokie pole popisów dla reżyserów szopek politycznych, dla których „naród polski” jest zawsze tylko owym czymś nieuchwytnym, co służy do rozdymania balonika, niosącego ich własną szopkową ambicję. Zresztą — skoro ten naród pozwala na to, aby tacy Baliccy, Konice et tutti quanti bezkarnie nadużywali jego imienia, nie zasłużył też na to, by było inaczej.

Co do „postępowców”, to ich udział w „konferencji” jest rzeczą tymbardziej ciekawą, ile że ta cała sprawa ma poza ogólnym charakterem wsteczności politycznego, jeszcze i zabarwienie antysemickie i wogóle była inscenizowaną przez reakcjonistów, podczas gdy postępowe stronnictwa czeskie, bułgarskie i t. d. tylko z wielkimi zastrzeżeniami wzięły udział. To też Nowa Gazeta miała spore wątpliwości, czy angażować się należy. Świętochowski zaś, którego wybrano, rzekł się mandatu, co znaczy, że nie miał nic przeciw temu, aby angażowało się stronnictwo, ale osobiście wołał się salwować. Obawia się on widocznie, że cała ta sprawa może doprowadzić do szpetnej kompromitacji.

Takim bodaj zdaje się być nastrój wśród inteligencji, zarówno „postępowej”, jak „endeckiej”, nęci gra, a z drugiej strony odstrasza obawa przed krokiem ryzykownym.

Tymczasem Narodowej Demokracji, to znaczy macherom politycznym, którzy kierują partją, zależeć musi na tym, żeby jaknajprędzej przezwyciężyć to niedowierzanie i wytworzyć nastrój, sprzyjający gieszeftowi politycznemu, jaki zamierzają zrobić na „sprawie słowiańskiej”. Uderzał tedy Głos Warszawski w wielki bęben, reklamując ten gieszeft, lecz spotkał się z bardzo energicznym oporem ze strony frondującego Gońca. Ponieważ ludzie, stojący po stronie Gońca, lubują się w środkach doraźnych, tego dowodem są szyby rozbite w lokalu Głosu Warszawskiego.

Nie zupełnie więc udało się „zrobić nastrój”, kiedy wyruszał panowie delegaci, a przebieg konferencji bynajmniej nie nadaje się do tego, by rozentuzjazmować „naród”. Tu zaznaczyć należy szczegół, który rzuca tak samo światło znamienne na sposób traktowania spraw publicznych, jak owe szopkowane delegowanie. Mianowicie: panowie delegaci naradzali się w Krakowie, konferowali w Pradze, ale wszystko to było „poufne”. Można sobie wyobrazić wiele spraw partyjnych, które wymagają dyskrecji, ale co mają sobie poufnie do powiedzenia delegaci zwalczających się wzajemnie partji, a o czym nie powinien dowiadywać się ogół? Zakrawa to poprostu na mydlenie oczu szanownej publiczności.

Biedni reporterzy mieli wobec tego nielada zadanie do rozwiązania: kręcili bicz z piasku. Tu każą robić „nastrój”, nadawać całej konferencji historyczne znaczenie, a tymczasem wszystko, co się tyczy tej konferencji, trzeba pomijać milczeniem, bo to — „poufne”. Kto chce mieć żywy przykład, jak polska prasa burżuazyjna robi błazeństwo z każdej sprawy, niech przeczyta korespondencje błaznujących na wyścigi panów Wuk (W. Kosiakiewicz) w Słowie i Aes w Głosie Warszawskim. Dowie się z nich, jak to pan Dmowski z panem Straszewiczem siedzieli w wagonie restauracyjnym w ślicznej komitywie, jakkolwiek jeden drugiego już po dzieńśięććroć od czci i wiary odsądził, jak na wystawie było gorąco, jak na konferencji bankietowano, ale o tym, co może przedstawiać znaczenie polityczne, — nie dowie się niczego.

Zresztą i obrady samej konferencji były przeważnie „poufne“, a na posiedzeniach jawnych ograniczano się do frazesów rozpaczliwie pustych i zapewnień o gorącej miłości, panującej pomiędzy „narodami słowiańskimi“. Uchwały zaś konferencji są — poza jakąś komiczną uchwałą w sprawie turystyki i w sprawie handlu księgarskiego — postanowienie urządzenia zjazdu słowiańskiego, wystawy słowiańskiej w Moskwie i banku słowiańskiego. Wystawa oczywiście będzie zależała od rządu stołypinowskiego, gdyż taka zabawka kosztuje bardzo dużo, a żadne uczucia braterstwa słowiańskiego nie skłonią burżuazji samej do pokrycia tych kosztów. Bank słowiański jest pomysłem niezłym: jeżeli się uda (jak to się projektuje, dosyć naiwnie dyskontując z góry nowe „trójpzymierze“) skłonić finansistów angielskich i francuskich do ulokowania kilkudziesięciu milionów rubli w tym słowiańskim „businessie“, to aferzyści finansowi mogą na tym zrobić nielada interes. O politycznym znaczeniu całej sprawy milczano uporczywie, rozumiejąc widocznie, że realizować tę rzecz należy już wyłącznie do Stołypina. Natomiast gadano dużo o kulturze, nie wyjaśniając ani na jotę, jakie mogą mieć wspólne zadania kulturalne słowiańskie, skoro poszczególne narody słowiańskie mają zgoła odrębne warunki polityczne i ekonomiczne dla swego rozwoju.

Jest atoli jakiś rezultacik: zapadła deklaracja, opiewająca, że „każdemu narodowi słowiańskiemu mają być gwarantowane warunki samoistnego rozwoju kulturalnego“. Wielka stąd radość i zaraz też spór o to, komu należy się zasługa przeforsowania tej deklaracji. Pan St. A. Kempner reklamuje tę zasługę dla delegatów „postępowych“, z czego sobie kpi pan Dmowski. O co spór? A to, że, jak się dowiadujemy z niedyskretnych półślówek o „poufnych“ naradach, pomiędzy delegatami polskimi a rosyjskimi rozprawiano bardzo burzliwie nawet o — autonomji Królestwa. W tym sęk! Panowie Bobrinskij i Krassowskij na autonomję oczywiście nie zgadzają się, więc polscy delegaci zadowolili się ową czczą gadaniną o wiszącym w powietrzu prawie „samoistnego rozwoju kulturalnego“, które nikogo do niczego nie obowiązuje. Wobec całej tej gmatwaniny warto przypomnieć rzecz elementarną: Każdy ruch kulturalny jest ruchem politycznym, bo żadne z zadań kulturalnych nie może być urzeczywistnione bez walki przeciw siłom, które stają w poprzek dążeniom do wyższej kultury, zatym bez walki politycznej. Tak jest wszędzie, tak jest w dwójnasób w Polsce. Trzeba być bezczelnym szalbierzem politycznym, by głosić, że można walczyć o kulturę polską, nie walcząc z caratem i biurokracją w Rosji, z junkierskim rządem w Prusiech, ze zgnilizną monarchiczną w Austrii. Kto neguje rzecz tak oczywistą, ma snąć powody do maskowania swoich zamiarów. W danym wypadku negowanie politycznego charakteru całej tej imprezy jest li tylko środkiem ku uśpieniu sumienia publicznego. Lecz skoro delegaci polscy zdobyli się na to, że mogli podpisać wspólnie z członkami prawicy w Dumie Państwowej, jak Bobrinskij i Krassowskij, deklarację o „kulturze“ i jeżeli pan Kempner chce to zaliczać jako zasługę delegatom polskich „postępowców“, szalbierze demaskują się mimowoli. Trudno zaiste wymyśleć rzecz bardziej żelzywą, niż wykazanie punktu stycznego pomiędzy zdeklarowanymi reakcjoniastami rosyjskimi a „postępem“ polskim.

Zresztą wszystkie te gadaniny o „kulturalnym“ a nie politycznym znaczeniu konferencji zostają obalone przez opublikowanie

komunikatu stańczykowskiej „Rady Narodowej“ galicyjskiej, w którym powiedziano: „Powinno być zaznaczone z naciskiem, że związek taki (narodów słowiańskich) nie ma żadnych dążeń nieprzyjaznych, skierowanych czy to przeciw rządowi państw, czy przeciw innym narodom“. To znaczy poprostu — niech żyje trójlojalność! to znaczy — wyrzeczenie się walki z rządem rosyjskim, duszącym kulturę polską. „Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy“ — mają w myśl tego komunikatu powtarzać „przedstawiciele narodu“ polskiego w Petersburgu, Berlinie i Wiedniu. Przeciw temu komunikatowi, który ich dotyczy bezpośrednio, delegaci z Królestwa nie mieli nic do powiedzenia. Nie tylko toczenie walki politycznej jest czynem politycznym, jest nim również jawne wyrzekanie się tej walki. Wyrzekając się walki z caratem i układając wspólne z Bobrinskim deklaracje, negować polityczny charakter całej tej imprezy i pleść duby smalone o „kulturze“ to znaczy zamydlać oczy polskiemu społeczeństwu.

Czy się szalbierstwo uda? czy ta nieufność i oporność wobec ruchu „słowiańskiego“, która dotąd się przejawia wśród inteligencji i drobnomieszczaństwa, zostanie uspioną i usuniętą? Na to pytanie trzeba niestety odpowiedzieć twierdząco. Wszystkie bez wyjątku warstwy burżuazyjne w Polsce musiały stanąć przeciw rewolucji po stronie kontrrewolucji, więc — powtarzamy — ostatnią konsekwencją tej polityki jest ugoda, jest wysługiwanie się caratowi. Dlatego tłum drobnomieszczańskich w końcu bez wątpienia pójdzie za rzeźnikami burżuazji i wielkiej szlachty — za inicjatorami tej hecy „słowiańskiej“.

Jednym z pobocznych wyników owej konferencji jest jeszcze dalsze zatarcie granic pomiędzy stronnictwami burżuazyjnymi. Nadworny szopkarz ugodowców, Wuk, ma zupełną rację, gdy, opisując z lubością „dobrą komitowę“, jaka panowała wśród „delegatów“ w wagonie pomiędzy Krakowem a Pragę, taki dodaje komentarz: „Z tego względu ta wspólna robota stronnictw, po raz pierwszy na taką przedsięwziętą skalę, ma, jak sądzę, pewne wychowawcze znaczenie“. O pewnie! Wszak to po raz pierwszy Narodowa Demokracja, realisci i „postępowcy“ pracowali jawnie i zgodnie pod zaszarganym znakiem „ugody“ na rzecz caratu i rządu stołypinowskiego. Wspólne tarzanie się w błocie nierządu podobno najskuteczniej zbliża ludzi do siebie w życiu prywatnym, jak w polityce. Dmowski, Straszewicz czy Łypacewicz to od dni konferencji Praskiej już tylko różnica w odcieniu, zabarwienie jedno, to jedna liberja fagasów carskich.

Jak powiedzieliśmy, zupełnie zrozumiałym jest, że wyodrębnią się z drugiej strony grupy, protestujące przeciw zdradzie tych hasel, które wczoraj jeszcze były głoszone za święte. Ta opozycja rozpoczęła się już zresztą przed imprezą „słowiańską“. Już na początku r. b. zaczęła się np. scysja wśród „Narodowego Związku Robotniczego“, i wówczas została wydana owa odezwa, podpisana przez „Tymczasowy Komitet frakcji niepodległościowej N. Z. R.“, piętnująca w dosadnych słowach zdradę dawnych hasel przez Narodową Demokrację. Te słowa warto sobie teraz przypomnieć: „Nęcono nas hasłem niepodległości, nadzieją walki krwawej z wrogiem, tymczasem czyniono z nas jakichś pachółków endeckich do przeprowadzenia wyborów do pierwszej, drugiej i trzeciej Dumy; oszukano nas, wmawiając, że wybieramy bojowników sprawy narodowej, a podsunęto narodowi na posłów przeważnie ludzi małych, tchórzliwych, bezmyślnych, którzy w Dumie popisywali się rosyjskim patriotyzmem, głosowali

za armją rosyjską, zdawali się na łaskę i niełaskę Rosji, wyrażali swą część podczas dyskusji adresowej dla cara moskiewskiego. Aby wyborcy nie mogli rozpoznać lichej wartości kandydatów na posłów, endecja nie dopuszczała dyskusji na zgromadzeniach wyborczych, posługując się przytym robotnikami polskimi". Stwierdzają następnie autorowie odezwy, że „endecja” splugawiła nawet prasę nielegalną, „wydawaną z niebezpieczeństwem losu i bytu przez nas”, by „w tej prasie (Kiliński i Pochodnia) szerzyć hasła zdrady narodowej”. Odezwa kończy się wezwaniem: „Wobec złej woli, oszukaństwa i głupoty, która cechuje stronnictwo N. D. i jego agentów w Narodowym Związku Robotniczym, wzywamy Was, bracia robotnicy, do zerwania ze stronnictwem N. D., z Ligą Narodową i z Zarządem N. Z. R.”.

Pocieszającym objawem jest, że pośród Narodowej Demokracji robotnicy właśnie zaprotestowali przeciw oczywistej zdradzie hasel walki. Świadczy to, że można robotników tumanić i zwodzić, lecz nie może liczyć na poparcie nawet tych obalamuconych robotników stronnictwo, które staje jawnie po stronie caratu. Takie protesty być bardzo może wzmogą się jeszcze teraz, kiedy heca „słowiańskiego zbratania” dostarcza nowych dowodów, dokąd prze kontrrewolucyjny prąd całą burżuazję. Protesty te najprawdopodobniej przybiorą formę właśnie podkreślania „niepodległości”, gdyż to będzie naturalnym odruchem. Lecz owe „frakcje niepodległościowe”, o ile będą drobnomieszczańskie, są skazane na bezsilność, bo są sprzeczne zarówno z całym burżuazyjnym rozwojem kraju, jak i bezpośrednio z interesami klasowymi samego drobnomieszczaństwa, o ile zaś są robotnicze — muszą siłą konieczności przejść ewolucję, która je doprowadzi do szeregów Socjaldemokracji, do szeregów rewolucyjnego proletariatu.

Spartacus.

Krytyka i bibliografia.

Julius Deutsch: Geschichte der oesterreichischen Gewerkschaftsbewegung. Verlag der Wiener Volksbuchhandlung Ignatz Brand. XI + 332 str. Wien 1908. (Juljusz Deutsch: Historia austriackiego ruchu zawodowego).

J. Deutsch, autor poważnej rozprawy o pracy dzieci, dowiódł i niniejszą książką, iż w osobie jego ruch socjalistyczny nabył pilnego i pożytecznego pracownika na polu literatury o kwestji robotniczej. Zebrał on i starannie obrobił obszerny porozrzucany materiał, łącząc go w ogólny obraz historii ruchu zawodowego w Austrii. Obraz ten nie uwzględnia historii poszczególnych związków ani też historii ruchu zawodowego w poszczególnych krajach austriackich; podczas gdy pierwsza okoliczność jest wytłumaczoną zupełnie przez fakt, iż autorowi chodzi o obraz ogólny, drugą należy przepisać temu, iż Deutsch nie posiada języków słowiańskich; wskutek tego o dziejach ruchu zawodowego np. w Galicji nie dowiadujemy się z książki prawie nic.

Przypatrzmy się treści. Oto spis jej rozdziałów: 1) Uwagi ogólne (autor daje tu definicję związków zawodowych i omawia powody ich późnego powstania i słabego początkowo rozwoju w Austrii); 2) początki współczesnego ruchu zawodowego w Austrii; 3) czas pierwszej swobody ruchu; 4) rozkwit przemysłu i rozwój ruchu za-

wodowego; 5) pierwsze spory partyjne i dezorganizacja; 6) drobna praca; 7) radykalny i umiarkowany kierunek w ruchu socjalistycznym i w związkach zawodowych; 8) zjednoczenie partji. Zjednoczenie partji w roku 1889 sprowadza również zjednoczenie ruchu zawodowego i rozpoczyna okres dojrzwania związków zawodowych, którego obraz zajmuje drugą część książki. Treść jej rozdziałów jest następująca: 1) warunki rozwoju związków zawodowych i pierwsze wyniki ich walki; 2) reorganizacja (pierwsze zjazdy, powstanie Komisji Związkowej); 3) na drodze ku centralizacji; 4) spokojny rozwój; 5) rok walki 1900; 6) ruch zawodowy podczas kryzysu; 7) konflikt narodowy; 8) bierny opór kolejarzy; 9) walka z organizacjami przedsiębiorców.

Pod suchemi tytułami ukrywa się tu bogata i różnorodna treść. Deutsch kreśli zmiany zachodzące w stanie przemysłu i przedstawia w związku z niemi przejawy ekonomicznej walki klasy robotniczej oraz rozwój form jej organizacji. Opisując najważniejsze strejki, umożliwia zarazem w pewnym zakresie poznanie zmian w położeniu klasy robotniczej, jak również specjalnych dolegliwości poszczególnych jej warstw. Malując rozwój organizacji zawodowej, zapoznaje czytelnika ze zmianami jej form oraz ze stanowiskiem związków zawodowych względem poszczególnych kwestji tak organizacyjnych, jak też i dotyczących funkcji związków. Uważne przestudjowanie materiału, przytoczonego przez Deutscha, rezolucji zjazdów pojedynczych związków, jak też i ogólnozwiązkowych oraz głosów prasy zawodowej ułatwi czytelnikowi nie tylko zrozumienie zasadniczych kwestji ruchu zawodowego, ale nadto (co jest rzeczą niezmiernie ważną) uwidoczni mu, iż niema tak słusznej i dobrej formy organizacyjnej, któraby się dała wszędzie zastosować lub bez zmian nagle wprowadzać. Pod tym względem nadzwyczaj ciekawe są dzieje centralizacji związków zawodowych.

Równolegle do historii ruchu zawodowego kreśli Deutsch dzieje stosunku rządu do związków zawodowych na polu ustawodawstwa i administracji oraz stosunek ruchu zawodowego do politycznej organizacji klasy robotniczej — do Socjaldemokracji. Ponieważ brak dotychczas historii austriackiej Socjaldemokracji, a bez uwzględnienia jej nie można napisać historii ruchu zawodowego, szkicuje autor przeszłość austriackiej partji samodzielnie, dając obraz powstania ruchu lassale'ańskiego w Austrii, jego zmiany, wpływ niemieckiej Socjaldemokracji, rozłam w ruchu, zjednoczenie, dokonane na zjeździe w Hajnfeldzie. Wszystko to staje żywo przed oczami czytelnika, który wobec braku nawet szkicowo napisanej historii austriackiej Socjaldemokracji (np. „Handbuch des Sozialismus“ Hugo i Stegemana, zawierający taki szkic, jest już dawno wyczerpany) słyszy o dziejach tych może po raz pierwszy.

Nie mogąc dać wobec braku miejsca streszczenia książki, chcemy zwrócić uwagę czytelnika na dwie strony omawianej materji: na stosunek związków zawodowych w Austrii do partji socjaldemokratycznej oraz na konflikty narodowościowe w związkach.

Dzieje austriackiego ruchu zawodowego połączone są ściśle z dziejami austriackiej Socjaldemokracji. Stosunek związków do partji nie ulegał tu właściwie żadnym zmianom. Od powstania związków zawodowych do chwili obecnej ożywia je ten sam duch, co partję polityczną proletariatu, kwestje sporne, poruszające umysły jej członków, przenoszą się do związków zawodowych, które stanowią z partją pod względem duchowym jeden organizm. Mówi o tym we wstępie

do książki Deutscha przywódca austriackiej Socjaldemokracji dr. Wiktor Adler:

„Rzecz zrozumiała, że nie można było napisać historii związków zawodowych, nie przedstawiając wszędzie ich łączności z ruchem politycznym; w ten sposób stała się książka ta z konieczności przyczynkiem do historii partii. Socjaldemokracja i ruch zawodowy są dwiema stronami tego samego ruchu proletariackiego; w Austrii są one bardziej, niż gdzieindziej, ze sobą połączone. Łączności tej nie mogą rozerwać ani fantastyczne teorie ludzi, którzy również mało wiedzą o związku zawodowym, jak o Socjaldemokracji, ani nonsensowność (Abgeschmacktheit) przestarzałych praw, oddzielających ściśle „polityczne“ organizacje od „niepolitycznych“, podczas gdy w życiu nie można ich taksamo oddzielić, jak dwu funkcji jednego ciała. Rzecz zrozumiała, że i w Austrii czynimy zadość formalnemu przepisowi prawa, i związki nasze są tak „niepolityczne“, że każdy prokurator może być zupełnie zadowolony. Nie przeszkadza to jednak temu, że Socjaldemokracja i związki zawodowe są dwoma organami i dwiema formami działalności tego samego klasowo uświadomionego proletariatu i że dlatego oba te organy ożywione są jedną i tą samą wolą i używane świadomie dla osiągnięcia tego samego celu. Historia austriackiej Socjaldemokracji, która jest częstokroć historją cierpień, doprowadziła szczęśliwie do tego, iż mimo tylu wewnętrznych walk nie powstał nigdy antagonizm między związkami a partją i prawdopodobnie nigdy w przyszłości nie powstanie. Związek zawodowy jest kręgosłupem organizacji politycznej, a każdy rozumie, iż równie jak nie może żyć ciało bez kręgosłupa, taksamo nie może sam kręgosłup prowadzić samodzielnego życia. Polityczną i zawodową organizację ożywia w Austrii jeden duch i związkowiec, nie będący socjaldemokratą, uchodziłby za monstrum tak samo, jak socjaldemokrata, odnoszący się obojętnie do ruchu zawodowego poczytywany byłby za marną głowę.

Na tym samym stanowisku co Adler stoi i Deutsch. Że poglądy ich nie są indywidualnemi, dowodzą tego liczne rezolucje zjazdów zawodowych, przytaczane przez autora ustępy z artykułów prasy zawodowej, redagowanej przez samych robotników. I tylko na tle tej łączności można zrozumieć konflikt narodowościowy, który dwukrotnie powstał w austriackim ruchu zawodowym, a który Deutsch przedstawia dokumentalnie.

Jak wiadomo, austriacka Socjaldemokracja składa się z organizacji narodowych, a nie terytorjalnych (w Czechach np. istnieje niemiecka i czeska, w Galicji polska i rusińska Socjaldemokracja). Nie miejsce tu na rozpatrywanie kwestji, o ile ta forma organizacji odpowiada interesom ruchu zawodowego; faktem jest, że przejawia się w niej niejednokrotnie zacietrzewiony nacjonalizm, z nieufnością spoglądający nawet na towarzyszy z innej narodowości, wietrzący wszędzie chęć wynaradawiania i t. d. Wyrazem tego ducha jest tendencja do rozbicia związków zawodowych na grupy narodowościowe, która znalazła wyraz u Czechów i spowodowała silny konflikt w organizacjach zawodowych. Czesi zażądali stworzenia samodzielnych komisji zawodowych, kierujących ruchem zawodowym każdej narodowości, przyczem każda z tych komisji narodowościowych rozciągałaby swą działalność na całe państwo. Z przedstawicieli narodowych komisji związkowych składałaby się Centralna Komisja, załatwiająca sprawy wspólne. W każdym związku istniałby, podług tego projektu, grupy

miejscowe narodowościowe, podlegające każda swojej komisji związkowej. Zarządy poszczególnych związków zawodowych składałyby się z przedstawicieli poszczególnych narodowości w stosunku, odpowiadającym liczbie członków i t. d. Z żądań tych, nie wynikających bynajmniej z potrzeb ruchu zawodowego, można odrazu poznać, jaki mają one podkład duchowy; mowy zaś czeskich delegatów na zjeździe zawodowym w roku 1905 i inne piśmienne dokumenty, przytoczone przez Deutscha (zwłaszcza elukubraty przywódcy czeskiego Nemca), potwierdzają w zupełności pogląd, iż cała sprawa jest płodem wojującego nacjonalizmu. Nic dziwnego, iż na zjeździe ogólnozawodowym, odbytym w grudniu 1905 r., żądania Czechów zostały odrzucone; za projektem czeskim głosowali delegaci, reprezentujący tylko 2364 głosów; przeciw głosowali delegaci, przedstawiający 197 202 głosów. Natomiast przyjęto wniosek Centralnej Komisji, iż do 12 jej członków, wybranych przez zjazd ogólnozwiązkowy i przebywających zawsze w jednym mieście, posyłają krajowe Komisje Zawodowe (czeska, morawska, galicyjska i krajów nadbrzeżnych) po jednym jeszcze delegacie. Do ugody nie doszło. Czeska Komisja Zawodowa nie uznała uchwały kongresu i działa nadal w duchu przez kongres potępionym. Jakie jest powodzenie jej pracy, wskazują cyfry za rok 1906: tylko $\frac{1}{5}$ część czeskich robotników, należących do austriackich związków zawodowych, uznaje czeską Komisję Zawodową. Towarzysze austriaccy nie dali się jednak wyprowadzić z równowagi wybrykiem czeskiego socjalnacjonalizmu. Potępiając jego szkodliwe dla ruchu robotniczego tendencje, starali się znaleźć drogę, prowadzącą do zakończenia konfliktu. Szczególnie udatną próbę w tym kierunku zrobił zjazd metalowców, uchwalwszy po długich obradach prawie jednogłośnie rezolucję, którą tu ze względu na jej zasadnicze znaczenie przytaczamy:

„Warunkiem wszelkiej owocnej, podnoszącej położenie robotników działalności związków zawodowych w społecznej walce o wyzwolenie proletariatu wszystkich narodowości w państwie jest jednolitość zawodowej organizacji bojowej i możliwie zupełne zjednoczenie robotników każdej gałęzi przemysłu i jej bocznych rozgałęzień. By organizacje te mogły wypełnić swe główne zadanie, musi być prowadzona wśród klasy robotniczej praca uświadamiająca w duchu socjaldemokratycznym. Organizacja zawodowa wykona pracę pożyteczną dla wyzwolenia proletariatu tylko wówczas, gdy propaganda jej i działalność przepojone będą myślą socjaldemokratyczną, gdyż partja i związki stanowią w społecznej walce emancypacyjnej jednako niezbędne organizacje proletariatu wszystkich narodowości. Członkowie partji i związków zawodowych powinni się przeto popierać we wszystkich swych wystąpieniach i pracować w interesach walki proletariatu o wyzwolenie. Ustanawianie form związków i decydowanie o taktyce walki zawodowej należy do związków zawodowych i ich zjazdów.

„W tak wielojęzycznym państwie, jak Austria, stoją rozwojowi związków zawodowych na przeszkodzie o wiele większe trudności, niż gdzieindziej, pochodzące z różności języka i potrzeb członków rozmaitych narodowości. Aczkolwiek trudności te są poważne, to jednak muszą w interesie proletariatu zostać usunięte przez prowadzące do celu porozumienie. Trudności narodowościowe i spowodowane przez nie rozterki nie powinny doprowadzać do

stworzenia narodowych separatystycznych organizacji zawodowych i do rozbicia zwartego ruchu zawodowego.

„Jednolitość organizacji zapewnia szybszy postęp walce o społeczne wyzwolenie klasy robotniczej rozmaitych gałęzi przemysłu; jest przeto obowiązkiem członków wszystkich naszych organizacji przyczyniać się do wzmocnienia zwartości naszej organizacji, czynić wszystko dla wzmocnienia uczucia solidarności wśród metalowców wszystkich narodowości, pracować nad dalszą budową jednolitej organizacji wszystkich metalowców.

„Dla usunięcia nieporozumień, istniejących między naszymi członkami a organizacją, uchwała zjazd związku:

„Składki za członków grup, znajdujących się w czeskich okolicach Czech, zostają od 1 stycznia 1907 r. przesyłane wprost przez kasę centralną.

„Wszędzie tam, gdzie niema czeskiej grupy miejscowej, a walka zawodowa wymaga jej stworzenia, gdzie istnieją warunki dla jej trwałego bytu, albo tam, gdzie co najmniej 50 członków związku założenia jej się domaga, należy stworzyć czeskie grupy miejscowe, do których należeć będzie, w okolicach pod względem językowym mieszanych, obowiązek kierowania zawodową akcją naszej organizacji wspólnie z innymi grupami naszego związku.

„Przy wyborach Zarządu związku i Komisji Kontrolującej na każdorazowym zjeździe zważać należy na poszczególne narodowości.

„Uznajemy praską Komisję Zawodową i czeskie kongresy dla czeskich grup miejscowych w Czechach. Uchwały czeskiego kongresu zawodowego, na który Centralny Zarząd naszego związku ma prawo wysłać delegatów, nie mogą znajdować się w sprzeczności z uchwałami ogólnie państwowych zjazdów zawodowych i zjazdów naszego związku, jeżeli mają być uznane i przeprowadzane przez nasz związek“.

Podobne rezolucje uchwaliły i inne związki zawodowe. Podawszy cały materiał odnoszący się do tego sporu, omówiwszy jego źródła i próby rozwiązania, formułuje Deutsch w następujący sposób projekt załatwienia tej sprawy. „Międzynarodowość (t. j. ogólnopaiństwowa organizacja i załatwienie. K-ek.) działalności, dotyczącej walki i zapomóg, międzynarodowość administracji, ale narodowa kontrola, jakoteż narodowa agitacja (t. j. prowadzona w języku ojczystym) i także wychowanie kulturalne... Międzynarodowa (t. j. scentralizowana i obejmująca całe państwo. K-ek.) Komisja Związkowa, międzynarodowe (zjednoczone pomimo różnice narodowościowe. K-ek.) związki, ale krajowe komisje jako centry agitacyjne i narodowe sekcje agitacyjne w poszczególnych okolicach“. Takie jest zdanie autora, a ustępy pracy jego, poświęcone rozpatrzeniu sporu narodowościowego (str. 223—233 i 280—304) należą do najbardziej zajmujących w książce.

Oceniając dzieło Deutscha, można w zupełności przyłączyć się do zdania Wiktora Adlera, iż „każda strona książki zawiera zajmujące wyjaśnienia, wielką ilość dawno zapomnianych dokumentów, wykrywa związki, zachodzące między zjawiskami, teraz dopiero zrozumiałe“. Duch, który ją ożywia, to nie wązki rachunkowy światopogląd ograniczonego związkowca, lecz szeroki pogląd socjaldemokraty-związkowca, pojmującego tendencje rozwoju i potrzeby całokształtu ruchu robotniczego.

K-ek.

Przegląd czasopism.

Le Mouvement Socialiste.

W 2-gim czerwcowym zeszycie *Mouvement Socialiste*, organu francuskich syndykalistów, Hubert Lagardelle w artykule: „*Les Caractères généraux du Syndicalisme*“ (Ogólne cechy syndykaliizmu) charakteryzuje syndykalistyczny prąd w ruchu robotniczym, — który Socjaldemokracja, jak wiadomo, energicznie zwalcza zarówno we Francji, jak i we Włoszech — w następujący sposób. Syndykalizm jest teorią, która uważa rewolucyjne robotnicze organizacje zawodowe za zdolne do dokonania przewrotu w społeczeństwie. Syndykalizm jest socjalizmem robotniczym. Swym pojmowaniem walki klasowej przeciwstawia się on czysto cechowemu ekonomizmowi, którego przykładem są stare angielskie trade-uniony; szczególne znaczenie, które nadaje on instytucjom proletariackim, odróżnia go od socjalizmu parlamentarnego, jego zaś dążenie do pozytywnych zdobyczy i pogarda dla wszelkiej ideologii wyodrębnia go od wulgarnego anarchizmu.

Tak często mieszano syndykalizm z trzema temi kierunkami, że okazuje się niezbędnym zaznaczenie tego, co go od nich różni. Podkreślając owe różnice, zrozumiemy lepiej jego istotny charakter, starając się zaś poznać, czym nie jest syndykalizm, dowiemy się, czym właściwie jest.

Cechowy ekonomizm i syndykalizm mają wspólne rysy podstawowe, bo oba powstały na gruncie organizacji zawodowych. Ale ekonomizm nie chce odnawiać świata: chce tylko poprostu poprawić los robotników. Reprezentuje on tylko jedną z licznych grup interesów, od których roi się dziś dokoła nas. Podobnie jak łączą się kapitaliści, aby możliwie najkorzystniej wyzyskać swe kapitały, — łączą się i robotnicy w organizacje zawodowe dla osiągnięcia doraźnych korzyści.

Syndykalizm więc zarzuca ekonomizmowi, że potęguje on egoizm zawodowy i zmienia syndykaty robotnicze w przedsiębiorstwa, mające jedynie na celu interesy materialne. Interesy jednostkowe każą im zapominać o dobru ogółu — i proletarijat rozpada się na mnóstwo niczym niespojonych grupek, z których każda ma na oku swój własny interes. Nie jednocy ich żadna wspólna walka, nie wiąże żadna wewnętrzna spójnia, nie porusza żadna wielka idea polityczna.

Nadto ekonomizm wytwarza przeciwieństwo pomiędzy członkami związków a niezorganizowaną masą. Stwarza on zwartą arystokrację robotniczą, która z lekceważeniem spogląda na gorzej płatnych, niezorganizowanych, obarczonych dłuższym dniem roboczym współbraci, których cierpień nie dzielą, o których walki się nie troszczą ci pyszni parwenjusz, zazdrośni o swe przywileje. Stawiając sobie ideał mieszczańskiego dobrobytu, jak kapitaliści, postępują, podobnie jak oni, po kupiecku. Czując, że pieniądź rządzi światem, syndykaty te stają się bankami i kasami ubezpieczeń proletariatu, gromadzą kapitały i starają się o wysokie odsetki.

Z punktu widzenia uczuć praktycznych metoda ta ma naturalnie wielkie zalety, i my sami bez wątpienia nieraz nie możemy się oprzeć zdumieniu, widząc, jak wielkie korzyści materialne osiąga taka praktyka związkowa. Ale czyż socjalistyczny syndykalizm nie zwalcza właśnie tej nowoczesnej tendencji, która wszystko ocenia według wartości kupnej i zawsze dąży do chwilowych tylko zysków?

Socjalizm parlamentarny stawia sobie wprawdzie ten sam cel co i syndykalizm: wspólną własność środków produkcji. Lecz syndykalizm ma parlamentarnemu socjalizmowi to do zarzucenia, że zaczyna on od ekonomicznego fatalizmu, aby skończyć wreszcie na socjalizmie państwowym i demokratycznej korupcji.

Przedstawiciele parlamentaryzmu uważali „rozwój ekonomiczny“ za tajemniczą dźwignię przewrotu społecznego i doprowadzali przytym do karykatury klasyczne zdania Marxa o postępie kapitalizmu. Kapitalizm

miał według nich automatycznie zrodzić „kolektywizm“, socjalizm miał z żelazną koniecznością wynikać z koncentracji przemysłu, centralizacji kapitału, wzrostu proletariatu. O dojrzałości proletariatu, o jego zdolności do pokonania burżuazji, o zdobyciu przezeń władzy politycznej nie było mowy. Wola robotników wznikała wobec fatalizmu ekonomicznego.

Z tym fatalizmem ekonomicznym kojarzył się taki sam fatalizm polityczny. Oba skrzydła parlamentarnych socjalistów, reformistyczne i rewolucyjne, wyznają ten optymizm, który wyobraża sobie, że dość jest zdobyć władzę państwową, aby zawałdnać światem. Oba jednakowo wierzą w magiczną siłę władzy i różnią się tylko w zdaniach co do środków jej zdobycia. Reformiści chcą ją zdobywać powoli, stopniowo, przez współdziałanie z innymi partjami, — aż do dnia, w którym staną się większością parlamentarną i posiadają ją zupełnie. Rewolucjoniści chcą ją zdobyć odrazu, za jednym zamachem, jako dyktaturę. Oba skrzydła widocznie nie podejrzewają nawet, że zdobycie władzy przez polityków socjalistycznych nie posunie sprawy ani o włos. Martwy, stojący poza społeczeństwem organizm państwowy nie stworzy niczego; twórczym jest tylko życie.

My, syndykalisci, sądzimy, iż ten błąd socjalizmu parlamentarnego wypływa z przypuszczenia, że partje są politycznym wyrazem klas. Lecz o ile klasy są naturalnymi twórcami ekonomicznymi i historycznymi, o tyle partje są przeciwnie sztucznymi produktami społeczeństwa politycznego. Ich zapasy i intryki nie dotyczą w gruncie rzeczy rzeczywistego życia społeczeństwa: niema żadnego związku pomiędzy dojściem do władzy polityków socjalistycznych a postępem klasy robotniczej. Dowiodły tego doświadczenia Francji. Udział Milleranda, Brianda, Vivianiego w rządzie w niczym nie zmienił natury państwa, ani nie wpłynął na przeciwieństwa klasowe, ani też nie dał proletariatowi uzdolnienia, na którym mu zbywa. Czy niektórzy socjaliści będą ministrami, czy wszyscy ministrowie socjalistami, robotnicy pozostaną jednak robotnikami.

Lecz skupiając w ten sposób wszystkie nadzieje na cudotwórczej interwencji państwa, socjalizm parlamentarny osłabia proletariata i odwraca go od jego pozytywnych zadań. Więcej jeszcze: żądając nieograniczonego rozszerzenia funkcji państwa, staje się wulgarnym sojusznikiem państwowym.

Przyczyną tego jest naśladowanie demokracji w jej metodach. Bez wątpienia, demokracja stoi wyżej od ustrojów dawniejszych: zapewnia ona wolność polityczną i pozwala na swobodną krytykę. Lecz obok tych niezaprzeczonych postępów o charakterze negatywnym, niepodobna wskazać żadnej pozytywnej zdobyczy, w którejby tkwiły płodne zawiązki.

Jednostka i państwo, te dwie podpory demokracji, oddzielone są od siebie przepaścią; łączącemi je ogniwami mają być partje. Rolą ich jest wykrywanie i wyrażanie opinii publicznej. Zastępują one obywatela, działają zamiast niego, są jego „przedstawicielkami“. Obywatel jest tylko statystą w dramacie: grają za niego inni. Obywatel abdykuje na rzecz swoich „pełnomocników“.

I właśnie tę zasadę „akcji pośredniej“ syndykalizm potępia, bo kumpuje ona indywidualność ludzką. Mechanizm przedstawicielstwa wychodzi z założenia, że obywatel jest bezsilny, a bezsilny jest dlatego, że jest niekompetentny, a niekompetentny dlatego, że jest abstrakcyjną, oderwaną od rzeczywistego życia jednostką. Poddaje się mocy przedstawicielstwa, jest bezczynnym, może tylko czekać. Do słabości przyłącza się narzucone zgóry lenistwo. Obywatel nie ma już poczucia odpowiedzialności, nie wie, czym jest wyteżenie, wydatkowanie siły. Musi on tylko co 4 lata występować jako wyborca, a i tu jeszcze do zwiększenia jego gnuśności przyczynia się demoralizacja. Do tego przyłącza się jeszcze łatwowierność i nieufność. Jakże bowiem mogłoby być inaczej? Wyborca musi przecież daryć wybranego swym zaufaniem; wybrał go za dane obietnice i wierzy w jego zdolność dotrzymania tych obietnic. Ponieważ jednak obywatele zbyt często bywają oszukiwani przez swych „mężów zaufania“, nic dziwnego, że ze strachu stają się nieufni i często tracą swą ufność lub przenoszą ją na kogo innego. Stosownie do tego rosną lub maleją partje przy wyborach. I socjalizm parlamentarny nie

zmienił w tym nic i nie potrafił przerobić ołowiu na szczere złoto. Stał się taką samą partją jak i inne, nie gorszą i nie lepszą, partją, która odegrała co prawda pewną rolę, ale świata przeobrazić nie zdołała.

Teoretycy anarchizmu w ostatnich czasach silnie atakowali syndykalizm. Nie tylko indywidualiści, lecz nawet anarchiści komunistyczni potępiają jego ogólny kierunek i jego niechęć do inteligencji. Syndykalizm zrodził się z doświadczenia robotników, nie z teorii. Lekceważy on dogmaty i formuły i posiada metodę czysto realistyczną. Wychodzi z najniższych założeń ekonomicznych i od nich wznosi się na wyżyny najogólniejszych poglądów. Wiedzie on przedewszystkim robotników do obrony ich interesów bezpośrednich, aby potem ze stanowiska tej działalności ogarnąć wzrokiem całość. Jego zapatrywania wyrastają z głębin życia. Jego teoria wypływa z praktyki.

W anarchizmie przeciwnie — akcja rodzi się z idei. Ekonomja ustępuje w nim pierwszeństwa ideologii. Anarchizm odrzuca również świadomość klasową i walkę klasową, które są alfą i omegą syndykalizmu. Nie zwraca się on specjalnie do robotników, lecz do wszystkich ludzi. Nie jest ruchem robotniczym, lecz ogólnoludzkim. Stąd jego kult ideologii i intelektualizmu we wszelkich formach i cześć dla słowa pisanego, które graniczą wprost z fanatyzmem.

Państwo anarchiści negują i bezlitośnie krytykują jego wady; podobnie jak Spencer, przeciwstawiają mu jednostkę. Syndykalizm przeciwnie osądza tylko jego pozytywne czyny i, odbierając mu kolejno jego funkcje, spodziewa się stopniowo ograniczyć jego panowanie.

W kwestji parlamentaryzmu wykazują się nowe różnice. Anarchizm jest antiparlamentarny; żąda on od obywatela, aby nie głosował i zachowywał się obojętnie względem maszyny państwowej. Syndykalizm jest pozaparlamentarny: ignoruje on obywatela i uznaje tylko producenta. Przysięgam jednak nie narzuca żadnego przymusu członkom syndykatów, jeśli ci chcą dla innych celów korzystać z partji politycznych.

Pomiędzy więc anarchizmem a syndykalizmem niema żadnego podobieństwa. Jest wprawdzie nowy prąd — anarchizm robotniczy, który chce być uważany za jednoznaczny z syndykalizmem. Ale ten znowu nie chce nic słyszeć o tradycyjnych teoriach anarchistycznych; uważa on oficjalny anarchizm za „zboczenie“ i jako takie zwalcza.

Jeśli więc syndykalizm nie jest ani cechowany ekonomizmem ani socjalizmem parlamentarnym, ani anarchizmem, — czymże właściwie jest? Trafniej, niż nazwą „socjalizmu robotniczego“, możnaby go scharakteryzować słowami „socjalizm urządzeń“. Cóż to znaczy?

Syndykalizm wychodzi z założenia, że klasy społeczne różnią się swemi instytucjami i swemi poglądami prawnymi, moralnemi i politycznemi. Każda klasa odpowiednio do swej struktury ekonomicznej stwarza sobie własne organy walki, któremi popiera swe pojęcia prawne. Klasy społeczne ze swych pojęć, bardziej jeszcze niż ze swego sposobu życia, przedstawiają się obserwatorowi społecznemu, jako osobne pokłady, hermetycznie zamknięte w sobie. Każda z nich chciałaby narzucić społeczeństwu odrębne swe idee i swe instytucje. Walka klasowa jest w ostatniej linii tylko walką o prawo czyli o zasadę.

W chwili obecnej odgrywa się dramat społeczny pomiędzy burżuazją a proletariatem. Dziś klasa robotnicza jest klasą rewolucyjną, podobnie jak była nią kiedyś burżuazja wobec feudalizmu. I w dodatku jest ona jedyną rewolucyjną klasą, bo ze wszystkich klas wyzyskiwanych jest ona jedyną, której wyzwolenie nie da się pogodzić z zasadami kapitalistycznymi: własnością prywatną i państwem. Ona bowiem stoi poza państwem i własnością prywatną. I zadanie syndykalizmu na tym właśnie polega, by zorganizować robotników dla tryumfu nowego ideału, który noszą w sobie samych. I tym nowym ideałem jest prawo pracy do swobodnego organizowania się. Tylko w zjednoczeniu syndykalistycznym ucieleśnia się ten nowy ideał wolnej pracy w wolnym społeczeństwie.

Syndykat podobny jest budowie organizacji fabrycznej i stawia

producentów na gruncie samej produkcji. Organizuje on ich walki i troszczy się o elementarne ich potrzeby życiowe. Gdy zaś wznosi się ponad ciasne granice indywidualne i zwraca się już nie przeciw temu lub owemu kapitaliście lecz przeciw całemu kapitalizmowi, wówczas osiąga znaczenie polityczne i staje się instytucją rewolucyjną. Według słów Marxa syndykaty, o ile są przejęte wielkim ideałem, grają tę samą rolę w wyzwoleniu proletariatu, jaką kiedyś odgrywały gminy w wyzwoleniu burżuazji.

Tak więc syndykaliści w najmniejszej walce robotniczej odnajdują załącznik wielkiej walki klasowej. Czyli raczej walka klasowa jest tylko uogólnieniem tych drobnych codziennych rozterek, które można uważać za utarczki podjazdowe wielkiej wojny. Idźmy za biegiem tej walki robotniczej. Rozpoczyna się ona od nagłych, chaotycznych wybuchów. Pierwsze strejki są tylko przebłyskami niejasnego instynktu klasowego, wypływającego z rozpacz. Mają one ten jednak skutek, że dają robotnikom odczuć ich wspólność. Nie znają się oni wzajemnie, lecz sam kapitał swą karnością zmusza ich do łączności. Narzucona im przez wspólny warsztat solidarność utrwala się dzięki niejednokrotnym strejkom. Po rewolcie chwilowej w postaci koalicji następuje rewolta stała w postaci syndykatu.

Im ostrzejszą jest walka ekonomiczna, tym staje się też podnioslejszą. Z odosobnionego aktu pewnego związku strejk staje się aktem całej klasy. Syndykat nie tylko chce osiągnąć pewne korzyści materialne, lecz i odebrać fabrykantowi prawo wtrącania się do pracy. W ten sposób rośnie coraz bardziej idea wolnej pracy i narzuca się wszystkim robotnikom, biorącym udział w walce. — — —

Ostatni akt tej walki wyobrażamy sobie jako potężny strejk powszechny, proklamowany przez produkujących, którzy doszli już do takiego stopnia organizacji i siły, że mogą ręczyć za normalny dalszy bieg działalności przemysłowej. Przewrót społeczny nie będzie wymagał żadnego gwałtownego skoku: droga do niego pójdzie przez długo budowany most ekonomiczny.

Takie wysiłki osobiste, bezustannie ponawiane, stanowią akcję bezpośrednią. Niema tu żadnego przedstawicielstwa, żadnych mandatów: jest tylko ciągłe odwoływanie się do poczucia odpowiedzialności, do godności osobistej, do energii. Nikt tu nie zna kompromisów ani targów; jest tylko walka, pełna śmiałości czynów i zapału. Nie budzą się tu najnikczemniejsze instynkty bierności, lecz rozpala się entuzjazm jako dźwignia powszechna.

I więcej jeszcze. Syndykalizm nie tylko przeciwstawia swą akcję bezpośrednią pośredniej akcji demokracji, lecz i swą swobodną organizację jej organizacji przymusowej. Zamiast otwierać hierarchiczne formy politycznego społeczeństwa, syndykalizm gruntuje się na podstawach federalizmu, decentralizacji, autonomji. „Wolny syndykat w federacji, wolna federacja w konfederacji” — niema w tym nic, co by przypominało instytucje rządowe. Idzie bowiem o to, aby przyzwyczać masy, by się uczyły uwalniać się od swych panów i praktycznie organizować wolność.

Związek pomiędzy masą robotniczą a syndykatem nigdy się nie zrywa, podczas gdy masę wyborców od jej politycznych przedstawicieli dzieli bezdenna przepaść. Robotnicy zorganizowani i niezorganizowani pracują w fabryce i w życiu powszednim obok siebie, różniąc się tylko co do stopnia zdolności do walki. Walka ujawnia głębszą różnicę. Odważniejsi kroczą na czele i wystawiają się na ciosy — nie dla własnego interesu, lecz w obronie interesów ogółu. A zatem siła rewolucyjnych syndykatów zależy tylko od moralnych przymiotów ich członków. Nie mają środków przymusu, jak państwo. Nie mogą też, jak partje, obiecywać swym stronom posad i synekur po zdobyciu władzy; ale masa, która widziała je przy pracy, idzie za niemi instynktownie. I w tym wypadku masa robotnicza jest bardziej kompetentną, niż masa wyborcza. Syndykaty zajmują się jej kwestjami codziennymi, o których może ona sądzić. Wprawdzie, jak wszystkie wielkie masy, nie daje się ona łatwo poruszyć z miejsca, —

ale na pytania świadomej mniejszości zorganizowanych umie już odpowiadać. Doświadczenie wykazuje, że przy strejkach robotnicy różnych wyznań i poglądów politycznych stają jak jeden mąż. Podobnie jak koncentryczne koła tworzą się na powierzchni wody, gdy w nią wpadnie kamień, tak wszelkie wstrząśnienie klasy robotniczej działa na masy proletariackie.

W syndykalizmie wszystko jest nowym: idee i organizacja. Jest to śmiały ruch młodej, żadnej zdobyczy klasy, która wszystko czerpie z siebie samej, która potężnieje, stwarzając rzeczy wciąż nowe, nigdy jeszcze niewidziane, i która — że użyjemy słów Nietzschego — przyniesie światu przewartościowanie wszystkich wartości.

La Revue Socialiste.

W artykule p. t. „Le parti socialiste aux elections municipales“ Henryk Guernut charakteryzuje taktykę wyborczą zjednoczonej francuskiej partii socjalistycznej przy ostatnich wyborach do rad gminnych, które odbyły się w maju r. b. Przy wyborach tych partja poniosła klęskę, która na szczęście wyraziła się tylko w stracie mandatów, ale nie głosów. Niestety brak dokładnej statystyki nie pozwala na ścisłe porównanie cyfr z ostatnich wyborów z 1904 r. z cyframi r. 1908. Wzrost liczby głosów socjalistycznych można stwierdzić tylko w poszczególnych miejscach. W Paryżu zjednoczona partja socjalistyczna zyskała 10 297 głosów, podczas gdy niezawisła partja socjalistyczna straciła 7 302 głosów. Również w wielkich ośrodkach przemysłu daje się stwierdzić wzrost głosów socjalistycznych; w niejednym też większym okręgu przeszli po raz pierwszy do rady gminnej socjaliści. Ujęty w liczby wzrost ten przedstawia się coprawda skromnie, ale jeżeli zważyć na warunki walki, to nie należy jednak lekceważyć osiągniętych rezultatów. Jak przy wyborach do parlamentu niemieckiego w r. 1907 — mówi Guernut — tak przy obecnych wyborach francuskich zmobilizowali się przeciw nam wszyscy przeciwnicy, albowiem niespodziewane zwycięstwa nasze przy poprzednich wyborach gminnych w r. 1900 i 1904 podziałały na nich, jak czerwona płachta na byka. Wroga nam prasa pracowała tym razem przeciw nam z wszystkich sił, nie cofała się przed żadnym kłamstwem, przed rzucaniem podejrzeń na naszych kandydatów, nie uległa się żadnego, najbardziej bodaj nikczemnego oszczerstwa, wykoszławiła nasze idee i bez skrupułów obrzucała je błotem, ośmieszała naszą taktykę, krótko mówiąc, używała wszystkich środków, aby nam szkodzić. Wskutek tego i my prowadziliśmy walkę w sposób najzaciętszy, odepchnęliśmy niejednego sojusznika lub przychylnego dla nas sąsiada z najbliższej nam partji; w łonie zaś naszej organizacji „rozsądni“ musieli wysłuchać niejednego ostrego słowa, posłuch mieli tylko „śmiali“. Jasnym jest, że w takich warunkach pozostali przy nas tylko wypróbowani i przekonani bojownicy, że wykluczone było zdobycie nowych zwolenników z prawej strony — z lewego skrzydła radykałów. Jeżeli więc w takich warunkach partja zachowała przy wyborach dawną liczbę głosów, a nawet pomnożyła ją choćby w nieznacznej mierze, to fakt ten jest oznaką jej siły wewnętrznej i nie powinno być miejsca na upadek ducha. W zwyczajnych warunkach może być słusznym zdanie, że zastój oznacza cofanie się, ale w tak ciężkich czasach podobny sąd byłby mylnym; przeciwnie, na przyszłość możemy napewno rokować sobie powodzenie.

Następnie Guernut poddaje ścisłej krytyce taktykę partji socjalistycznej, względnie uchwały partyjne, które taktykę tę ustanowiły. Pozostawiając na jego odpowiedzialność wypowiedziane przezeń poglądy, przytaczamy je w ogólnych zarysach ze względu na ciekawe fakty, jakie podaje.

Przy pierwszych wyborach partja socjalistyczna występowała całkiem samodzielnie. Przy wyborach ściślejszych miała ona przed sobą trzy drogi.

1) Mogła pozostać całkiem samodzielną i albo z zasady głosować na swych kandydatów, albo powstrzymywać się wprost od głosowania.

2) Mogła zbliżyć się do innej partji, co mogło się stać w dwojaki sposób: albo łączy się dwie listy w jedną¹⁾, albo kandydaci, którzy przy pierwszych wyborach nie otrzymali znacznej ilości głosów, ustępują z areny walki i polecają swym zwolennikom oddanie przy ścisłych wyborach głosów na listę partji zaprzyjaźnionej, która otrzymała więcej głosów i ma więcej szans: jest to zrzeczenie się.

3) Mogła wreszcie domagać się na podstawie listy, na której reprezentowane są wszystkie partje, pewnej ilości krzeseł, odpowiadającej liczbie otrzymanych przez nią głosów: jest to system wyborów proporcjonalnych.

Możliwym jest tylko jedno z tych stanowisk. To też nie rozumiem wcale, — pisze Guernut — co oznacza oświadczenie kandydatów zaraz po pierwszych wyborach, „że się wprost usuwają“. Faktycznie muszą się oni wstrzymać od głosowania lub głosują na innych. Cała różnica polega na tym, że czynią to z hipokryzją; żałujemy bardzo, że socjalistyczna federacja Sekwańska (Federation de la Seine) użyła takiego pretekstu, nie godnego wielkiej, odważnej organizacji.

Systemem wyborów proporcjonalnych mało posługiwano się przy tych wyborach. Radykali byli mu przeciwni; nie dlatego, by w programie ich brakowało postulatów ochrony robotniczej i podatku dochodowego — broń Boże! Udawali tylko, że ten sposób wyborów jest reakcyjny, że zwraca się przeciw republice i republikanom, a to wszystko, przetłumaczone z żargonu radykalnego na język francuski, oznacza: „nie mamy w tym żadnego interesu“. Wszak radykali są też tylko ludźmi, choć naogół biorąc, bardzo porządnymi. Mówią więc sobie: Jeśli możemy zatrzymać w swych rękach całą władzę, poco mamy się nią dzielić?

Nie łudźmy się co do naszego własnego idealizmu: W imię wiecznej sprawiedliwości, ale poczęści i dlatego, że jesteście nieposiadającą mniejszością, domagaliśmy się nieśmiałyłm nieco głosem od radykałów, by nam tu i owdzie ustąpili obok siebie miejsca; nie żądamy dużo, bo jesteśmy skromni. Odpowiedzieli nam odmownie, musieliśmy więc zdobywać mandaty przemocą. W ten sposób wymuszaliśmy na nich faktyczną proporcjonalność. W St. Brieuc stało się to już przy pierwszych wyborach. Ale przyznajmy sami, że jest to sposób zły, którego nie wolno nam powtarzać. Należy bowiem oprzeć się na cyfrach poprzednich wyborów i nie wolno nie uwzględniać przy rachunku postępów, osiągniętych przez czteroletnią propagandę partji tak pełnej sił życiowych, jak nasza. Przy tym eksperymencie, który jest matematycznie błędny a politycznie służy tylko reakcji, tracimy najwięcej my sami. Inaczej miała się rzecz w Reims. Tam towarzysze nasi posługiwali się systemem proporcjonalnym dopiero przy wyborach ściślejszych, gdy już znany był rezultat pierwszych wyborów.

Radykali otrzymali 3 maja 8 600 głosów, progresiści 4 200, partja Akcji Liberalnej 4 050, partja socjalistyczna 2 300. Dlatego przy wyborach ściślejszych na liście znajdowało się 4 socjalistów, 8 liberałów, 8 progresistów i 16 radykałów, którzy przy pierwszych wyborach wzięli górę. Taka forma przedstawicielstwa jest oczywiście idealną. Ponieważ zaś nadto cieszyła się powodzeniem, więc niektórzy zadecydowali, że trzeba zachować ją na zawsze. Nam jednak wydaje się ten wniosek przedwczesnym. 10 maja (przy ściślejszych wyborach) mieszkańcy Reims zachowali się uczciwie i przyzwoicie. Któż nam zareczy, że takimi okazaliby

¹⁾ Partja socjalistyczna odróżnia teoretycznie i — że tak powiem — pod grozą kary „aljanse“ i „koalicje“:

1) Aljans wymaga pewnego pomieszania taktyki i programu; koalicja natomiast zapewnia ich samodzielność. Na liście aljansowej kandydaci (np. radykałów i socjalistów) są pomieszani, lub następują po sobie kolejno. Przy koalicji lista jest jasno i wyraźnie podzielona na dwie części: z jednej strony wypisane są nazwiska pp. A., B., C. — radykałów, z drugiej pp. A¹., B¹., C¹., — socjalistów. W tym wypadku niema miejsca na omyłki (Bracke w „Humanité“ z 29 lutego 1908).

2) Kongres międzynarodowy z r. 1900 zakazał formalnie zawierania aljansów. W wyjątkowych wypadkach mogą okręgowe lub ogólnopartyjne organizacje pozwolić na koalicję wyborczą.

się wyborcy wszędzie, lub że wyborcy z Reims będą takimi w przyszłości? Czasem należy zrobić próbę, ot, „by zobaczyć”. Obecnie zobaczyliśmy, co więcej, otworzyliśmy oczy innym. To wystarcza. Czekajmy i starajmy się lepiej o przyspieszenie prawa, które zapobiegnie niespodziankom i zagwarantuje prawność manipulacji wyborczych¹⁾. Miejscami usiłowano też pod nazwą przedstawicielstwa proporcjonalnego zawierać sojusze, będące tylko jego karykaturą. Dla obalenia konserwatystów socjaliści i radykali umieszczali pewną liczbę swych kandydatów na jednej liście i to w liczbowym stosunku, określonym przez umowę lub przez wyniki pierwszego głosowania. Nie należy się jednak dać zwieść wyrażeniu, bo w danym razie mamy aljans lub koalicję. Nawet wówczas, gdy wszystkie partie znajdują się na liście, należy mieć się na baczności, albowiem o proporcji mowa może być wtedy tylko, gdy wszyscy są według prawa i słuszności reprezentowani. Sprzeniewierzyli się tej zasadzie nasi przyjaciele w Tuluzie, a Jaurès – przykro nam, że musimy to wypowiedzieć – zasłonił w ostatniej chwili postępki ich swym nazwiskiem.

Trzy partie – radykali, progresiści i socjaliści – miały razem prawo do 36 krzeseł, z czego 9 przypada na socjalistów, 7 na progresistów, 18 na radykałów. Otóż nasi przyjaciele zaproponowali listę mieszaną, złożoną z 7 progresistów, 14 radykałów i 15 socjalistów, czyli że skrzywdzili radykałów o 4 miejsca; czy nie jest to nadużyciem?

Jaurès poda pewnie na swe usprawiedliwienie, że uchwały zostały przyjęte przez Komitet wyborczy, on zaś musiał się poddać dyscyplinie. Ale w tym wypadku musimy powiedzieć Jaurèsowi, że postępowanie przeciw słuszności i prawu jest oznaką słabości. Nie poczytywalibyśmy Jaurèsa za tak słabego, by z poczucia karności nie mógł zaprotestować przeciw tyranji partyjnej. Niejaki Galileusz bronił prawdy przeciw całemu światu. Niechajby Jaurès był został sam, ale sprawiedliwy²⁾.

Tymczasowo przy wyborach do rad gminnych system wyborów proporcjonalnych stosowano w niewielu tylko miejscowościach. Partii socjalistycznej pozostały przeto tylko dwie inne drogi: odsobnienia się lub łączenia. Którą drogą poszła? Dawniej łączyli się radykali i socjaliści prawie zawsze; tym razem porozumienie w wielu wypadkach było mniej serdecznym, w wielu innych wrogość przejawiała się ostrzej. Dla nas, którzy od dwóch blisko lat śledzimy pilnie uchwały kongresów partyjnych, nie było to żadną niespodzianką.

Wprawdzie ani kongres radykalny ani socjalistyczny nie wypowiedział się dotychczas wyraźnie przeciw porozumieniom. Wyraźność i jasność nie są bowiem rzeczą kongresu. Partja w naszych czasach wyraża raczej idee ogólne w abstrakcyjnych i niewyraźnych słowach (w każdej komisji znajduje się kilku dyplomatów, władających znakomicie takim językiem). Słowa te rozumie każdy na swój sposób i tłumaczy je według swojej woli; jeżeli tylko powtarza się je chórem, wówczas obrządek został wykonany, ortodoksja zachowana, – a wszystko razem zwie się zjednoczoną partją... Radykali dzielą się np. na dwie grupy; jedna z nich, przerażona wzrostem socjalizmu, dokonywa zwrotu na prawo, drugą natomiast popychają przekonania, czy też podział okręgów ku nam. Kon-

¹⁾ Tak też należy rozumieć rezolucję kongresu francuskiej partji socjalistycznej, z dnia 20 marca 1908 r., która została uchwalona na wniosek Jaurèsa: „Co się tyczy prób skorygowania prawa przez system dobrowolnej proporcjonalności, to partja socjalistyczna, będąca gorącą zwolenniczką systemu proporcjonalności i dążąca ustawicznie do zmiany w tym duchu prawa wyborczego w drodze ustawodawczej, ostrzega federację przed niebezpieczeństwem nadawania soюзom charakteru przedstawicielstwa proporcjonalnego, gdyż pod panowaniem obecnego prawa wyborczego nie mogą one zapewnić tych korzyści, które wynikną z rzeczywistego przedstawicielstwa proporcjonalnego, usankcjonowanego przez prawo”.

²⁾ Na oskarżenie to Jaurès odpowiedział z właściwą sobie szlachetną otwartością w „Humanité” z 13 maja 1908... „Chcę jasno wypowiedzieć, że doświadczenie nauczyło nas przez odmowę radykałów, iż kombinacje takie są niemożliwe, że prowadzą tylko do sojuszków częściowych. stwarzających zamęt; pewny jestem, że partja socjalistyczna postanowi polecić swym federacjom, by nigdy nie wdawały się w podobne kombinacje”.

serwatywna część radykałów oświadcza, że nigdy nie odda głosu „na tych antypatrjotów, dezertarów, zwolenników strejku powszechnego, podlegaczy, warjatów“, przez co wszystko rozumie ona socjalistów. Na to postępową część radykałów odpowiada: wszystko to jest niesłusznym, socjaliści nie są tym, za co ich uważacie. Zdaniem tej części, nie jesteśmy tacy, jakimi przedstawiają nas jej przerażeni przyjaciele. Tak więc jedno tłumaczenie staje obok drugiego, a radykali i radykali-socjaliści odzegnują się od nas, akceptując nas jednocześnie.

A my ze swej strony w stosunku do radykałów postępujemy nie o wiele inaczej. I wśród nas są towarzysze tak oślepieni rewolucją socjalną, że zupełnie obojętne im są drogi, do niej wiodące. Reformy albo nie posiadają dla nich żadnego znaczenia, albo mogą być ich zdaniem zdobyte przez nacisk zjednoczonego proletariatu w ramach każdej formy rządowej. A oznacza to: Hańba republice burżuazyjnej, hańba burżuazyjnym republikanom! Drudzy natomiast sądzą, że daleko posunięte reformy demokratyczne zdołają na legalnej i pokojowej drodze dokonać požądanego przewrotu; wskutek tego chcą oni republikanom szczerze pomóc w pracy nad dalszym rozwijaniem zdobytych rezultatów.

Zjednoczona partja socjalistyczna na zjeździe w Chalons (w 1905 r.) przyjęła rezolucję, która zarazem pozwala na sojusze wyborcze i odrzuca je; jest to dowodem, że jedna część towarzyszków była za sojuszami, druga przeciw nim. Oto tekst tej rezolucji:

„Zważywszy, że każda wyborcza, równie jak wszelka inna akcja partji klasowej, jaką jest partja socjalistyczna, może przy pierwszym i drugim głosowaniu być kierowaną tylko przez wyższy wzgląd na interes klasy, którą partja ta reprezentuje i o której wyzwolenie walczy;

„Zważywszy, że akcja klasowa proletariatu związana jest z zachowaniem i rozwojem politycznych i ekonomicznych swobód proletariatu;

„Zważywszy, że w utrwalonym i ciągle rozwijającym się ustroju republikańskim wyzwolenie klasy robotniczej znajduje się w rękach robotników, jeżeli posługują się oni tym ustrojem dla celów swej organizacji i emancypacji,

„Kongres z zaufaniem pozostawia federacjom decyzję co do ich stanowiska przy wyborach ściślejszych, spodziewając się, że będzie ono zgodne z interesami proletariatu i republiki socjalnej“.

Jak widzimy, pierwszy i czwarty ustęp odpowiada jednemu kierunkowi, drugi zaś i trzeci drugiemu.

Skoro jednak podczas zaciętej walki wyborczej 131 posłów radykalnych i 6 socjalistycznych usiłowało tłumaczyć rezolucję według swego przekonania i we własnym imieniu, nie angażując swych grup, radziło zawarcie sojuszu wyborczego, wówczas powstała burza wśród skrajnych żywiołów w ich partjach. Ale warunki parły i pod ich naporem wykażały się zawarte we wszystkich tych rezolucjach sprzeczności, które prędzej czy później musiały się ujawnić.

A wówczas stało się to, czego należało się spodziewać. Komitety wyborcze podzieliły się na dwa obozy, z których każdy, w zależności od panującego w nim kierunku, zawierał sojusze wyborcze lub odrzucał je.

Prawie wszędzie uchwalano rezolucje za porozumieniem. Niektóre grupy poszły w swej wspaniałomyślności za daleko. Tak np. w Paryżu radykali już przy pierwszych wyborach cofnęli swych kandydatów na rzecz socjalistów; w Roubaix natomiast socjaliści z 17 krzeseł pozostawili 4 radykałom, aczkolwiek przy pierwszych wyborach zdobyli 9 razy tyle głosów, co radykali.

Z drugiej strony w wielu miastach prowincjonalnych radykali w zupełności zerwali z socjalistami, a w Paryżu nasi towarzysze z federacji Sekwańskiej oświadczyli, jak to już wspomniałem, że uważają za niezgodne ze swoim sumieniem oddać głosy na jakiegokolwiek kandydata i „po prostu“ cofnęli swych kandydatów; był to czyn bardzo dwuznaczny, z jednej bowiem strony nie nakazali członkom federacji wstrzymać się od głosowania, gdyż nie odważyli się tej taktyki jawnie przeprowadzić,

z drugiej zaś strony spodziewali się osiągnąć pożądany rezultat, gdyż liczyli na spryt swoich wyborców.

Masy są jednak mniej postępowe od przywódców i nie znają dwulicowości. Wystąpiły więc uczciwie i wyraźnie w duchu republikańskim. W Paryżu, gdzie wybory wywołały wielkie roznamiętnienie, nie było prawie wstrzymujących się od głosowania. Spełniły one swój obowiązek i tylko w jednej dzielnicy, w Batignolles kilku niezadowolonych zabłąkało się do obozu nacjonalistów. Inaczej miała się sprawa z wyborcami radykalnymi. Nie zważając na swych przywódców, wściekali się oni na samo wspomnienie socjalizmu; w Montpelier, w Lille, w Dijon, w Bourges skreślali ze swych list nazwiska zjednoczonych socjalistów i zastępowali je nazwiskami nacjonalistów, klerykałów, progresistów, co spowodowało naszą klęskę.

W ten sposób radykali i socjaliści dzięki zamieszaniu, spowodowanemu przez te sojusze wyborcze, stracili przy wyborach ściślejszych mandaty na rzecz konserwatystów, aczkolwiek przy pierwszych wyborach wzrosła liczba ich wyborców. Oś polityki zwróciła się – że tak powiem – przeciw centrum, i wybory wypadły reakcyjne.

Wybory z 10 maja odsłoniły nam nowy fakt. Obie zaprzyjaźnione i złączone dotąd sojuszem partje rozeszły się. Szalony ruch odśrodkowy pchnął socjalistów na lewo a radykałów na prawo: socjalistów na stronę rewolucji, radykałów na stronę reakcji.

Klęskę poniósł nie socjalizm, lecz to, co zwykle się nazywa demokracją.

Ludwika Kautska.

Die Neue Zeit, zeszyt 40–41.

W artykule „Znaczenie związków zawodowych i kongres w Hamburgu” Parvusa nie znajdujemy oceny obrad kongresu hamburskiego, lecz tylko ogólne uwagi o znaczeniu związków. Związki zawodowe osiągnęły, zdaniem autora, potęgę, która nie odzwierciadla się dostatecznie ani w liczbie ich członków ani w sumach, znajdujących się w kasach związkowych. W Niemczech istnieją setki kapitalistów, z których każdy posiada więcej, aniżeli wszystkie związki zawodowe razem. Jeżeli chodzi o liczbę członków, to Socjaldemokracja w akcjach swoich skupiała już większe masy. Główne znaczenie związków polega na tym, że, zajmując się kwestjami codziennego życia mas, są w stanie o wiele trwalej skupiać masy w organizacji, niż polityczna organizacja proletariatu, wciągać je do życia społecznego, pobudzać ustawicznie do działalności. Ilość członków w organizacjach partyjnych waha się w znacznie silniejszej mierze w zależności od stopnia napięcia atmosfery politycznej w kraju, aniżeli w związkach w zależności od konjunktury przemysłowej. Stwierdziwszy, że największą zdobyczą związków jest samo ich istnienie, rozwój, siła, powiada Parvus: „Socjaldemokracja zniknie w chwili, gdy spełni swe zadania socjalistycznego przekształcenia społeczeństwa; ale związki zawodowe wcale nie zginą wówczas, gdyż socjalistyczna organizacja produkcji nie daje się pomyśleć bez organizacji robotników wewnątrz produkcji”. Nie wiemy, co Parvus ma na myśli, mówiąc o organizacji robotników wewnątrz produkcji socjalistycznej: w każdym razie napewno nie samo oddanie produkcji w ręce organizacji robotników poszczególnych gałęzi przemysłu, które jest ideałem niektórych teoretyków syndykalizmu rewolucyjnego, a nie socjaldemokratów, dążących do oddania produkcji w ręce całego społeczeństwa. Gdyby jednak miał na myśli organizację robotników w poszczególnych gałęziach przemysłu w innych celach, np. dla pełnienia funkcji doradczo-kontrolujących, to wówczas organizacje te nie miałyby nic wspólnego z dzisiejszymi związkami zawodowymi, które w zupełności przystosowane są do warunków gospodarki kapitalistycznej i mają jako główny cel bezpośredni osiągnięcie jak najlepszych warunków sprzedaży towaru „siła robocza”, a nie jakkolwiek „organizację produkcji”.

W dalszym ciągu swego artykułu wskazuje Parvus na fakt, że

związki zawodowe coraz bardziej wchodzą na pole działalności socjal-politycznej i tu stykają się z Socjaldemokracją. Związki zawodowe zbierają materiał z tysięcy konkretnych wypadków w najrozmaitszych kategoriach robotniczych, który Socjaldemokracja uogólnia i który zużytkowuje w parlamencie. Działalność związków, mająca na celu zebranie materiału o stosunkach robotniczych, ożywia masy, wciąga je do życia politycznego, a Socjaldemokracja, zwracając baczną uwagę na tę pracę, dając jej wyraz parlamentarny, przechodzi sama przez proces rozwoju, który silniejuwydatnia jej proletarjacki charakter.

Kongres hamburski wykazał, zdaniem autora, zrozumienie jedności walki klasowej proletariatu, konieczności współdziałania związków i partii. Ale równocześnie uwydatniły się iluzje z związku i przy omawianiu spraw socjalno-politycznych przejawili niektórzy związkowcy specjalną logikę, obcą Socjaldemokracji.

Kryzys w przemyśle amerykańskim znowu zwrócił uwagę teoretyków ku kwestii kryzysów wogóle, co do przyczyn których panuje w teorii ekonomicznej wielka rozbieżność zdań. W 40 i 41 zeszytacie „Neue Zeit“ zastanawia się nad przyczynami kryzysu amerykańskiego J. L. Boudin (New-York) i zestawia rezultaty swoich badań z teorią kryzysów Tugana Baranowskiego, profesora uniwersytetu w Petersburgu, jednej z najwybitniejszych głów wśród rewizjonistów marksizmu. Jak wiadomo, według teorii tej nadprodukcja może powstać jeno w dziedzinie wytwarzania przedmiotów spożycia. Ponieważ największą część produkcji stanowi obecnie w krajach o wysoko rozwiniętym kapitalizmie produkcja środków wytwarzania, w której nadprodukcja, zdaniem Tugana, nie jest możliwą, przeto ogólne kryzysy stają się obecnie niemożliwymi. Tendencję tę do uniemożliwienia kryzysów wzmacnia jeszcze rozwój trustów, które regulują produkcję. Otóż w Ameryce trusty osiągnęły najwyższy stopień rozwoju, punkt ciężkości przemysłu amerykańskiego przesunął się od przemysłu włóknistego do metalurgicznego, a więc wytwarzającego przeważnie środki wytwarzania, a kryzys mimo to wybuchnął. Że nie był on kryzysem częściowym, finansowym, to daje się obecnie stwierdzić z całą stanowczością, gdyż aczkolwiek obecnie banki funkcjonują normalnie, dyskonto jest niskie, — kryzys przemysłowy jednak trwa, a nawet zaostrza się. Kryzys ten dowiódł, co już przed jego wybuchem twierdzili marksisi (między innymi sam Boudin w artykule „Matematyczne formuły przeciw Marxowi“, pomieszczonym w 16–18 Nrze Neue Zeit ze stycznia 1907 r.), że podobnie jak produkcja środków spożycia, tak też i produkcja środków wytwarzania jest w systemie kapitalistycznym ograniczoną przez prawa realizacji wartości i że ilość środków wytwarzania, która może być sprzedaną z zyskiem, zależy od tego, ile ich wystarcza do zaspokojenia rzeczywistych potrzeb. Skoro zaś produkcja ta nie może rość bezgranicznie, ani też znajdować się na jednym stopniu — co sprzeciwia się siłom rozpędowym kapitalizmu: wzrostowi produktywności pracy i warunkom konkurencji, — kryzysy nie zostają zniesione. Oto jakie były przyczyny kryzysu amerykańskiego. Tkwią one właśnie w nadprodukcji środków wytwarzania. Rozszerzenie kolei osiągnęło takie granice, że przestały one przynosić odpowiedni zysk, co spowodowało ograniczenie w robotach około dalszych ich rozszerzeń; wiele z nich zbankrutowało. To spowodowało, że na rynkach okazało się zbyt dużo wyrobów fabryk elektrycznych i maszynowych, za czym poszło ograniczenie produkcji w tych gałęziach przemysłu, bankructwa i panika. Tu zjawia się drugi moment. Rozkwit, poprzedzający kryzys, wywołał olbrzymią spekulację: rynek zalany był akcjami, które nie odpowiadały wcale kapitałowi, uwiecznionemu w przedsiębiorstwie, lecz były tylko kapitalizacją spodziewanego — w najlepszym razie — zysku, lub też zysku, którego się inicjatorzy „przedsiębiorstwa“ wcale nie spodziewali. W tym drugim wypadku przedsiębiorcy wypłacali „zyski“ z zasobów, powstałych przez wypuszczenie nowych, równie oszukańczych akcji. Ogólny rozkwit przemysłu spowodował olbrzymi ruch budowlany i spekulację terenowo-domową, która ogarnęła jak szal tysiące ludzi. Dopóki rozkwit trwał, banki dyskontowały papiery hypoteczne nowych domów z wielką

łatwością, aczkolwiek realizacja zysku od włożonych w tę gałęź przemysłu olbrzymich zasobów kapitału zależała od tak dalekich momentów, jak przyszła zdolność mas do płacenia wysokich czynszów mieszkalnych, co znów zależało od dalszego trwania rozkwitu. Gdy wskutek bankructwa zupełnie realnych przedsiębiorstw, spowodowanego przez olbrzymią nadprodukcję środków wytwarzania, rozpoczęła się panika, nasamprzód musiały skrachować wszystkie przedsiębiorstwa, obliczone tylko na oszukiwanie publiczności. Akcje tych przedsiębiorstw okazały się odrazu bezwartościowymi, ale tymczasem w kieszeniach aranżerów znajdowały się całkiem realne dolary. Środek „demokratyzowania przemysłu“ okazał się wspólnym środkiem połykania małych kielbów kapitalistycznych przez szczupaki. Runęła również cała spekulacja gruntowa. Skutki kryzysu, ograniczenia pracy w przedsiębiorstwach, wytwarzających środki produkcji, odbiły się na przedsiębiorstwach, wytwarzających środki spożycia. Obecnie panika przemieniała, wróciło zaufanie publiczności do banków, opartych na dobrych podstawach, ale kryzys trwa dalej nie tylko w przemyśle, wytwarzającym środki produkcji, ale — wskutek zmniejszenia siły spożyczej mas — także w przemyśle, wytwarzającym środki spożycia.

Sozialistische Monatshefte, zeszyt 12—15.

W 12 nrze organu niemieckich teoretycznych rewizjonistów i praktycznych oportunistów, poświęconym prawie w całości kwestjom zjazdu niemieckich związków zawodowych, znajduje się nader charakterystyczny artykuł Emila Döblina, przewodniczącego związku drukarskiego o umowach zbiorowych i walce klas. Dla zrozumienia wywodów Döblina musimy dodać, że związek robotników drukarskich w Niemczech, aczkolwiek należy do t. zw. wolnych związków, stojących na gruncie walki klas, w rzeczywistości uprawia ciasną politykę fachową i w organie swoim niejednokrotnie napada na Socjaldemokrację. Ponieważ dzięki specjalnym warunkom zawodu związek ma wyjątkowo korzystne położenie, przeto spogląda na wszystkie kwestje ruchu robotniczego ze stanowiska zadowolonego robotnika wykwalifikowanego. Poglądy Döblina, których nie dziela nawet wszyscy członkowie związku, stoją w przeciwieństwie do poglądów, panujących naogół w niemieckich związkach zawodowych. Döblin pisze: „ciągle akcentowanie walki klasowej jest zrozumiałe tam, gdzie przedsiębiorcy nie chcą zawierać z robotnikami umów zbiorowych, ale niezrozumiałym i niebezpiecznym jest ono, gdzie umowy takie istnieją. Jest rzeczą nielogiczną z jednej strony wstępować na drogę umowy zbiorowej, a z drugiej ustawicznie jeździć na koniku walki klasowej. Jeżeli umowy zbiorowe mają się dalej rozwijać, jeżeli mają być coraz lepsze, to koniecznym jest, by istniało obustronne (przedsiębiorców i robotników) ufanie w uczciwy zamiar usunięcia punktów spornych w przemyśle (gewerbliche Differenzen) za pomocą obustronnego porozumienia. Stereotypowe podnoszenie walki klasowej działa szkodliwie, ponieważ umacnia przemysłowców w przekonaniu, że póki w przemyśle może zostać w każdej chwili zakłócony. Ciągłe powoływanie się na walkę klasową wyklucza porozumiewanie się i ugodę“. Czyżby Döblin zapomniał o tym, że 1. umowy zbiorowe są owocem walki klasowej, 2. że tylko organizacje tej walki, związki zawodowe, oraz polityczna partja proletariatu, są ich wałem ochronnym? Czy nie wie, że przedsiębiorcy starają się nawet umowy zbiorowe wyyskać dla walki przeciw robotnikom, jak to przyznał całkiem niedwuznacznie Telisch, przewodniczący związku przedsiębiorców budowlanych. Nie, Döblin, który niejedną już słyszał lekcję w sprawie umów zbiorowych od rewolucyjnych socjaldemokratów, wie o tym, gdyż bezpośrednio po powyższych wywodach przyznaje, że umowy nie usuwają przeciwieństwa interesów, że są tylko inną formą ich załatwienia.

Autor, zarzucający innym brak logiki, nie troszczy się widać o swoją własną. Spogląda krzywym okiem na ideę walki klas, choć przy party do muru, musi uznać istnienie tej walki. Chodzi więc koło niej, jak kot koło gorącego mleka; z całego jego nielogicznego stękania wyziera

tylko pragnienie zatuszowania przeciwności, które przez żadne żale nie dają się usunąć.

W zeszytach 13-tym znajdujemy nadzwyczaj interesujący artykuł Augusta Erdmanna o organizacji ludowej, stworzonej przez partję katolicką — i jej centrali, znajdującej się w Monachjum. Organizacja ta, pod nazwą „Volkverein für das katholische Deutschland“ (stowarzyszenie ludowe katolickich Niemiec), założona w r. 1891 dla przeciwdziałania Socjaldemokracji po upadku prawa przeciw socjalistom, ma 600 000 członków. Członek organizacji opłaca 1 markę rocznie, za co otrzymuje gazetkę organizacyjną; innych obowiązków nie posiada. Na każdych 20 do 40 członków stowarzyszenia przypada mąż zaufania; posiadało ich stowarzyszenie w r. 1907 18 tysięcy. Oni właśnie stanowią ośrodek organizacji i rozpowszechniają wydawnictwa, ściągają członków na zebrania publiczne, organizują wybory, przeprowadzają wszelkie wystąpienia centrowe, aczkolwiek stowarzyszenie nie jest oficjalnie organizacją partji centrum. Pracą ich kieruje centrala w Monachjum. Posiada ona 13 urzędników o uniwersyteckim wykształceniu, pracujących literacko, 32 urzędników, wykonujących pracę biurową, ekspedycyjną, kasową itd. Centrala, w której przeprowadzony jest ścisły podział pracy, redaguje pismo organizacji, stałe korespondencje dla pism centrowych, wydaje pisma ulotne, broszury, prowadzi szkoły referentów itd. Dotychczas wydała ona 95 pism ulotnych treści społeczno-politycznej w 93 milionach egzemplarzy, 122 tysiące egzemplarzy broszur o bieżących kwestjach społecznych; od r. 1892 do 1900 organizowała w rozmaitych częściach państwa co roku 8—14 dniowe kursy społeczne, od 1900 urządza je w Monachjum, przyczem 8 dni poświęca się poszczególnym kwestjom socjalpolitycznym, a 8 zasadniczym. Oprócz tego organizuje w poszczególnych częściach państwa 1—3 dniowe kursy. Treścią tej całej pracy jest zwalczanie Socjaldemokracji i obrona stanowiska Centrum. Widzimy więc, że katolicycy obrońcy wyzysku nie zasypiają w Niemczech sprawy, lecz nauczyli się od Socjaldemokracji władać orężem organizacji.

Paweł Umbreit redaktor Korrespondenzblatt'u, organu Jeneralnej Komisji związkowej, pomieszcza w 15 zeszytach Sozialistische Monatshefte artykuł p.t. „Rzut oka na kongres hamburski“, w którym, wskazawszy na to, że w Niemczech istnieją najsilniejsze związki zawodowe, ale zarazem i rosnące wciąż w potęgę związki fabrykantów, powiada: „Niemcy, kraj związków zawodowych, będą też w najbliższej przyszłości areną olbrzymich walk ekonomicznych, jakich świat dotychczas nie widział... Mimo to kongres miał przebieg spokojny. Był to spokój przed burzą, przed wielkimi rozstrzygającymi momentami, które przyniesie najbliższa przyszłość. Centralistyczna strategia przedsiębiorców doprowadziła już do potężnych walk w przemyśle drzewnym, krawieckim, introligatorskim, litograficznym i metalurgicznym; w przemyśle budowlanym ledwo uniknięto walki, w innych gałęziach ferment nie ustaje, a liczba zawodów, w których organizacja obu stron osiągnęła rozmiary, pozwalające na scentralizowane uregulowanie warunków pracy, jest już dość znaczną. Wszędzie istnieje materiał palny, a wobec tendencji związków przedsiębiorców do osłabienia organizacji robotniczych przez lokauty i do narzucenia im niekorzystnych dla nich umów, należy liczyć na olbrzymie walki“.